

Okladka
1 szt.

Rozdz. 1
1 szt.

Rozdz. 2
1 szt.

Rozdz. 3
1 szt.

Rozdz. 4
1 szt.

Rozdz. 5
1 szt.

Rozdz. 6
1 szt.

Jerzy Z. Sobolewski
autor

Rozdz. 15
1 szt.

Rozdz. 7
1 szt.

**Życie i przygody
w PRL**
tytuł

Rozdz. 14
1 szt.

Rozdz. 8
1 szt.

Rozdz. 9
1 szt.

Rozdz. 10
1 szt.

Rozdz. 11
1 szt.

Rozdz. 12
1 szt.

Rozdz. 13
1 szt.

© Copyright by Jerzy Z. Sobolewski

KOREKTA
Beata Gołkowska

SKŁAD I PROJEKT OKŁADKI
Wojciech Sobolewski

© Copyright by X

Wydanie I

Warszawa 2015

DRUK
X

ISBN X

Wstęp	3
-------	---

I. DZIECIŃSTWO

1. Okupacja sowiecko-niemiecka	11
2. Powojenne przygody	33
3. Trudne początki stabilizacji	47
4. Szkoła i polityka	57
5. Refleksje współczesne	87

II. STUDIA

6. Burzliwy start	95
7. Nasi profesorowie	123
8. Dalsze przygody. Ślub	133
9. Kłopotliwy walet	145
10. Obozy wojskowe	159
11. Kobiety małe i duże	179
12. Dyplom	189

III. INŻYNIER W PRL-U

13. PŁOCK	193
14. MY CZTEREJ PANCERNI	225
15. Ursus	239

Tylko prawda czyni człowieka,
narody, społeczeństwa
naprawdę wolnymi.

Jan Paweł II

Wstęp

DROGI CZYTELNIKU,

POCHODZĘ Z AUGUSTOWA, MALOWNICZEGO MIASTECZKA LEŻĄCEGO NA POGRANICZU LITEWSKO-BIAŁORUSKIM (A PRZED WOJNĄ TAKŻE NIEMIECKIM). Barwne losy tej części Polski przybliżę w pierwszym rozdziale książki. Członkowie mojej rodziny dzielnie walczyli z okupantami, a moja „świadomość klasowa” – z racji roku urodzenia – kształtowała się w czasach PRL-u. Na moje szczęście rodzice mieli odwagę wychowywać mnie w prawdzie. Istniała także pamięć zbiorowa, zwłaszcza o systemie bolszewickim i dokonaniach Sowietów na naszych terenach, bo Armia Czerwona zajęła Augustów już w we wrześniu 1939 roku, a podczas drugiego „wyzwolenia” w lipcu 1945 roku zamordowano kilkuset naszych patriotów w tzw. obławie augustowskiej. To z tamtych lat pochodzi zapamiętane przeze mnie powiedzenie mojej Mamy: „Aby przeżyć, trzeba być chytrzejszym od bolszewika”. Już w dzieciństwie wyrobiłem więc sobie poglądy polityczne niekoniecznie zgodne z obowiązującymi. I to mi pozwoliło nie wpaść zbyt często w macki manipulacji.

Jak wiadomo, historia lubi się powtarzać – narzucony Polsce siłą system sowiecki – wprawdzie rozsypał się na moich oczach, lecz powstał nowy, zwany Unią Europejską. Niektóre mechanizmy działania tych dwóch systemów są niepokojąco podobne, moje spostrzeżenia poczynione w czasach trwania poprzedniego systemu mogą się więc przydać młodym ludziom żyjącym tu i teraz.

Istnieje ogromna różnica między naszym społeczeństwem a społeczeństwami starej Unii. W Polsce współczesnej zabrakło przedwojennej inteligencji, gdyż została wyniszczona przez obu okupantów. Po przełomie roku '89 udało się nam wydrzeć z uścisku najbardziej zmanipulowanego systemu na świecie, i teraz naiwnie myślimy, że nareszcie mamy wolne media, naszą prasę i telewizję. Niestety nie jest to prawda. Większość naszych mediów, a zwłaszcza prasa, są przejęte przez zagraniczne grupy kapitałowe, które manipulują społeczeństwem zgodnie ze swoimi interesami.

Istotę manipulacji zręcznie sformułował Jacek Kuroń, porównując społeczeństwo do stada koni pędzących przed siebie. Jeżeli chcesz to stado skierować w pożądanym kierunku, to staraj się znaleźć na jego czele jako przewodnik.

W czasach plemiennych istniała rada starszych, która po głębokiej analizie sytuacji podejmowała działania zgodne z interesem współplemieńców. Poza tym istniała ciągłość *pokoleniowa*, starsi sukcesywnie przekazywali swoje doświadczenia młodszym. Obecnie występuje w TVN znany dziennikarz, zwany ulubieńcem salonu, który udowadnia, że czarne jest białe i kto jest „cacy”, a kto jest „be”. Niestety, z powodu braku łatwo dostępnych, wiarygodnych źródeł informacji nie sposób zweryfikować przekazywanych informacji, czego skutki są najbardziej widoczne przy urnach wyborczych. Zmęczony wielogodziną harową człowiek nie zada sobie pytania: Z którego plemienia, od której rady starszych, dziennikarz ten pobiera wynagrodzenie? Część społeczeństwa pogodziła się już z rzeczywistością, ponieważ powodzi się im w miarę dobrze, a inni nie wierzą, że mogą jakoś wyrwać się z nędzy i zubożenieli na wszystko. Nawet przestali uczestniczyć w wyborach.

Istnieje także istotna różnica między społeczeństwem z wczesnego PRL-u a dzisiejszym. Wtedy jeszcze większość ludzi pamiętała czasy wojny i dwudziestolecia międzywojennego, kiedy wychowywano młodzież polską w duchu patriotyzmu. Dzięki przekazywaniu w rodzinach

najważniejszych wartości większa część młodzieży miała „kompas ideologiczny”. Obecna propaganda sukcesu przypomina „najlepsze” czasy stalinowskie. Ludzie zmęczeni walką o byt ludzie marzą o świętym spokoju i po miękkim upadku poprzedniego systemu zatracili odporność na manipulowanie. Naród zrodzony w niewoli nadal w niej tkwi, a pomagają mu w tym aktywnie media pełniące rolę już nie czwartej, ale czołowej władzy.

Trzeba jeszcze zwrócić uwagę na jeden niepokojący czynnik. Ludzie boją się mieć własne zdanie – publiczne wyrażenie w TV czy na forum publicznym sympatii dla PIS-u, Kaczyńskiego lub – nie daj Boże – Macierewicza, to po prostu totalny obciach. Tak nasilonej propagandy kształtującej opinię społeczną nie było nawet za Gierka. Jad sączący się z mediów spowodował, że bardzo duża grupa ludzi nienawidzi przeciwników politycznych. Jest to nienawiść bezinteresowna. Z powodu zmanipulowania upatrują przyczynę wszelkiego zła w bliźnich, którzy myślą odmiennie. To znana metoda systemów totalitarnych, które aby istnieć, muszą posiadać wrogów. Kiedyś wrogami byli żołnierze AK („zaplute karły reakcji”), obszarnicy, kułacy, spekulanci, a teraz spełnia tę rolę PiS i Kaczyńscy, przepraszam – już tylko jeden z nich – Jarosław.

Dżin wypuszczony z butelki nienawiści objawił się w Smoleńsku. W katastrofie zginęło 96 osób, w tym dwóch prezydentów Polski, Ryszard Kaczorowski – ostatni prezydent na emigracji i Lech Kaczyński. Wśród tych, którzy zginęli, było kilku generałów Wojska Polskiego (o znaczącej pozycji w NATO), czołówka polskich polityków opozycyjnej partii i niezależnych od „salonu” działaczy niepodległościowych. Największa tragedia Polski po wojnie!

Minęły już prawie cztery lata, a większość polskiej opinii publicznej nadal wierzy w winę pilotów. Przyjęto to założenie już w kilkanaście minut po katastrofie. Podjęte później przez Rosjan śledztwo miało to tylko potwierdzić. Wątpliwości pozostały i rosną w miarę manipulacji, jakie miały miejsce podczas śledztwa. Dlaczego brak śladu uderzenia osiemdziesięcotonowego samolotu o ziemię? Zdrowy rozsądek

podpowiada, że gdyby samolot spadał w jednym kawałku w pozycji stycznej do bagnistego gruntu, to zostałaby na powierzchni ziemi długa, wyraźna bruzda. Raport Millera, w ślad za orzeczeniem MAK-u, stwierdza, że piloci ulegli presji „pijanego” generała Błasika, by mimo mgły lądować – czyli są winni. To skandaliczne kłamstwo poszło jednak w świat. Ale dlaczego piloci znaleźli się tam, gdzie nie powinni, tego śledztwo już nie wyjaśnia. Przecież wieża naprowadzająca samolot cały czas mówiła: „na kursie i na ścieżce”, a tak naprawdę powinna zakazać lądowania.

Według najnowszych badań niezależnych polskich naukowców (niezależnych, bo żyją i pracują zagranicą) słynna pancerna brzoza została złamana jeszcze przed katastrofą. A gdyby nawet stała tam nadal i zniszczyła końcówkę skrzydła, to i tak – według obliczeń duńskiego inż. Glenna A. Jorgensena – samolot utraciłby tylko dziesięć procent siły nośnej i nadal leciałby normalnie, a nie kręcił beczkę. Dr Stefan Bramski, emerytowany pracownik Instytutu Lotnictwa z Warszawy, analizując tor lotu i lokalizację szczątków samolotu wykazał, że kadłub maszyny uległ dezintegracji w powietrzu przed uderzeniem o ziemię. O potwornej manipulacji świadczą także niebywałe przekręty związane z ciałami ofiar, np. zakazanie przez polską prokuraturę wojskową (zgodnie z poleceniami Rosjan!) otwierania trumien ze zwłokami, zabronienie dokonania – obowiązkowej w takim wypadku – sekcji zwłok w Polsce itp. itd. A heca ze śladami materiałów wybuchowych? Badania przeprowadzono dopiero trzy lata po wypadku! Ponieważ produkty wybuchowe rozpadają się po jakimś czasie, powinno się to zrobić natychmiast, choćby w celu wykluczenia zamachu, a nie wyrzucić dziennikarza z pracy za napisanie w gazecie prawdy! A dlaczego nie zwrócono nam wraku samolotu? Przecież resztki wraku niszczeją na lotnisku... Jak się patrzy uważnie na zdjęcie tych resztek, rodzi się kolejne podejrzanie – widocznie tam nie ma wszystkich części...

Zamiast przeprowadzania rzetelnych badań atakuje się szefa komisji parlamentarnej Macierewicza, inteligentnego i uczciwego człowieka o wspaniałym życiorysie opozycyjnym, twórcę KOR-u przecież!

Przedstawia się go w karykaturalnych opisach zamieszczanych w prasie jako członek Al-Kaidy. Atakuje się także odważnych naukowców, lecz nie za ich merytoryczne argumenty. Czyż nie jest to klasyczna manipulacja?

Jeszcze jedna refleksja. Wraz z kolegą Januszem (obaj jesteśmy emerytowanymi wykładowcami jednego z wydziałów Politechniki Warszawskiej) wychodzimy w październiku 2013 roku z obrad II Konferencji Smoleńskiej. Milczymy, przytłoczeni faktami dotyczącymi katastrofy TU-154.

– Janusz, jak to jest? Jak był komunizm, to byliśmy przeciw. A teraz? – pytam.

– Wygląda na to, że teraz też – odpowiedział krótko przyjaciel.

Na tej konferencji mój wydział Politechniki Warszawskiej, gdzie do niedawna jeszcze pracowałem, był reprezentowany (nieoficjalnie) przez jednego naukowca (nie licząc nas, dwóch emerytów). A przecież przedstawiciele wydziału powinno być znacznie więcej, chociażby z racji poruszanej tematyki. Ponadto profesor Wiesław Binienda z USA, który obalił mit o „pancernej brzozie”, był przecież naszym studentem. Dlaczego zabrakło na konferencji przedstawicieli komisji doktora Laska? To był jego obowiązek, przecież bierze za to pieniądze! Powinien stawić „odpór” burżuazyjnym naukowcom, a także skorygować obliczenia duńskiego fachowca od awioniki (świadomie używam w tym miejscu stylistyki z minionych lat).

Zastanawiające, że wszyscy obecni na konferencji przedstawiciele mojego wydziału, to działacze pierwszej „Solidarności”: Janusz był szefem „S” w instytucji i na wydziale, a potem, po przełomie, przez długie lata przewodniczącym krajowej „Solidarności” ds. nauki i szkolnictwa wyższego.

Podczas przerwy w obradach zapytaliśmy nieco młodszego od nas kolegę Marka, pracującego jeszcze na wydziale, o powody absencji innych naukowców.

– Widocznie się boją – wzruszył ramionami kolega.

Na to wygląda, bo J.M. rektor Politechniki Warszawskiej odciął się od poglądów jednego z profesorów, który wygłosił referat podczas

konferencji. Czy istnieje w Polsce wolność w zakresie badań naukowych? Czy nie jest tak samo jak za komuny?

Całe szczęście, że Internet przejął częściowo funkcję niezależnego medium. Myśląca młodzież Polski jest, jak zwykle, szansą na naszą niezależność.

W trakcie lektury moich wspomnień każdy znajdzie coś dla siebie. Starsi przypomną sobie czasy młodości, młodszy poznają bliżej historię Polski współczesnej. W opisach czasów komunizmu nawiązują często do współczesności, żeby pokazać zbieżność obecnie stosowanych metod manipulacji opinią publiczną. W wielu sytuacjach osiągnęły one już swoje apogeum.

Moja córka Iwona, jeden z pierwszych krytyków mych wspomnień, stwierdziła: „Tato, przygody Igną do Ciebie jak żelazo do magnesu”.

Pisanie historii życia jest podobne do pozyskiwania złota w strumieniu. Im życie jest bogatsze w wydarzenia, tym tego złota jest więcej. A więc mam nadzieję, że nie zanudzę szanownych Czytelników.

Autor

I.
DZIECIŃSTWO

1. Okupacja sowiecko-niemiecka

DZIECIŃSTWO MIAŁEM BARWNE. Przypadło na lata okupacji sowieckiej i niemieckiej. Moi rodzice pobrali się w sierpniu 1939 roku. Ściślej, w ostatnich dniach sierpnia. Miodowe noce, podczas których zostałem poczęty, przeplatały się z dziennymi obowiązkami ojca, żołnierza KOP (Korpus Ochrony Pogranicza) na posterunku granicznym w Janówce k. Augustowa, tuż przy granicy z Prusami Wschodnimi. Granica ta przebiegała zaledwie kilkanaście kilometrów na zachód od Augustowa: od granicy Mazowsza na rzece Ełk (pod Boguszami) przez środek jeziora Rajgrodzkiego i stąd do jeziora Wisztyniec. Została ustalona traktatem z 27 listopada 1422 roku po bitwie pod Grunwaldem, przez Litwinów, którzy zmusili Krzyżaków do oddania tej części Jaćwieży.

Po wybuchu wojny w okolicach zachodniej granicy panował względny spokój. Niemcy nie ruszyli na Augustów, bo jak się później okazało, teren ten na mocy traktatu Ribbentrop-Mołotow został przydzielony Rosjanom. Jednak 1 września samoloty niemieckie zbombardowały dworzec kolejowy w Augustowie leżący niedaleko koszar 1. Pułku Ułanów Krechowieckich. Jeden z ułanów zestrzelił samolot niemiecki z wieżyczki ratusza miejskiego. Pułk opuścił miasto i zaległ na linii rzeki Rospudy, do której równolegle biegła granica niemiecka. Po paru akcjach zaczepnych, w których zniszczono między innymi strażnicę niemiecką w Kechlersdorfie (obecnie Zocie)

i w Awrstergu (Turowo), pułk po paru dniach opuścił teren. Wchodząc w skład Suwalskiej Brygady Kawalerii, skierował się na południe, stacząc po drodze szereg potyczek z Niemcami, by zakończyć szlak bojowy w dniach 2–5 października w ostatniej polskiej bitwie pod Kockiem. Na granicy pozostały tylko niewielkie oddziały KOP toczące potyczki z Grenzschutzem (niemiecka straż graniczna). W odwecie za polskie akcje Niemcy atakowali i palili nadgraniczne miejscowości nad Rospudą. Wtargnęli między innymi do Filipowa i wywiesili tam ogłoszenia oraz rozrzucili ulotki o następującej treści: „Za każdy spalony dom niemiecki będzie spalone dziesięć domów polskich”. Napisałi, że żaden z obywateli polskich nie ma prawa posiadać broni, inaczej będzie traktowany jako dywersant. Przy okazji łapali mężczyzn i jak niewolników pędzili do Prus na roboty. Później, podczas okupacji, wprowadzili zasadę, że za każdego zabitego Niemca będzie zabitych dziesięciu Polaków, lecz szybko się okazało, że i bez tego ustalenia zabijali znacznie więcej osób.

W połowie września, kiedy stało się jasne, że tereny przygraniczne nie będą zajmowane przez wroga z zachodu, oddziały KOP-u ruszyły na wschód w kierunku Grodna, miasta, które po ataku Rosjan na wschodnie rubieże Polski zostało częściowo opanowane przez wypuszczonych na wolność więźniów oraz miejscowych komunistów żydowskich. Ojciec opowiadał, jak już w Grodnie – podczas odwrotu – jego oddział został ostrzelany z karabinu maszynowego przez żydowską bojówkę, z balkonu kamienicy. O tym bulwersującym fakcie dowiedziałem się od taty już na początku lat 90., a później potwierdziły go badania historyków. W okolicach Grodna odbyło się preludeum Katynia. Rosjanie w dniu 22 września zatrzymali samochód z gen. Olszyna-Wilczyńskim. Drogę zajechał sowiecki czołg, z którego wyskoczył komisarz sowiecki z rewolwerem w ręku. Kazał generałowi wysiąść z auta i strzelił mu w głowę, ten sam los spotkał adiutanta generała, kapitana Mieczysława Strzemeskiego. Żonie generała oraz kierowcy łaskawie darowano życie.

Nie chciałbym tu pisać o bohaterskiej obronie Grodna przez wojsko i ludność cywilną, zwłaszcza harcerzy, uczniów szkół grodzieńskich. Na ten temat istnieją już szczegółowe opracowania zawierające relacje uczestników walk i historyków. Podczas zdobywania miasta Rosjanie zastosowali wariant stosowany później przez Niemców podczas Powstania Warszawskiego. Do pierwszego z nacierających czołgów przywiązano kilkunastoletniego chłopca, aby skłonić obrońców do zaprzestania ognia...

Pod koniec września 1939 roku tereny byłego powiatu augustowskiego w części zajęła Armia Czerwona. Suwalszczyzna i północna część powiatu przeszła pod administrację niemiecką. Granica między dwoma okupantami biegła od zachodu bez zmian, a od północy zaledwie osiem kilometrów od Augustowa linią rzeki Blizny przez Szczębrę, rodzinną wieś mojej mamy. Udało się więc Stalinowi spełnić plany i uzyskać bezpośrednio sąsiedztwo z Niemcami! Gdyby między Rosją a Niemcami nie powstała – w wyniku traktatu wersalskiego – Polska, komuniści rosyjscy, a może lepiej powiedzieć, żydowscy (osiemdziesiąt procent członków kierownictwa partii bolszewickiej to osoby pochodzenia żydowskiego) mieliby swobodną drogę do eksportu rewolucji „proletariackiej” do Niemiec i dalej na całą Europę Zachodnią. Teraz, po 20 latach panowania komunizmu, należało tylko się przyczaić i dokończyć zbrojeń – przede wszystkim z ogromną pomocą Niemców – a następnie ruszyć w marsz na zachód w charakterze „oswobodzicieli spod jarzma faszyzmu”. Chwilowo jednak Rosjanie stali się niezwykle cennym sprzymierzeńcem Niemców i dostarczali im gigantycznej ilości surowców strategicznych, które umożliwiały podbicie zachodniej Europy.

Rosjanie na zajętych terenach polskich natychmiast pokazali, co potrafią. Już 23 września koło śluzy w Białobrzegach czołgści sowieccy rozstrzelali dziewięćosobową grupę polskich oficerów i policjantów. Powiało grozą. Z inicjatywy miejscowych komunistów, głównie Żydów, zaczęto organizować struktury władzy sowieckiej. Do magistratu



Jez. Necko

weszło dwunastu nazistów żydowskich i zażądało od burmistrza oddania władzy. Gdy ten „wysłał ich do diabła”, zjawili się po godzinie z bronią i z czerwonymi opaskami na ramionach. 22 października (1939 roku) przeprowadzono fikcyjne wybory i te tereny przyłączono do Białorusi. Nie wiem, kto głosował „za”, bo powiat augustowski był zamieszkały w przeważającej większości przez ludność polską. W Augustowie na pewno „za” głosowali Żydzi, którzy pod czerwonymi sztandarami witali tłumnie okupanta kwiatami oraz „chlebem i solą”. Zresztą, znamy dobrze sowieckie metody głosowań: „nie ważne, jak ludzie głosują, ważne, kto liczy głosy”.

Zaczęła się wywózka Polaków transportami na Syberię i do Kazachstanu. Częstym kryterium aresztowań i wywózki był wygląd dłoni.

– Pokażij ruki (ros. pokaż ręce) – wołali czerwonooarmiści do zatrzymanych cywili.

Jeżeli dłonie nieszczęśników były gładkie, bez odcisków od pracy fizycznej, traktowano ich jak „pomieszczyków” (wyzyskiwaczy) i byli odstawiani do aresztów albo – często – stawiani natychmiast „pod stienku” i rozstrzeliwani. Na zesłanie wywożono inteligencję, nauczycieli, urzędników państwowych i bogatych chłopów zgodnie z listami przygotowywanymi jeszcze przed wojną. W czasie pierwszej akcji NKWD w dniu 10 lutego 1940 roku wywieziono ze wschodnich terenów Polski na wschód dwieście tysięcy Polaków. Wsadzano ich do bydłujących wagonów, w których spędzili kilkanaście dni podróży, w czasie mrozów i bez wyżywienia. Podczas postojów liczono ludzi: sprawdzano leżących w wagonach uderzeniem buta w głowę i martwych wyrzucano na śnieg. W ten sposób zamordowano lub zamęczono dziesięć tysięcy osób. Wywożonych wysadzano w tajdze lub na pustkowiach Kazachstanu, dawano im piły, siekiery i łopaty, po czym kazano się urządzać oraz pracować. Przy temperaturze około sześćdziesiąt stopni mrozu kwaterowano więźniów w prowizorycznych barakach (czasem kazano im takowe budować) lub w namiotach. Nawet gdy temperatura sięgała pięćdziesiąt stopni na minusie musieli oni pracować przy wyrębie tajgi, budowaniu dróg itp. Nie oszczędzano i kilkuletnich dzieci – też musiały ciężko harować w brygadach sowchozowych i kołchozowych. Praca obowiązywała wszystkich już od siódmego roku życia.

Zmęczeni, ogłupiali ludzie myśleli jedynie o jedzeniu. Zatracali człowieczeństwo. Jedyne, co się liczyło, to kromka chleba. Ona decydowała o przeżyciu następnego dnia.

Nie przewidywano powrotu więźniów do kraju. Słabsi umierali. Trupy codziennie wywożono poza teren obozów. Jak wspominają nieliczni świadkowie, którzy pozostali przy życiu, tylko co dziesiąta osoba, bez podstawowych środków do życia, przeżywała pierwszy

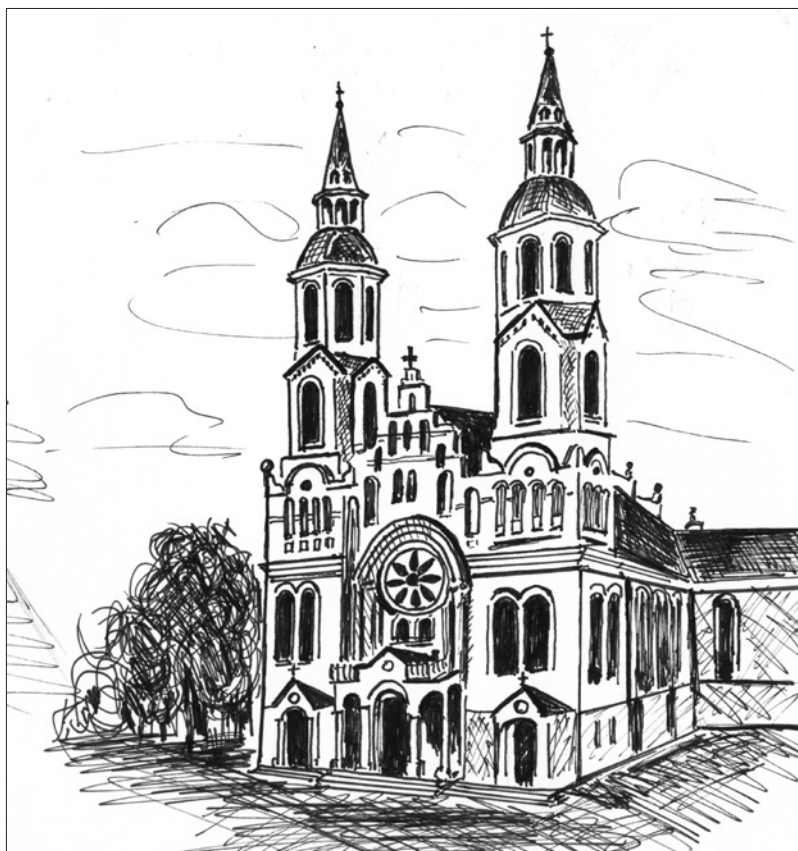
rok pobytu na wygnaniu. Podobno po obozach prowadzonych przez NKWD krążyła dewiza, że po przepracowaniu trzech miesięcy nie opłaca się już nikogo trzymać przy życiu. Tak „dobrych” wyników nie miały nawet obozy niemieckie (obecnie powinno się pisać nazistowskie).

Ciekawe, jak się powinno pisać o obozach rosyjskich; też nazistowskie? Przecież słowo „faszysta” („nazista”) jest jednym z najbardziej pejoratywnych pojęć w rozumieniu Rosjan. Gdyby im ktoś powiedział, że komunizm stanowi wyższą formę faszyzmu, byłiby i teraz gotowi zamordować swojego rozmówcę. Cóż bowiem znaczy siła propagandy!

Obozy niemieckie były wzorowane na wcześniejszych o dwadzieścia lat obozach sowieckich. Tu i tam dewizą był obowiązek pracy. W sowieckich obowiązywała reguła: „kto nie rabotajet, tot nie kuszajet” a w niemieckich: „arbeit macht frei”.

Ostatni transport z zesłańcami odjechał z Grodna już przy huku niemieckich bomb 21 czerwca 1941 roku. Opuszczając Augustów, rannym 21 czerwca 1941 roku, Sowietom ze straży granicznej NKWD nie zapomnieli o więźniach w barakach Zarządu Kanałowego. Ponieważ nie mieli czasu, aby ich ewakuować, poprzestali na rozstrzelaniu kilkudziesięciu ludzi! Podobnie, a niekiedy znacznie gorzej, było we wschodniej części Polski, na przykład we Lwowie, gdzie wymordowano kilka tysięcy więźniów.

Na całym wschodnim obszarze Polski Żydzi witali owacyjnie wkraczającą Armię Czerwoną, a później współpracując ściśle z okupantem, pomagali układać spisy Polaków do rozstrzelania i wywózki. W takim kontekście wydarzeń, zajścia w Jedwabnym i na innych terenach (nie tylko polskich, lecz także łotewskich, litewskich i ukraińskich), zajętych we wrześniu 1939 roku, należy traktować zupełnie inaczej. Prezydent Kwaśniewski przeprosił w imieniu Polaków za Jedwabne (gdzie zresztą do zamkniętych w stodole Żydów strzelali Niemcy organizujący pogrom). Powinien przeprosić w imieniu „nazistów”, przecież państwo polskie nie istniało, a pogromy Żydów organizowali Niemcy.



Bazylika mniejsza w Augustowie

rys. Stanisław Osowski

Nigdy nie słyszałem, żeby ktokolwiek przeprosił Polaków za zbrodnie dokonane na naszej ludności przez Niemców, Rosjan, Żydów i Ukraińców. Takie „strzały do jednej bramki” nasilają się w miarę upływu czasu i teraz się okazuje, że to naziści rządili w Polsce w latach 1939–1945. (Czy również na terenach II Rzeczypospolitej zagrabionych przez Sowieców w 1939 roku?). Tam naziści utworzyli obozy zagłady Żydów, w Oświęcimiu i Treblince. Wcześniej „podbili” Niemcy.

Młodzież niemiecka jest pozbawiona w szkole historii współczesnej i naprawdę w to wierzy. Co tam młodzież, wystarczy obejrzeć współczesny niemiecki film: „Nasze matki, nasi ojcowie”.

Nieznający historii Europy Wschodniej dziennikarze świata, Niemcy także, piszą o polskich obozach zagłady. Zatem nie można się dziwić prezydentowi Obamie, że gdy przyznawał odznaczenie legendarnemu kurierowi Karskiemu (dopiero ponad sześćdziesiąt lat po wojnie!), uważał, że nie popełnił gafy; mówił to, co wiedział (a raczej to, co mu napisali doradcy).

Mieszkam w Warszawie niedaleko placu Bankowego. Przy Arsenale znajdują się resztki torów, po których jechały transporty Żydów do obozu zagłady w Treblince. Co roku wiosną tłumy młodych Żydów z Izraela przyjeżdżają z wycieczkami szkolnymi, żeby odwiedzić to miejsce i uczcić pamięć pomordowanych. Patrę im uważnie w oczy i widzę w nich... nienawiść. Jestem blondynem i mam nordycką urodę, biorą mnie pewnie za potomka nazistów, którzy mordowali ich przodków.

Obok Arsenału stoi też kamień upamiętniający słynną Akcję pod Arsenalem, podczas której chłopcy z Grupy Szturmowej AK odbili z rąk Niemców swojego kolegę, Jerzego Bytnara, „Rudego”. Rudy wraz z innymi więźniami był przewożony z alei Szucha (siedzi-by Gestapo, gdzie był torturowany) do więzienia na Pawiaku. Akcja się udała, jednak bestialsko zmasakrowany chłopak zmarł parę dni później. Ale zmarł wśród swoich. To się działo w marcu 1943 roku, w czasie trwania tragicznej okupacji niemieckiej. Napis objaśniający ten bohaterski czyn żołnierzy AK jest w języku polskim, którego ci młodzi Żydzi (ani Niemcy) przecież nie znają. Gdyby obok był napis po angielsku, może przejaśniłoby się w głowach tym potomkom starozakonnych.

W Warszawie znajduje się mnóstwo miejsc, w których rozstrzelano Polaków podczas okupacji niemieckiej, a napisy objaśniające te fakty są jedynie po polsku. Miesiąc po „Arsenale” wybuchło Powstanie Żydowskie w Getcie. Grupa młodych Żydów umarła z honorem

i z bronią w ręku. Ta beznadziejna walka trwała parę dni, ale wie o niej cały świat. W roku 1944 wybuchło Powstanie Warszawskie, które trwało ponad dwa miesiące. Zginęło w nim około dwieście tysięcy warszawiaków. Jeden z oficerów niemieckich, weteran spod Stalingradu, pisał w swoich pamiętnikach, że zaciętość walk była taka sama jak w rosyjskim mieście nad Wołgą. Ale tam walczyła armia z armią, tu młodzi chłopcy, którzy szli z butelkami benzyny na czołgi. O Stalingradzie wiedzą wszyscy na świecie, a kto – oprócz Polaków – wie o naszym powstaniu, w którym zginął kwiat polskiej inteligencji?

Sowieci całą potęgą stali nad Wisłą i przyglądali się, jak sztuka-sy z lotniska na Okęciu codziennie nurkują nad Starówką i burzą dom po domu. Z procy można by je zestrzelić, tylko zabrakło biblijnego Dawida. Stalin na Kremlu zacierał ręce z radości i polecił zestrzeliwać samoloty alianckie lecące na pomoc Warszawie, gdy przekroczą niebacznie linię frontu. Sojusz okupantów w tej kwestii trwał. Jeszcze raz podali sobie ręce nad rozstrzeliwanym miastem.

Zastanawiam się, komu zależy na ukrywaniu tych wszystkich faktów. Na pewno nazistom, ale przecież oni nie rządzą Polską. Chyba, że się mylę...

Z tej pierwszej sowieckiej okupacji nic nie pamiętam, ale została w podświadomości. W naszym domu mieszkali oficerowie sowieccy, lubiący pić, śpiewać i grać na bajanie (takim rosyjskim akordeonie). Zostały mi te trzy ich cechy zaszczipione już na całe życie. Z jednym z tych oficerów, lejtantem Sawickim, rodzice się zaprzyjaźnili. Pochodził z Mińska na Białorusi i uważał się za Polaka. Gdy 21 czerwca wczesnym rankiem Niemcy rozpoczęli kanonadę, lejtant spał głębokim snem. Było to z soboty na niedzielę, a przecież noc była upojna, bo oficerowie raczej nie wylewali za kołnierz.

- Panie Sawicki – wołała mama, waląc w jego drzwi. – Niemcy idą!
- To nie Niemcy a burza – odpowiadał zaspany oficer.

Wreszcie, gdy świadomość doń wróciła, wypadł z domu, w pośpiechu zapinając pas z rewolwerem. Podobno zdążył tylko przytulić

mnie do piersi, gdyż byłem wiernym słuchaczem jego śpiewu i gry na bajanie. Miałem wtedy dokładnie rok i jeden miesiąc, ale zamiłowanie do śpiewu zostało mi zaszczone na całe życie.

Prawie czterdzieści lat później przebywałem w Mińsku na stażu naukowym. Dostałem od ojca adres Sawickiego z prośbą, by go odwiedzić i pozdrowić. Z trudem znalazłem podaną ulicę, znajdowała się gdzieś na obrzeżach miasta spalonego doszczętnie podczas wojny i zbudowanego od nowa. Uliczka przypominała tę sprzed wojny, w starym kresowym miasteczku: parterowe drewniane domki w zieleni, jezdnia pokryta nierówno „kocimi łbami”, a zamiast cementowych deptaków wydeptane ścieżki. Znalazłem drewniany, chylący się ze starości ku ziemi domek z nieczytelnym numerem, wszedłem do sieni i zapukałem. Cisza. Otworzyłem skrzypiące w zawiasach drzwi i wszedłem do izby. Uderzył mnie odór papierosów i wódki. Pośrodku izby stał okrągły stół na koślawych nogach, na nim leżały resztki jakiejś ryby w gazecie, blaszana puszka po konserwach pełna niedopałków, musztardówki i puste butelki. Na piętrowych pryczach spało kilkoro ludzi. Poczujęm się nieswojo i chciałem się wycofać, ale jeden z nich na górnej pryczy otworzył oczy.

– Czego? – wychrypiął.

– Szukam Sawickiego.

Facet na chwilę znieruchomiał.

– Masz zapalić?

Wyjąłem papierosy. Zeskoczył z pryczy bez problemu.

– Musi być jednak sprawny fizycznie – zarejestrowałem.

– Ty nie nasz, skąd jesteś? – wyciągnął mi bez ceregieli z paczki „Extra Mocnych” parę fajek.

– Z Polski – podałem mu ogień i też zapaliłem.

Wyszliśmy na zewnątrz.

– Pułkownik Sawicki umarł parę lat temu. Nic dziwnego, był wielokrotnie ranny podczas wojny z „giermańcem”. Jak wkładał mundur na dzień zwycięstwa, to miał całe piersi pokryte medalami. To był wspaniały

człowiek i bohater. Wszyscy go tu kochali. Widzisz te brzozy wzdłuż ulicy? To jego robotą. Ach, szkoda człowieka! – splunął na trawę.

Też żałowałem, że go nie poznałem.

Po Sowietach w 1941 roku przyszli Niemcy, którzy nie byli lepsi. Wprawdzie rozstrzeliwali za jakieś udowodnione przewinienia wobec władz niemieckich (a nie za niespracowane ręce), ale skala ich mordów była podobna. Też zaczęli od wysiedleń z terenów, które uznali za rdzennie niemieckie, np. z Poznania i okolic. Ludzie mieli tylko piętnaście minut na zabranie podstawowego dobytku (podobnie jak u Sowietów) i zostawali wywiezieni pod wschodnią granicę Generalnej Guberni. Na wschodzie, w Rosji zabijał ich mróz, głód, choroby i praca ponad siły. Wywiezieni na zachód, głównie inteligencja, byli rozstrzeliwani lub zsyłani do Oświęcimia.

W Augustowie początkowo rozstrzelali głównie Żydów (około tysiąc pięćset osób), pozostałych wywieźli do Treblinki. Potem przyszła kolej na Polaków; we wsi Szczebra pochowano około osiem tysięcy mieszkańców ziemi augustowskiej i suwalskiej.

A jak było na terenach okupowanej Polski? Żydowski historyk Szymon Datner, związany z Żydowskim Instytutem Historycznym, podał w swojej książce *Las Sprawiedliwych – Karta z dziejów ratownictwa Żydów w okupowanej Polsce* (Warszawa 1968), że w latach 1939–1941 stosunek mordowanych Polaków do mordowanych Żydów kształtował się w proporcji 10:1, natomiast w latach 1942–1945 wynosił 2:3. Czyli zabijano obie nacje, dlatego więc pisze się o Holocauście tylko w odniesieniu do Żydów?

Czasy okupacji były dramatyczne, chociaż znam je z opowiadań, głównie mamy. Ojciec rzadko się chwalił. Raz, już pod koniec życia, opowiadał, jak wracał spod Grodna jako zdemobilizowany żołnierz i już za Szczembrą, pod Augustowem, napotkał na patrol sowieckich pograniczników. Na szczęście żołdaci poprzestali na pobieżnej rewizji i sprawdzeniu dokumentów. Na szczęście, bo z tyłu za pasem miał zatknięty pistolet, czeską „zbrojovkę”.

Za okupacji niemieckiej ojciec miał niezłą fuchę, z racji odpowiedniego wykształcenia był inspektorem od kontraktacji tytoniu, jeździł więc swobodnie rowerem po całym powiecie. Był idealnym łącznikiem dla ludzi z konspiracji. Mama natomiast próbowała, jak mogła, wesprzeć ojca w utrzymaniu rodziny (brat urodził się dwa lata po mnie i niektóre produkty trzeba było zdobywać drogą wymiany towarowej). Najlepszym towarem, przy braku pieniędzy, był bimber, który jakoś trzeba było przewieźć do miasta przez posterunek żandarmerii na rogatkach. Słyszałem historię, jak mama, niosąc dwie butelki bimbru w koszyku, spotkała znajomego chłopca jadącego furą wypełnioną słomą do miasta. Butelki upchnęła w tej słomie.

- Halt! – zatrzymał żandarm furmankę. – Co tam wieziecie?
- Jak to co? – odkrzyknęła wesoło mama. – Bimber wiozę!
- Gdybyś ty wiozła bimber, to byś tak zębów nie szczyrzyła.
- Los, los! Schneller! – dodał i ponaglił ręką.

Znajomy chłop pod czas tej kontroli zrobił się błydy jak ściana. Jeszcze długo po wojnie wspominał epizod z mamą.

Zapamiętałem tę dobrą metodę wprowadzania w błąd za pomocą prawdy i wykorzystałem ją w podobnej sytuacji. Gdy kiedyś wracałem z „Sojuza”, przemyślałem przez granicę oryginalny samowar z Tuły, to też było zabronione.

Końcowe lat wojny to już pamiętam, ba, nawet przeżyłem bombardowanie Augustowa w lipcu 1944 roku przez samoloty niem... – nie, nie niemieckie a sowieckie. A tym nie każdy – oprócz nazistów – może się pochwalić. Podczas nalotu stałem, 4-letni chłopak, z otwartymi ustami, patrząc na wspaniałe fajerwerki, jakie rozpryskiwały się na moich oczach na niebie. Kolorowe koraliki smugowych pocisków niemieckiej artylerii przeciwlotniczej i wybuchy sowieckich bomb wokoło. Nalot zniszczył całą wschodnią stronę budynków przy rynku w Augustowie, kolumnę samochodów i pojazdów pancernych przy ulicy Rajgrodzkiej, gdzie mieszkaliśmy.

Zabawa we wrakach pojazdów była moim przedszkolem i pierwszym spotkaniem z techniką. I to zaważyło chyba później na wyborze

kierunku studiów. Chociaż zainteresowania miałem raczej humanistyczne, zdecydowałem się na studia techniczne.

Po trudnych doświadczeniach czasów okupacji niemieckiej Polacy, w moim odczuciu, nie byli zbyt wrogo nastawieni do Rosjan. Radość z zakończenia okupacji była ogromna, ale przyszłość szybko przyniosła ze sobą nowe rozczarowania i wiele dramatów. Mama opowiadała, jak wczesną wiosną 1944 roku uratowała rosyjskiego oficera Morozowa, który uciekł z niewoli niemieckiej (pod Suwałkami był obóz ze stu tysięcy jeńców), i przedzierał się do swoich. Podobno szukał ratunku u nas, bo do ataku Niemców w 1941 roku stacjonował w naszym domu. Morozow był skrajnie wyczerpany, mama go więc przechowała i odkarmiła, co pozwoliło mu kontynuować ucieczkę. Podczas ofensywy, w październiku 1944 roku, generał Morozow (tak, tak – generał) spłynął z nieba na czele swej dywizji powietrzno-desantowej wprost przed przypatrującą się temu mamę i zakrzyknął radośnie:

– Sobolewska!

Z Niemcami też układało się różnie, jeden z nich, mieszkający u nas lekarz, wyleczył mi wrzody na głowie.

Po wspomnianym nalocie Niemcy wysiedlili mieszkańców Augustowa i przez jakiś czas włóczyliśmy się po wsiach i lasach. Pamiętam z tej włóczęgi straszny głód, gdy przez dwa dni nie miałem nic w ustach i płakałem.

– Mamo, jeść!

Zdesperowana mama wyżebrała gdzieś kawałek suchara. Był twarde jak kamień, ale ssałem go łapczywie. Po chwili poczułem w ustach coś twardego. Był to po prostu kawałek drewna. Przez chwilę się wałęsałem, co z tym fantem zrobić, ale głód jest najlepszym kucharzem, ssałem więc dalej.

W końcu trafiliśmy do Topiłówki, rodzinnej wsi ojca, leżącej osiem kilometrów na północ od Augustowa i dwa kilometry na zachód od rzeki Rospudy. Wspominam o tej rzece, gdyż miała wpływ na moje kolejne, prócz maszyn, hobby, czyli kajakarstwo.

Miejsca w domu rodzinnym ojca było dużo, ponieważ dziadek Jan z żoną i dwojgiem dzieci został wywieziony na Syberię. Pojechał jednym z pierwszych transportów – według sowieckich kryteriów był kułakiem. Ruskim nie mieściło się w głowie, że rolnik może mieć sporo ziemi, sad i pasiekę, do tego murowaną stodołę krytą blachą, komplet maszyn rolniczych w obejściu, a na dodatek za stodołą saunę obok zarybionej sadzawki. Dziadka wywieziono za Ural do Zachodniej Syberii, gdzie pracował jako górnik w kopalni złota. Na szczęście był zdrowy jak rydz, przeżył i wrócił po wojnie do Topiłówki. To, że przeżył było fenomenem, bo większość zesłańców nie przeżywała nawet roku. Dziadek jednak nie pierwszy raz wywinął się z rąk Rosjan. Przed pierwszą wojną, w 1914 roku, został wylosowany jako poborowy do wojska carskiego. Na szczęście wpadł na pomysł, że na lekarską komisję wojskową pošle swojego brata bliźniaka, Piotra, który był bardzo chorowity. Komisja zdecydowanie odrzuciła cherlawego kandydata na carskiego sołdata, wszak służba w tym wojsku trwała przecież dwadzieścia pięć lat! Drugi raz dziadek wpadł w ręce Sowietów podczas wojny polsko-sowieckiej w 1920 roku. Jako żołnierz Wojska Polskiego znalazł się w niewoli i został wraz z grupką kolegów z plutonu zamknięty na noc w stodole. Było za ciemno na rozstrzelanie. I tym razem udało mu się tej samej nocy uciec.

Gdy przyjeżdżałem do Augustowa, lubiłem chodzić z dziadkiem Janem na piwo. Miał otwartą głowę i bardzo ciekawe spostrzeżenia na temat współczesnego świata.

– Popatrz Jerzy – mówił, zaciągając się papierosem marki „Sport” po wypiciu łyka piwa – jak to się świat zmienia.

Przyznałem mu w milczeniu rację.

– Jak byłem w twoim wieku, to nie było ani elektryczności, radio i telewizji, ani nie latały samoloty. A teraz ludzie na Księżycu wylądowali – dodał po wypiciu następnego łyka.

Po pierwszej wódce i następnym papierosie kontynuował:

– Ale pamiętaj, cokolwiek się na świecie zdarzy, nie można wierzyć Sowietom. Zrobią wszystko by nas załatwić. Nie mogą darować

nam przegranej w 1920 roku, bo zatrzymaliśmy ich pochód na podbój świata.

Współgrało to z często powtarzaniem powiedzeniem mamy: „Trzeba być chytrzejszym od bolszewika”.

Więc im nie wierzyłem, bo też miałem do nich żal. Wiosną i latem 1945 roku grupa żołnierzy sowieckich kwaterowała we wsi, a kilkunastu z nich przebywało stale na naszym podwórku. Byli nawet sympatyczni i chętnie pomagali w pracach rolniczych, jeździłem często z nimi furą na pole po siano, wtedy podczas jazdy śpiewali ładnie na głosy i uczyli mnie tekstów różnych żołnierskich i ludowych piosenek rosyjskich.

W tym czasie hodowałem małego zajączka, początkowo karmiłem go mlekiem, a później dawałem mu trawę, traktował mnie więc jak swoją mamę i ku ucieście Rosjan chodził za mną jak pies. Ale pewnego dnia zniknął. Szukałem go wszędzie, przepadł jak kamień w wodę. Pytałem także żołnierzy, którzy podzielili się na dwie grupy: jedna śmiała się ze mnie, a druga próbowała mnie pocieszać. W końcu pokazano mi sołdata winowajcę, który zajączka zabił i zjadł z kolegami na śniadanie. Winowajca spojrział na mnie złym wzrokiem i uśmiechnął się pogardliwie. Cóż to było dla niego, pogromcy faszystów, zabicie małego zwierzątka. Oprócz zajączka moją stałą przyjaciółką była kotka. Bardzo o nią dbałem, bo gdy mama dawała mi do picia mleko prosto od krowy, to prosiłem, żeby najpierw nalała kotu, który łąsił koło mojej nogi z łagodnym pomrukiem. Zwierzę wyczuwało moją sympatię i w podzięcie przynosiło mi często... upolowaną mysz. Kładło ją na poduszce tuż przy mojej twarzy, abym po przebudzeniu mógł zjeść przysmak na śniadanie. Kotka na szczęście chodziła własnymi drogami i zapewne mając takie wyczucie do ludzi z daleka omijała sowieckich żołnierzy.

Dziadek nie do końca miał rację, bo Rosja nie lubiła Polski, nie tylko za zatrzymanie ofensywy na Europę w 1920 roku. Miała pretensje sięgające wcześniejszych czasów, czego dowodem jest ustanowienie – już współcześnie przez Putina – Dnia Jedności Narodowej z okazji...

wypędzenia załogi polskiej z Kremla w 1612 roku (6 listopada – zamiast obchodów rocznicy rewolucji październikowej). Ustanowiono to święto po 400 latach od wspomnianego wydarzenia.

Zastanawiające jest, że Rosjanie wybaczyli Tatarom (byli w ich niewoli 200 lat!), Napoleonowi i Hitlerowi również, lecz nie Polakom. Wciąż nie mogą nam wybaczyć „poniżenia”. W słowiańskiej rodzinie podobnie jest jak w każdej, najtrudniej przebacza się najbliższym.

Spotykałem się z dziadkiem raz na parę lat. Początkowo zamawialiśmy tę samą ilość piwa i wódki, i wypalaliśmy po tyle samo papierosów. W miarę jak lat przybywało dziadek ograniczał stopniowo i picie, i palenie. Na ostatnim spotkaniu, tuż przed swoją dziewięćdziesiątką, zamówił tylko małe piwo i wypalił połówkę „Sporta”.

– Ale ty się nie krępuj i zamawiaj sobie to, co zawsze – uśmiechnął się porozumiewawczo.

Kiedys opowiedział o zdarzeniu związanym z koniem. Jak wspominałem, w Augustowie stacjonował 1. Pułk Ułanów Krechowieckich. Ułani poszukiwali po okolicach koni do służby i kiedyś zarekwirowali dziadkowi młodą klaczkę Baškę. W zamian dali mu konia ułańskiego. Dziadek kiedyś wjechał bryczką na rynek w Augustowie i trafił zrzędził, że na rynku przebywał szwadron ułanów. Trębacz zatrąbił na zbiórkę i koń razem z dziadkiem w tej bryczce ustawił się karnie w ordynku. Można sobie wyobrazić śmiech ułanów...

– Szkoda było Baški – westchnął dziadek, zaciągając się dymem z papierosa. – Twój ojciec wygrywał na niej wszystkie wyścigi w okolicy – dodał.

W wieku 6 lat dosiadałem tego ułańskiego konia na oklep, wsiadając na jego grzbiet z drabiny albo z płotu. Tak dojechałem na łąkę, gdzie koledzy pogonili „ułana”, a ten ruszył galopem i spadłem, bo trzymanie się grzywy nie wystarczyło. Koń się zatrzymał. Dobra ułańska szkoła nie idzie w las. Podprowadziłem „ułana” do wysokiej skarpy, wdrapałem się ponownie na grzbiet i dojechałem na pastwisko. Opowiedziałem o tym dziadkowi. Śmieliśmy się razem.

Zdrowy jak rydz dziadek Jan umarł w wieku dziewięćdziesięciu lat na słynną grypę szalejącą na początku lat 70. Jego chorowity brat bliźniak (który nie palił i nie pił) umarł rok wcześniej.

Na pogrzebie dziadka w Topiłowce jego sąsiad, a mój kolega z pierwszej klasy – Stach Bartoszewicz, powiedział ze smutkiem:

– No cóż, odszedł już ostatni Sobolewski z Topiłowki.

Zgadzało się, bo inny Jan, stryjeczny brat ojca, wraz z żoną i dwójkiem małych dzieci trafił podczas wywózki do kołchozu w Kazachstanie. Ponieważ był agronomem z wykształcenia, stanowił niezwykle cenną zdobycz dla pozbawionego mężczyzn ośrodka. Po porozumieniu Sikorskiego ze Stalinem w sierpniu 1941 roku, oczywiście już po napadzie Niemców na niedawnego sojusznika, chciał wstąpić do armii Andersa, ale mu nie pozwolono. Armia Andersa opuściła Rosję i później powołano Wojsko Polskie pod patronatem ZPP (Związku Patriotów Polskich, w którym byli właściwie oprócz Berlinga i Wasilewskiej sami Żydzi). Jan stał w dalszym ciągu podania do władz, ale bez skutku. Wtedy wpadł na pomysł i napisał do Wandy Wasilewskiej, do Moskwy. Pijący z nim ciągle wódkę enkawudzista pilnujący kołchozu powiedział:

– Janku, dlaczego nie mówiłeś, że Wanda to twoja znajoma. Wcześniej bym cię puścił.

Jan wstąpił do 1. Armii generała Berlinga i dotarł z nią do Berlina. Po wojnie chciał wrócić do Topiłowki, ale jego przełożony, generał Jaroszewicz, wezwał go do Warszawy i kazał mu pilnować polskich zdobyczy na tzw. Ziemiach Odzyskanych. Jan, już jako oficer, wrywał Rosjanom resztki poniemieckiego dobytku. Te ziemie, należące formalnie do Polski, wyzwoliciele traktowali jako „trofiejne” (zdobyczne) i czasami miały miejsce sceny jak z westernu – żołnierze polscy i rosyjscy stawali naprzeciw siebie z automatami. Wygrywali sprytniej. W nagrodę odesłano jednego takiego spryciarza na „placówkę” do Augustowa jako komendanta WDW (Wojskowego Domu Wypoczynkowego), gdzie zakończył służbę w stopniu pułkownika. Jego kolega z Augustowa, również były zesłaniec, Zygmunt Huszcza, został

generałem i znalazł się w Warszawie. Awans proponowano też Janowi pod warunkiem, że wróci do stolicy.

– Wolę być pułkownikiem w Augustowie niż generałem w Warszawie – odrzekł wówczas.

W Augustowie pozwalał sobie na gesty, których w Warszawie nie mógłby chyba czynić. Na przykład, we wczesnych latach 50., kiedy publiczne wyznawanie wiary przez urzędników państwowych, a zwłaszcza przez wojskowych, było surowo zabronione, zwykł uczestniczyć w niedzielnych mszach w mundurze. Takie gesty były znamionami odwagi cywilnej i przypominały podobne demonstracje czynione przez Hubala w czasie okupacji niemieckiej. Jego kolega z wojska, Wojciech Jaruzelski, nie wszedł nawet do kościoła po cywilnemu podczas uroczystości pogrzebowych swojej matki. To chyba najlepiej świadczy o klasie i odwadze obydwu.

Pułkownik Jan lubił biesiadować w gronie kolegów z Topiłówki. Sam byłem świadkiem jak z gen. Huszczą oraz kolegami z ławy szkolnej śpiewali przy suto zastawionym wielkanocnym stole nie tylko piosenki biesiadne, także religijne.

W Topiłówce podczas okupacji zostali trzej bracia ojca; wszyscy zaangażowani w konspirację. Jeden z braci, Wacław (pseudo „Sęka”), miał smykałkę do wojska. Jeszcze przed wojną jako ochotnik ukończył z wyróżnieniem Podoficerską Szkołę dla Małoletnich w Śremie. Potem służył w 78. Pułku Piechoty w Baranowicach, gdzie awansował do stopnia starszego sierżanta. Brał udział w wojnie w 1939 roku, w bitwie pod Mławą i w obronie Warszawy. Uciekł z niewoli niemieckiej, ale został złapany przez NKWD i osadzony w więzieniu w Grodnie, skąd uwolnili go Niemcy w czerwcu 1941 roku. Pod koniec wojny, po powrotnym przyjsciu Sowietów, był ponownie zmuszony do przejścia do konspiracji (już jako ppor. „Skała”).

Pozostali bracia, Jan (pseudo „Okół” i „Bajan”) oraz Tadeusz (pseudo „Zadziora”), byli również żołnierzami Armii Krajowej. Jan był nauczycielem biologii, jak opowiadał tato – uczył domowe gęsi latać i to z dobrym



Ułan

rys. Stanisław Osowski

skutkiem. Później został uczestnikiem Powstania Warszawskiego. Podobno po Powstaniu złapało go NKWD na Pradze z pistoletem pod głową, co równało się wyrokowi śmierci. Tadeusz cudem uratował życie podczas rozwałki więźniów w barakach Zarządu Wodnego. Gdy Sowieci wpadli z automatami w ręce do przepelnionej celi, schował się za piec i upadł, a po ucieczce Rosjan wy dostał się spod zwału trupów.

„Sęk” był bardzo wysportowany i miał świetną kondycję. Ojciec mówił, że jego bicepsy miały rozmiar uda dorosłego mężczyzny. Co o niczym nie świadczy, ważne, jak wykorzystywał swoją siłę. Podobno, podczas wnoszenia po krętych schodach zboża do „świeronka” (we współczesnym języku – spichlerza) Wacek brał jeden „metr” zboża pod jedną rękę, drugi – pod drugą, a na kark kazał sobie ładować trzeci. Siła fizyczna to jedno, a umiejętność walki wręcz, to drugie. Jak opowiadał ojcu jeden ze świadków (nie wiedząc, że mówi do brata Wacka), gdy Wacek szedł z nim w patrolu, napotkali nad jeziorem Sajno trzech uzbrojonych Niemców. Nie można ich było zabić, gdyż za każdego zabitego rozstrzeliwano dziesięciu Polaków. Można było ich tylko rozbroić. Podczas walki „Sęk” uporał się z dwoma i pomógł jeszcze opowiadającemu unieszkodliwić trzeciego.

„Sęk” dowodził jeszcze inną, ciekawą akcją. W połowie lipca 1944 roku w miejscowości Balinka dziewiętnastoosobowa grupa rozbroiła posterunek Wehrmachtu (osiemnastu żołnierzy) strzegących linii kolejowej Augustów – Grodno. Partyzanci przebrani częściowo w niemieckie mundury i krzyczący komendy po niemiecku zdobyli posterunek bez strat własnych i puścili Niemców (z jednym zabitym na furmance) bez mundurów boso do Augustowa.

Za zasługi bojowe Wacław został odznaczony Krzyżem Walecznych i Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami.

Jak tylko „Sęk” przebywał w domu rodzinnym, do Topiłówki często więc wpadało Gestapo, ponieważ miało swojego agenta w jego oddziale. Raz Niemcy przyszli zniemacka i natknęli się na Wacława wychodzącego właśnie z mieszkania:

– Wacław Sobolewski? – spytał gestapowiec.

– Nie, to mój brat, zaraz go wam przyprowadzę.

Zaskoczenie trwało kilka sekund, ale to wystarczyło, żeby poszukiwany wyskoczył przez okno w drugiej izbie i uciekł do lasu. „Na parapecie okna pozostał tylko kalosz Wacka” – przytaczam słowa Mamy.

Wściekli przybysze rozpoczęli śledztwo polegające na biciu wszystkich domowników i pytaniu o schowaną broń oraz bliższe informacje o partyzantach. Mama przytomnie wzięła mnie i mojego dwuletniego brata Witę na ręce, i usiadła w kącie. Oszczędzili ją. Co się wtedy napatrzyłem na cierpiących, to moje. Jednym z pobitych był kolega Ojca, który miał pecha i w przeddzień zajścia przyjechał do nas w odwiedziny. Rano mama powiedziała:

– Panie Krasowski, śniło mi się w nocy, że przyjechało Gestapo i tak pana skatowało, że leżał pan nieprzytomny na wznak na podłodze pod piecem. Niech pan natychmiast wyjeżdża!

– Co tam, pani Moniko – odpowiedział zuchowato gość i dodał – sen mara, Bóg wiara.

Nie posłuchał ostrzeżeń i leżał teraz pobity dokładnie w miejscu, które mama wcześniej mu wskazała.

Takie jasnowiedzenia Mamie się zdarzały. Przepowiedziała śmierć Wacka i to, że jego kości będą leżeć na polu bez pogrzebu. Raz, a było to już po wojnie, gdy właśnie sprzątała sień, rzuciła miotłę i krzyknęła:

– O Boże! – Piotr umarł!

Piotr był jej starszym bratem. Rzeczywiście, właśnie w tym samym momencie zginął rozerwany po nastąpieniu na minę w lesie k. Szczebry. W prostej linii to było około 8 km od Topiłówki. Byłem akurat przy Mamie i dobrze zapamiętałem tę chwilę.

Kiedyś zobaczyłem Niemców, gdy jechali czarnym autem w stronę naszego domu. Już wiedziałem, co nas czeka. W przeciwieństwie do stryjenki (żony Piotra, brata bliźniaka mojego dziadka Jana), która rzuciła motykę i z okrzykiem:

– Matko Boska, Niemcy! i pobiegła do domu, ja pobiegłem w przeciwną stronę, w zboże. Siedząc tam, słyszałem krzyki i strzały. Tym razem Niemcy poszli na całość, czyli miałem nosa. Po jakimś czasie wszystko się uspokoiło i zobaczyłem mamę wędrująca miedzą w poszukiwaniu swego pierworodnego, jak o mnie mawiała.

– Jurek, Jurek – wołała raz po raz.

Przeszła koło mnie ukrytego w zbożu, kierując się w stronę sąsiedniej wsi Janówka. Cierpliwie czekałem na jej powrót, obawiając się, że Niemcy wysłali ją podstępnie, żeby mnie wywabić z kryjówek. Ja też miałem swoje tajemnice. Bawiłem się często pistoletami swoich stryjów, gdy je czyścili. Wtedy trenowałem ich składanie i rozkładanie. Była to czynność o wiele bardziej pasjonująca niż bawienie się klockami. Poza tym wiedziałem, gdzie są one ukryte i zdawałem sobie sprawę, że mogę nie wytrzymać bicia i powiedzieć o tym Niemcom, przepraszam, nazistom.

Tu się zastanowiłem, bo w 2010 roku byłem w Berlinie na wystawie „Hitler i Niemcy” (tytuł podaję z pamięci). Oglądałem liczne zdjęcia tłumów wiwatujących na cześć swego Führera. Entuzjazm panował aż od momentu objęcia przez niego urzędu kanclerza w 1933 roku, gdy zajmowali Austrię, Czechosłowację, Polskę i Francję...

Z licznie zgromadzonych na wystawie artefaktów wywnioskowałem, że Niemcy i naziści to jedno i to samo. W nazistowskim wojsku służyli wszyscy Niemcy zdolni do noszenia broni. Ba, dumni byli z tego, że mogą służyć swemu przywódcy.

2. Powojenne przygody

ROSJANIE PODESZLI POD AUGUSTÓW LATEM 1944 ROKU I FRONT SIĘ ZATRZYMAŁ. Miasto „wyzwolono” w październiku, północną część powiatu już podczas ofensywy styczniowej. W przyfrontowej wsi, jaką była Topiłówka, stacjonowały rozmaite oddziały niemieckie, które po natarciu Rosjan na początku 1945 roku zostawiły masę różnego sprzętu wojskowego, w tym wielkie ilości amunicji. Dla pięcioletniego dzieciaka, to była frajda, tyle różnych „zabawek”. Ojciec zdawał sobie sprawę, że mnie nie upilnuje, toteż nauczył mnie, jak odróżniać „zabawki” bezpieczne od niebezpiecznych. Do dziś pamiętam różne jego pożyteczne nauki, np. jak rozbroić minę przeciwpiechotną, jak odróżnić po kolorze na naboju pociski rozrywające od zwykłych. Wiedziałem, że nie mogę rozkręcać kolorowych pułapek typu „wieczne pióra”, „kolorowe ołówki” i inne atrakcyjne przedmioty. Powszechną zabawą chłopaków, którą też bardzo lubiłem, było wbijanie naboji karabinowych w drewniane słupy płotów. Należało je tylko wbijać ostrożnie, sprawdzając uprzednio, czy nie są to pociski rozrywające (oznaczone, jak pamiętam, chyba czerwonym paskiem), a potem uderzyć w spłonkę gwoździem wbitym w deskę. Wbity krzywo nabój mógł zranić w nogę. W krótkim czasie niektóre płoty w okolicy były bardziej zdewastowane niż po ostrzale artyleryjskim.

Zwykłe naboje wrzucaliśmy w ognisko w celu wytopienia ołowiu, podobnie wytapiało się stalowe kulki z kostek trotylu – nadawały się

idealnie na pociski do proc. Inną chłopięcą zabawą było wysadzanie min przeciwpiechotnych. Przywiązywało się drut do końcówki zapalnika i z bezpiecznej odległości pociągało ku sobie, wyciągając przy tym zawleczkę.

Okolica była nafaszerowana pociskami, także drzewa w lesie; trzeba było zatem uważać podczas ich piłowania i rąbania. Nie zawsze się to udawało. Raz podczas gotowania w kuchni – po niespodziewanym wybuchu – makaron wylądował na suficie. Fajnie było, mimo lamentu mamy.

Ojca też „kręciły” wojenne „akcesoria”. Kiedyś zabrał mnie do zestrzelonego niemieckiego samolotu. Ściągnął ze zbiornika czystą, lotniczą benzynę, którą można było używać w zapalniczkach i zabrał taśmę z nabojami do działka lotniczego na pamiątkę. Podczas próby rozbrojenia pocisków, już w stodole, jeden się rozerwał. Ogłuszyło nas obu z lekka, a małeńkie cząstki metalu utkwiiły na długo w naszych uszach.

Tak dla czystej kronikarskiej wiadomości podam, że w stodole na belkach pod dachem ojciec zamelinował setki kostek trotylu. W owych czasach polskie zabudowania pełne były takich „pamiątek”. Podczas zdarzających się czasem pożarów straż bała się podchodzić do płomieni, w których często wybuchały jakieś wojenne niespodzianki. Rekord pobiło dwóch rolników z Podlasia. Podczas picia bimbrowa pokłócili się i jeden z nich wyprowadził „Ferdynada” (niemieckie działo samobieżne) ze stodoły i walnął w komin domu sąsiada. Ten w odwecie wyciągnął działo przeciwpancerne i strzelił w pojazd agresora. Huk armat był słyszalny wyraźnie w całej okolicy i wkrótce wojsko zawitało na pole bitwy. Ciężka broń została zarekwirowana, a sąsiedzi poszli na długoletnią odsiadkę do więzienia we Wronkach.

Karabiny i broń krótka były przechowywane powszechnie w schowkach, na wszelki wypadek. Jeden z naszych znajomych wykozystał swój arsenał jeszcze pod koniec wojny. Niemiecki lub ukraiński żołnierz wyprowadzał mu nocą z obory ostatnią krowę. Zrozpaczony wyciągnął ze schowka karabin i strzelił.

– Nikt niczego nie zauważył, zwłoki ukryłem, a strzały było słychać bardzo często, przecież front był obok – tłumaczył chłopina lizczący w kapeluszu chyba z metr pięćdziesiąt.

Dzięki znajomości elementarnej sztuki saperskiej uniknąłem z pewnością nie raz śmierci lub kalectwa, ale nie uniknąłem innej przykrej wpadki. W gospodarstwie, jak już wspomniałem, było dużo różnych maszyn rolniczych. Dziadek, który cudem ocalał na głodowych racjach żywnościowych jako górnik, po wojnie wrócił na swoje gospodarstwo. Ponieważ Rosjanie nie zdążyli jeszcze wywieźć jego maszyn (wywozili je dopiero po wojnie i to głównie z pobliskich byłych już Prus Wschodnich), w ramach samokształcenia badałem więc, jak działają wszystkie te urządzenia. Najbardziej zaciekały mnie przekładnie zębate i pochłonięty pasją badawczą włożyłem rękę „w tryby”, które zmiażdżyły mi dwa palce prawej ręki, serdeczny i mały. Ojciec, zobaczywszy wiszące na skórze paluszki, wziął bez słowa siekierę i kazał położyć rękę na pieńku w celu dokonania amputacji. Mama jednak w porę przerwała chirurgiczne zapędy Taty i poskładała te dwa paluszki „do kupy”, po czym zawinęła je w lnianą szmatkę. Stańczyk mówił, że w Polsce najwięcej jest lekarzy i miał rację. W domu było ich aż dwóch, chirurg i ortopeda. Dzięki temu drugiemu mam te dwa palce do dzisiaj, a nawet gram nimi na akordeonie. Został mi jednak po tym wypadku uraz i pracując już na Politechnice odmówiłem prof. Wójcickowi, znanemu specjalście od kół zębatach, robienia doktoratu z tej dziedziny. Miałem chyba rację, bo te zęby stały się przyczyną problemów i przeszkód w karierze naukowej innego mojego kolegi z pracy.

Mama była dzielna nie tylko w czasie wojny. Ponieważ byłem smakoszem miodu, postanowiłem któregoś dnia wybrać ten przysmak z ula za pomocą patyka. Pszczoły jednak okazały się mi przeciwnie. Chmara tych miłych, skądinąd, owadów rzuciła się na mnie natychmiast. Każdy, kto znajdował się niedaleko uciekł, i tylko mama zachowała się w tej sytuacji przytomnie. Chwyliła koc i okrywszy nim mnie, uciekła do domu. Ale ja byłem bliski śmierci, z samej głowy mama wyjęła mi 33 żądła. Tydzień

leżałem nieprzytomny, dusiłem się, bo miałem kompletnie spuchnięte gardło. Lekarzy wtedy nie było, mama zwróciła się więc do lekarza wyższej instancji i poleciła mnie opiece Najjaśniejszej Panienci. Zapewne tylko dzięki tej Wyższej Instancji żyję dotąd i mam powody przypuszczać, że ta opieka cały czas jest nade mną sprawowana...

Gdy już miałem sześć lat, mama nie mogła ze mną wytrzymać (miała oprócz mnie już trójkę młodszych dzieci) i posłała mnie do szkoły. A właściwie sam tam poszedłem, bo starszy o rok kolega z sąsiedztwa Staszek Bartoszewicz był już uczniem. Nie dawałem mu spokoju. Siedziałem razem z nim najpierw w jego domu podczas odrabiania lekcji i prób czytania „Ala ma kota” z elementarza Falskiego. Po paru dniach od rozpoczęcia roku szkolnego poszedłem razem z nim do szkoły. Może dlatego że stryjenka (żona Piotra, bliźniaczego brata dziadka) była nauczycielką w tej szkole, machnięto ręką na mój wiek i posadzono mnie razem ze Staszkiem. Tak stałem się pierwszoklasistą. Mama, by sprawdzić, czy będę dobrym uczniem, przeprowadziła na mnie test. Dała mi do ręki jakiś dziwny przedmiot, podobny w kształcie do kociego ogona, ale bez sierści, owinięty tasiemką związaną w wielką liczbę węzłów, z poleceniem, bym tę tasiemkę rozwiązał. Męczyłem się dłuższy czas, bo to zajęcie wymagało wielkiej cierpliwości. Jak już byłem bliski sukcesu, napotkałem na tak skomplikowany węzeł, że się wkurzyłem i rzuciłem tym kocim ogonem w kąt. Wtedy mama powiedziała:

– No synu, widzę, że nie będziesz dobrym uczniem!

– Dlaczego? – zapytałem zrozpaczony.

– Wiesz, czym był ten przedmiot, którym rzuciłeś? – spytała mama.

I dodała: – To był twój pępek!

Następnie wytłumaczyła mi, o co chodzi. Podczas mojego porodu położna odcięła mi ten „koci ogon” i owinęła go tasiemką, zawiązując na niej liczne supeły. Po czym wręczyła zawiąniętą mamie z poleceniem, że jak zacznę chodzić do szkoły, ma mi je dać, bym spróbował

tę tasiemkę odplątać z pępka. Jak zadanie zakończy się sukcesem, będzie to oznaczać, że jestem cierpliwy i będę dobrym uczniem.

Gdy się o tym wszystkim dowiedziałem, odnalazłem pod łóżkiem mój pępek i odplątałem tę cholerną tasiemkę. No i po są testy psychologiczne w szkołach? Metoda prosta, ale skuteczna, i o dziwo: moja późniejsza nauka przebiegała podobnie jak ten test, zwłaszcza na studiach. Były bardzo ciężkie i nie dawałem sobie rady: musiałem powtarzać niektóre lata. Studia na naszym wydziale ukończyło terminowo tylko czterech zatwardziałych kujonów.

W wieku siedmiu lat – na wiosnę podczas szkolnej wycieczki nad rzekę – porwał mnie podczas kąpieli nurt Rospudy. Całe szczęście, że poniżej stał jeden ze starszych kolegów i wyciągnął mnie z wody. To zdopingowało mnie do nauki pływania w stawie koło domu. Zastosowałem prostą metodę: położyłem się w wodzie na plecach, przy czym zanurzyłem także głowę (wraz z uszami). Zauważyłem, że usta są na wierzchu, a ciało nie tonie. Wystarczyło więc już tylko wykonać ruchy, jakie wykonywały pływające w stawie żaby. Podczas tych prób nikt mnie nie asekurował. Tak przestałem bać się wody, a z czasem otaczałem ją coraz większym uwielbieniem.

Do drugiej klasy poszedłem już w Augustowie, bo po powrocie dziadka z Syberii w Topiłowce zrobiło się za ciasno i za głośno. Zwłaszcza gdy córka dziadka z drugiego małżeństwa (poprzednia żona umarła w latach 20.) wyszła za mąż. Jej mąż, o nazwisku Gąsior, spędził mnie kiedyś z wiśni.

Wiśnię, jak i inne drzewa owocowe zasadził przed wojną mój tata, absolwent Technikum Rolniczego w Dowspudzie. Tej słynnej Dowspudzie, w której nad Rospudą był zbudowany pałac Paca, zniszczony następnie przez Rosjan z powodu udziału właściciela w powstaniu styczniowym. O wspaniałości tego pałacu, z którego zostały tylko resztki bramy, świadczy powiedzenie: „Wart pałac Paca, a Pac pałaca”. (Warto w tym miejscu wspomnieć, że jest to przykład niszczenia polskich elit i ich dorobku przez jednego z zaborców).

Gdy więc Gąsior spędził mnie z wiśni, ojciec, porwany słusznym gniewem, chciał go w zamian spędzić z tego świata. Wybuchła z tego w rezultacie wielka awantura, no i trzeba było przenieść się do Augustowa, praktycznie bez żadnego dobytku.

Z perspektywy czasu widzę, jak bardzo lata spędzone na wsi zawały na mojej psychice. Były to czasy, kiedy we wsiach nie było ani elektryczności ani gazu, nie mówiąc już nic o centralnym ogrzewaniu. Najtrudniej więc było zimą. Często po zawiei śnieżnej nie można było otworzyć drzwi od domu, ponieważ tak mocno zasypane były śniegiem. Podczas mrozów zdarzało się, że woda w domu, stojąca w wiadrach, częściowo zamarzała i z wierzchu pokrywała się lodem. W takie dni wszyscy musieli ciężko pracować, zarówno dorośli jak i dzieci. Trzeba było odśnieżać podwórko, rozpalać ogień w kuchni (nie gazowej, ale na drzewo), przygotowywać posiłki, lecz przede wszystkim karmić i poić zwierzęta.

Dzieci nie miały wówczas takich zabawek, jakie są teraz, gotowych, do kupienia w sklepie z zabawkami. Wykonywało się je w domu same-mu. Robiło się przeróżne gwizdki, strzelby czy proce. Nawet sanki były wykonywane własnoręcznie, ba, i łyżwy: strugało się formę z drewna, mocowało się ją rzemieniami do butów, a drut umieszczony pod spodem formy zastępował ostrze prawdziwej łyżwy.

Nie wiem, czy to, co nosiliśmy wtedy na nogach, można było nazwać butami... Jak miałem 6 lat, tata przywiózł mi z Augustowa „prawdziwe” buty – od szewca. Była zima. Włożyłem buty na nogi i przespacerowałem się kilka kroków, obserwując z dumą ślady odcisnięte na śniegu.

Tornister do szkoły, zrobiony przez moją tatę, służył mi przez parę lat. Teraz, gdy obserwuję dzieci obdarowywane dziesiątkami, a może i setkami różnych przedmiotów, którym na Pierwszą Komunię Świętą kupuje się komputery, tracę pewność, czy jest to właściwe. Czym będzie można te dzieci zaspokoić, jak osiągną pełnoletniość? Wszystko już miały! A mnie nadal cieszą nawet drobne przedmioty, zakupione przy jakiejś okazji.

Najbardziej dzisiaj cenię możliwość nasycenia się atmosferą wsi polskiej i jej folklorem. Jak się spojrzy na przedwojenną mapę Polski, bez trudu można dostrzec, że te ziemie z miastami: Grajewo, Augustów, Grodno, Suwałki są jak pępowina łącząca Mazowsze z Wilnem i żywiołem polskim na Litwie.

Pojezierze augustowsko-suwalskie to tereny dawnej Jaćwieży, o którą toczyli walki Litwini i Krzyżacy. Kraj Jaćwingów, niszczony w XIII w. najazdami krzyżackimi, opustoszał. Właśnie tam powstało osadnictwo łączące w sobie kulturę Mazowsza, Niemiec, Litwy i Rusi.

Obecnie kilkutyśięczna mniejszość litewska zamieszkuje północną część gminy ziemi sejneńskiej (głównie Puńsk i Sejny). Ludność posługująca się dialektami białoruskimi zajmuje natomiast niewielki, południowo-wschodni obszar powiatu augustowskiego, w pobliżu Lipska nad Biebrzą.

Ziemia augustowska leżąca na pograniczu wielu kultur, była za moich czasów bardzo bogata w zwyczaje i obrzędy ludowe, które kulturowano silniej niż w głębi kraju. Ludzie lubili się bawić, stąd często odbywały się imprezy ludowe, zabawy i huczne wesela, połączone ze wspólnym śpiewaniem. Mama Monika, pełna niespożytej energii („dziewczyna – spirytus”, jak mówiła o niej jej własna matka odradzająca ojcu ożenek), urodzona organizatorka, była przed wojną przewodniczącą Związku Młodzieży Katolickiej (nie znam prawidłowej nazwy) liczącego około 100 młodych dziewcząt i chłopców. Ci ludzie tworzyli zespoły pieśni i tańca, organizowali potańcówki i występy chóralne. Jak wspaniałe imprezy organizowała moja mama, wiem stąd, że nawet po wielu latach była witana radosnymi okrzykami przez swoich dawnych przyjaciół, już wiekowych starsuszków i ich żony. Tak było we wczesnych latach dziewięćdziesiątych, kiedy odbywałem z mamą rajd po terenach jej dawnej działalności w poszukiwaniu żony dla mojego kolegi Trampa.

Po wojnie nie utraciła nic ze swojej energii. Pamiętam wesele w 1945 lub 1946 roku. Dałem wówczas płamę, ale byłem mały i nie

rozumiałem jeszcze, co to znaczy wesele. Mama mi wytłumaczyła, że to takie przyjęcie, na którym nie brakuje niczego do jedzenia i picia. Posadzono mnie przy stole i zapytano grzecznie, czego się napiję.

– Mleka – powiedziałem natychmiast, bo to był wówczas mój ulubiony napój.

– Nie mamy mleka – zmartwiła się gospodyni.

– To co to za wesele, jak nie ma mleka! – skomentowałem głośno.

Śmiechu było co niemiara, ale wkrótce powiało grozą, gdy na salę biesiadną wkroczyło dwóch pijanych żołnierzy sowieckich z pepeszami.

– Wódki i dziewczyn – zażądali, wodząc lufami automatów po weselnikach.

Poczynali sobie swobodnie, bo to było już po wielkiej obławie augustowskiej w lipcu 1945 roku Rosjanie aresztowali wówczas i rozstrzelali w niewiadomym miejscu ok. 600 Polaków, przeważnie byłych partyzantów Armii Krajowej. Traktowali Polskę jak typowy kraj podbity, zdobycz wojenną.

W czasie obławy został zamordowany „Sęk”. Zaskoczyli go we śnie. Miał pistolet pod poduszką. Jego brat Jan również został zabity przez nowego okupanta, ale na warszawskiej Pradze. Wacka, po przesłuchaniu połączonym z torturami, wiozła furmanką do Augustowa dwóch żołnierzy. Oznaczało to jedno – kula w łeb, mimo że podczas wojny nasi współpracowali ze zwiadowcami majora Orłowa, których zrzucono w lasy augustowskie przed planowaną ofensywą. Niemal natychmiast po zajęciu Suwalszczyzny posuwające się za oddziałami frontowymi jednostki „Smiersz” i NKWD przystąpiły do aresztowań żołnierzy AK i wywoziły ich do sybirskich łagrów.

Pewnej kobiecie, żołnierzowi AK, sędzia powiedział wówczas: Walczyliście wprawdzie z hitlerowskim najeźdźcą, ale kto raz należał do podziemnej organizacji, ten nie ma prawa żyć pod naszymi rządami na wolności. I skazano ją na osiem lat życia w łagrze (informacja z Internetu).

Oddziały białostockiego okręgu AK, w celu obrony przed terrorem wojsk sowieckich i polskiej „władzy ludowej”, zostały przekształcone rozkazem z 15 lutego 1945 roku w Armię Krajową Obywatelską (AKO) i przeszły do ponownej konspiracji.

„Sęk” (teraz już pod pseudonimem „Skała”) zaczął ze swoim oddziałem sabotować zarządzenia władz sowieckich. Zamienił się w Janosika. Jego oddział rekwirował i oddawał miejscowym chłopom transporty bydła, które Sowietci pędzili z Prus do Sojuza. Rosjanie byli zdeorientowani, ponieważ „Skała” jeździł konno albo bryczką w mundurze porucznika Wojska Polskiego. Nie widzieli, że porucznik miał na czapce orzełka z koroną, ponieważ wywiął do nich po przyjacielsku pistoletem.

Gdy wreszcie dopadli „Sęka” we śnie, wiedział już, co go czeka. Podjął jeszcze walkę z konwojentami, ale ręce miał skute... Poległ w zbożu w Osowym Grądzie (dziś stoi tam jego pomnik). Rosjanie zabronili pochowania zwłok. Kiedy rok później ojciec wraz z drugim swoim bratem Tadeuszem szukali szczątków ciała, pewien rolnik powiedział:

– To tam, gdzie żyto rośnie bujniej.

Do tej pory nie jestem w stanie zaśpiewać jednego z fragmentów partyzanckiej piosenki:

*Gdy nie wrócę, niechaj wiosną rolę obsieje brat.
Kości moje mchem porosną i użyźnią ziemi szmat.
W pole wyjdź pewnego ranka – na snop żyta ręce złóż.
I ucałuj jak kochanka, ja żyć będę w kłosach zbóż.*

Pomnik postawiono dopiero kilkanaście lat po Okrągłym Stole, bo we wczesnych latach 90. ówczesny szef ZBOWID-u w woj. suwalskim oburzał się na ten pomysł:

– Co, jaki pomnik? Przecież to był jeden z największych bandytów!

Szef był widocznie jednym z „utrwalaczy władzy ludowej” na tym terenie. Gdyby nie bagnety Armii Czerwonej, „władza ludowa” nie

przetrwałaby w Polsce nawet jednego dnia, a już na pewno w tej jej części, która została zagrabiona przez Rosjan w 1939 roku. Powiat augustowski i suwalski zostały opanowane przez oddziały rzeczywistej władzy ludowej, a sowiecka władza, w sile kilkudziesięciu ubowców i milicjantów oraz kilkuset żołnierzy sowieckich, ograniczyła się do terenu miasta. Poruszano się po jego terenie zwykle samochodem pancernym. Jak podają współczesne źródła, w powiecie suwalskim do końca maja 1945 roku rozbito siedemnaście z osiemnastu posterunków Milicji Obywatelskiej, a z czternastu zarządów gminnych funkcjonowały tylko dwa. Podobnie było w powiecie augustowskim. Jednym z bardziej z aktywnych utrwalaczy władzy ludowej w Augustowie był pochodzący z Lipska siedemnastoletni pracownik PUBP-u, Mirosław Milewski, który pomagał Rosjanom w aresztowaniu uczestników polskiego ruchu oporu. Można by go spytać, gdzie są pochowane ofiary obławy augustowskiej, lecz do dzisiaj ten oprawca patriotów pozostaje nietykalny (jeżeli jeszcze żyje). W latach 70. był członkiem KC i szefem MSW. I niech mi jakiś sceptyk powie, że III Rzeczpospolita to nie jest PRL bis...

No więc, podczas wesela, partyzantów nie było już w pobliżu, stąd ta buta Rosjan. Weselnicy siedzieli jak sparaliżowani. Odezwała się moja mama:

– Damy wódkę, będą dziewczyny, ale musicie wpierw zatańczyć ze mną kozaka.

Intruzi się zaśmieli, wypili na starcie po stakanie samogonu, poprawili drugim na zapitkę, a gdy orkiestra zagrała, odłożyli pepesze i ruszyli z Mamą w tany. Nie wiedzieli, nieszczęśni, z kim mają do czynienia. Mama była mistrzynią tańca ludowego, a kozaka w szczególności. Żołnierze początkowo dziarsko sobie poczynali, ale orkiestra świadomie przedłużała granie. Nie wypadało im przegrać z kobietą, więc walczyli do końca. Do dzisiaj pamiętam tańczących, kompletnie wyczerpanych żołdatów, jak kolejno padają osłabieni na parkiet.

Z tej lekcji pobrałem stosowną naukę – muzyka i taniec łagodzą obyczaje, a pić należy z umiarem. No i nie zapijać wódki wódką.

Póki co piłem mleko i bardzo lubiłem słuchać kapel wiejskich, zwłaszcza z udziałem akordeonu. Siadywałem na podeście przy orkiestrze i słuchałem do późnej nocy, aż mama musiała siłą odciągać mnie od tego i zaprowadzać płaczącego do łóżka.

Pamiętam zwyczaj palenia ognisk w noc świętojańską zwany „palenocką” (jak wskazuje nazwa – ognisko zapewne paliło się całą noc). Kontynuowałem ten zwyczaj podczas późniejszych spływów kajakowych. Śpiewy, skkanie chłopców przez ogień, fajerwerki powodowane wrzucaniem naboju, rakiet, a niekiedy i pocisków artyleryjskich do ognia, strzelanie z rakiemnic, podpalanie prochu artyleryjskiego – to były zabawy! Naturalnie, w okresie świąt Bożego Narodzenia nie zabrakło kulturowania tradycyjnego „chodzenia z gwiazdą” czy z „królem Herodem”, a także urządzania w szkole jasełek. W noc poprzedzającą Wielkanoc praktykowaliśmy zwyczaj wędrowania od chaty do chaty ze śpiewem na ustach. Zresztą śpiewaliśmy zawsze i wszędzie.

Jeszcze dziś żywe są dla mnie te tradycje. Kiedyś, gdy telefono wałem w Wielkanoc, głęboką nocą do moich znajomych kajakarzy w Gdańsku, zaśpiewałem im: „Wesoły nam dzień dziś nastał...”

Swoich dzieci nigdy nie odrywałem siłą od muzyki, zabawy z rówieśnikami lub innych dziecięcych atrakcji, gdyż zapamiętałem, jaką przykrość mi samemu to sprawiało.

Podczas spływów kajakowych, jak już wspomniałem, wielką atrakcją były ogniska. To były przeżycia nieporównywalne z żadną dobranocką w TV. Ognisko rozpaliliśmy na zakończenie każdego etapu, czyli wieczorem. Dzieciaki natychmiast gromadziły się wokół i wpatrywały się w płomień jak zaczarowane. Wtedy jednak nadgorliwe matki uznały, że skoro w mieście zaczyna się już dziennik TV, to ich dzieci powinny iść spać. Odrywały więc te biedne stworzenia od największej atrakcji w ich dotychczasowym życiu. Kończyło się to zawsze jednakowo. Matki z płaczącymi dziećmi zamykały się w namiotach i próbowały je uspokajać do późnej nocy. Ponieważ pamiętałem o tej traumie z dzieciństwa, zezwalałem moim dzieciom na siedzenie przy ogniu aż



Pomnik Wacława Sobolewskiego („Sęka”)

do późnej nocy. Miały i ognisko, i muzykę, nasycone więc zabawą padały uśpione, mimo głośnych, niekiedy, śpiewów. Śpiące dzieci brałem pod pachę i zanosłem do namiotu. Przynajmniej nie budziły mnie rano i mogłem wypocząć po całonocnym ognisku.

Dzieciaki tak polubiły ogniskowe przygrywanie, że dwoje z trojga nadal jeździ na sływy i podobnie postępuje ze swoimi pociechami. Tylko mój najmłodszy syn woli od ogniska grę w piłkę nożną i wyjazdy urlopowe np. do Hurgady nad Morzem Czerwonym.

Nowy podział Europy Wschodniej dokonany pod dyktando Stalina na konferencjach w Jałcie i Poczdamie, był krzywdzący dla wszystkich: Niemców, Polaków, Litwinów, Ukraińców. Nie wymieniłem Białorusinów, spokojny naród z niewykształconą państwowością, niegdyś znajdujący się w granicach potężnego państwa polsko-litewskiego. Gdy byłem w 2003 roku na sływie kajakowym na Litwie, na

Pojezierzu Aukštajtis, czyli Święciańskim, niedaleko granicy rosyjskiej, w pobliżu elektrowni atomowej Ignalin, spotkałem w jednym z ośrodków Litwina i zacząłem z nim konwersację przy piwie. Podczas wakacji pomagał żonie w obsłudze baru położonego przy trasie spływu. Rozmawialiśmy po rosyjsku, inżynier z Wilna zachowywał się przyjaźnie. Wypiliśmy kolejny kufel piwa, aż w pewnym momencie rozmowa zeszła na temat „czyje co je”.

– Oddajcie nam Sejny – rzekł w pewnym momencie Litwin.

Ponieważ nie zareagowałem i spokojnie ciągnąłem piwko, dorzucił szybko:

– I Suwałki.

Dokończyłem piwo, zamówiłem następne i powiedziałem:

– Zgoda.

Wyraźnie się ucieszył, ale jak już przyniósł mi następny kufel, dodałem:

– Zgoda, ale pod warunkiem, że oddacie nam Wilno.

Więcej piw już niestety nie zamówiłem, mimo że następne miejsce, w którym można je było dostać, znajdowało się o wiele wioseł dalej. Cóż, są i takie granice pijaństwa.

Trzeba przyznać, że Litwin miał swoje racje. W XIX w. na terenie guberni suwalskiej mieszkali Polacy, Litwini, Żydzi, Rosjanie i Niemcy. Jak podają stosowne źródła, w 1897 roku udział procentowy Polaków, Litwinów oraz innych narodowości przedstawiał się następująco: w powiecie augustowskim Polacy stanowili sześćdziesiąt dwa procent ludności, a trzydzieści osiem procent Żydzi; w powiecie sejneńskim było sześćdziesiąt procent Litwinów i dwadzieścia procent Polaków, a w suwalskim osiem procent Litwinów i sześćdziesiąt cztery procent Polaków.

3. Trudne początki stabilizacji

W AUGUSTOWIE ZAMIESZKALIŚMY W MAŁYM DOMKU PRZY UL. Kwaśnej 1, na rogu ulicy Rajgrodzkiej. Rodzice, dzięki mądrej polityce ekonomicznej, na wydzierzawionym polu hodowali tytoń i len. Inwestycja była trafiona, a uzyskane z niej pieniądze pomogły nam stanąć na nogi. Kupiliśmy za psie pieniądze dom jednorodzinny od Żyda, który cudem ocalał podczas okupacji niemieckiej i teraz spieszo mu było do Palestyny tworzyć swoje państwo – Izrael. Potomkowie Mojżesza jakoś nie kwapili się tam wprowadzać systemu komunistycznego, mimo że cała Europa Wschodnia skwapliwie się tym zajmowała. Jedynym nawiązaniem do systemu sowieckiego były w Ziemi Świętej kibuce utworzone na wzór kołchozów przez miłośników komunizmu.

Dom, położony przy ulicy Krakowskiej, obecnie Wojska Polskiego, jak sama nazwa wskazywała, ulicy prowadzącej do Krakowa przez Warszawę, był zrujnowany. Nic to, ważne, że własny. Do domu przylegał ogród dochodzący aż do ulicy Kościelnej.

I tak staliśmy się „kamienicznikami” i posiadaczami ziemi. Dokupiliśmy jeszcze dwa hektary ziemi przy ulicy Rajgrodzkiej, niestety w odległości dwóch kilometrów od domu.

W roku 1948 poszedłem, w wieku ośmiu lat, do Pierwszej Komunii. Przygotowywał mnie ksiądz Kazimierz Hamerszmidt. Piszę jego nazwisko fonetycznie, gdyż tak je zapamiętałem. Był to wyjątkowy facet

z niesamowitą charyzmą, uśmiechnięty, pełen energii i fantastycznych pomysłów. Grał z nami w piłkę kopaną i brał udział w naszych zabawach. Ba, ministrantom kupił nawet dwie pary rękawic bokserskich. Tak mnie zafascynował, że również zostałem ministrantem. Niestety, po jakimś czasie ksiądz został odesłany do innej parafii. Ostatnio czytałem, że jest kandydatem na błogosławionego w Suwałkach, w parafii, w której pracował! Popieram tę kandydaturę! Właśnie takich świętych nam brakuje!

Mama bardzo dbała o nasze religijne wykształcenie. Twierdziła, że Kościół to jedyne lekarstwo na komunizm. Z perspektywy czasu potwierdzam, że miała rację. Oba ościenne mocarstwa odrzuciły w swojej ideologii Boga. Z jakim rezultatem? Tysiącletnia Rzesza przetrwała raptem chyba z osiem lat, Rosja bolszewicka trochę dłużej, a Kościół chrześcijański trwa już, dzięki Bogu, dwa tysiące lat.

Mama płaciła składki na KUL (Katolicki Uniwersytet Lubelski), w nadziei, że kiedyś będę tam studiował. Mogłem zostać studentem profesora Wojtyły... Może byśmy razem pływali latem na kajakach i jeździli zimą na nartach?

Zakupiony dom był żydowską ruiną i wymagał ciężkich remontów, podobnie ziemia – znoju i pracy, toteż jako najstarszy z siedmiorga rodzeństwa byłem bardzo obciążony najróżniejszymi zajęciami przez cały rok. Na podwórku rodzice zbudowali budynek, zwany garażem, w którym hodowali świnie i krowę. Budowa „garażu” odbyła się latem, w dodatku sposobem chałupniczym, bo pustaki z betonu robiliśmy sami, moje wakacje polegały więc na ciężkiej pracy w charakterze pomocnika majstra.

Pamiętam szczególnie dzień 28 października (imieniny Tadeusza), chyba w 1955 roku. Rano za oknem zobaczyliśmy śnieg, a mróz dochodził do minus piętnastu stopni. Mama załamała ręce:

– O Boże, na polu są jeszcze buraki. Jurek, dziś do szkoły nie pójdziesz, jedziemy na pole.

Na próżno tłumaczyłem mamie, że to bez sensu wygrzebywać buraki spod zamrożonej na kamień ziemi.

– Mamo, przecież ten mróz przyszedł za wcześnie. Zobaczysz, za parę dni będzie odwilż.

Byłem zrozpaczony, gdyż nie czułem już rąk z zimna.

Mama jednak była uparta i kontynuowaliśmy tę beznadziejną pracę. Oczywiście, za parę dni przyszło ocieplenie. Często powtarzam, że robota lubi głupiego. W tym przypadku powiedzenie się sprawdziło. Tak po raz pierwszy musiałem opuścić lekcje w szkole.

Miałem okropne dzieciństwo, bo nie dość, że musiałem bez przerwy pracować, to w dodatku stałem się przedmiotem ciągłych ataków moich rówieśników, którzy mieszkali w sąsiednich domach, należących jeszcze do miasta. Nie musieli pracować, stąd nazywali nas, zapewne za przykładem swoich rodziców, kamienicznikami i burżujami. Często wdawali się w bójki, z użyciem kamieni włącznie. Te łobuzy wyrosły na nierobów, gdyż nie chciało im się uczyć. Popalali papierosy i wczesnie zaczęli popijać. Ich rodzice też nie kwapili się do pracy.

W taki sposób tworzyła się nowa klasa społeczna, która miała rządzić Polską. Dla szybkiego awansu zapisywano się do Partii, w której robiono karierę. Potem bez odpowiedniego wykształcenia obejmowano funkcje kierownicze. Niektórzy pracowali w Milicji i UB.

Niechęć do bogatszych była związana z propagandą komunistyczną, której nie brakowało. Władza ludowa patrzyła na ręce „burżujów”, dlatego na przykład musieliśmy bardzo uważać, żeby utrzymać wzorową czystość chodnika i części ulicy przylegającej do naszego domu. Jeżeli po opadach śniegu nasz chodnik nie był odśnieżony wczesnym rankiem, natychmiast sypały się mandaty. W porze letniej nasza połówka ulicy musiała być pięknie zamieciona, a świeża trawka między kocimi łbami była traktowana jak przestępstwo. Oczywiście, sąsiednie, należące do „miasta” chodniki, już nie podlegały takim restrykcjom.

Wciąż zdarzały się różne dziwne „napaści” na nasze terytorium – do domu przylegał ogród – i w końcu musieliśmy odgradzić posiadłość od zawistnych sąsiadów i innych intruzów. W tak ogrodzonej posesji ojciec zasadził drzewa owocowe i założył pasiekę, mama

zrobiła warzywniak i posadziła kwiaty. W zasadzie byliśmy samowystarczalni pod względem żywnościowym. Kupowaliśmy tylko chleb, cukier i mąkę. Bo jajka też mieliśmy, od naszych kur. Nawet zbudowaliśmy własną wędzarnię w piwnicy, a mama sama robiła salcesony i inne przysmaki oraz przygotowywała wędliny do wędzenia. W czasie okupacji i tuż po niej mama w Topiłówe mieliła mąkę z ziarna w domowych żarnach składających się z dwóch odpowiednio ukształtowanych kamieni, przygotowywała ciasto i piekła chleb w domowym piekarniku. Do dziś pamiętam zapach chleba pieczonego na liściach tataraku. Zastanawiam się niekiedy, co się stanie w wielkich miastach, gdy nagle brakuje prądu. Powstanie chaos. A gdyby zabrakło wody, a jedzenia było niewiele, tak na jeden czy dwa dni...

Nocą Reks, nasz pies, o którym opowiem dalej, był spuszcany ze smyczy. Nietrwało długo, gdy po okolicy rozeszła się fama o złym psie. Był spokojny, choć nie zawsze. Miał jedną wadę. Kiedy jadł, nie życzył sobie, by mu przeszkadzano. Zwyciężała w nim wówczas wilcza natura i atakował nawet swojego, czego sam doświadczyłem. Kiedyś zaatakował mnie. Odskokczyłem. Zawadził kłami o moją pierś i ponowił atak. Zasłoniłem się lewą ręką, to chwycił mnie za przegub. Wtedy założyłem mu nelsona, był mój. Przydusiłem go. Puścił. Do dziś mam pamiątkę na przegubie po tej walce.

Jak już wspominałem, w domu rodzinnym ciężko pracowałem. Trudno mi o tym pisać. Wspomnę tylko o momentach, które wyrobiły moją kondycję fizyczną. Początkowo nie mieliśmy kanalizacji, a studnia znajdowała się na rynku odległym o jakieś dwieście metrów od domu. Od ósmego roku życia nosiłem wodę w wiadrach. Później zainstalowaliśmy w piwnicy pompę i skanalizowaliśmy dom, przez co staliśmy się obiektem zazdrości biedniejszych sąsiadów.

Roboty nie ubyło. Brakowało centralnego ogrzewania z sieci miejskiej. Ogrzewaliśmy więc dom drewnem i węglem. Drewno trzeba było piłować i rąbać przez cały rok. No i palić zimą w trzech piecach i w kuchni. Posiadaliśmy krowę. Rano, wiosną i latem, należało ją wyprowadzić na

łąkę odległą o dwa kilometry od domu. Paśla się na łańcuchu. Poiliśmy ją w ciągu dnia i prowadziliśmy w inne miejsce. Wypad na pole i z powrotem to była droga licząca cztery kilometry. Gdy się to pomnoży przez trzy, wychodzi dwanaście kilometrów – taką drogę pokonywałem każdego dnia pieszo, często biegiem, a jak dorosłem – na rowerze. Który lekkoatleta przebiega dziennie dwanaście kilometrów? Nie wiem. Podobno Zatopek pokonywał do osiemdziesięciu kilometrów dziennie.

Latem często biegłem nad rzekę Nettę odległą prawie kilometr od domu, żeby się wykąpać. Trzeba przyznać, niezły dystans treningowy.

Całe życie ciągnęło mnie w świat, najbardziej interesowała mnie woda, lecz rodzice nie pozwalali mi na takie eskapady. Byłem za młody. Toteż latem często odbywałem wyprawy rowerowe po okolicy, z których jedna utkwiła mi szczególnie w pamięci. Gdy miałem dziesięć lat, mama pozwoliła mi pojechać rowerem do Mikołajewa nad Wigrami. Mieszkał tam wujek Teofil, który był krawcem i miał mi uszyć krótkie spodenki. Pojechałem szosą w kierunku Suwałk. W Nowince skręciłem w prawo, w boczną drogę i dotarłem do Bryzgly, położonego już nad Wigrami. Właściwie znalazłem się niedaleko celu podróży. Jechałem dużym rowerem (dziecięcych chyba wtedy nie było, zresztą nie dojechał bym nim daleko), uzbrojony w niemiecką wojskową mapę, tzw. setkę, dosyć szczegółową: jeden centymetr na mapie odpowiadał jednemu kilometrowi w terenie. Nawet pojedyncze zagrody były na tej mapie zaznaczone. W tamtych czasach nie było w sprzedaży dokładnych map terenu, stąd moja mapa była prawdziwym skarbem! Dostęp do map mieli zapewne wyłącznie wojskowi, no i pracownicy odpowiednich organów bezpieczeństwa.

Powinienem dodać, że na naszym terenie bywało niebezpiecznie, nawet długo po wojnie. W samym Augustowie, w roku 1954 lub 1955, przeżyliśmy na naszej ulicy regularną nocną bitwę, gdzie w użyciu były granaty!

Dojechałem do Bryzgly i skręciłem w prawo, na wschód, w kierunku dużej wsi – Czerwony Krzyż. Potem miałem skręcić w lewo, na drogę

do Mikołajewa. Drogi w tym czasie nie były asfaltowe, a szutrowe. Jadę więc tą drogą, jadę, a wsi jakoś nie widać. Jak wynikało z mapy, była to duża wieś, nie powinienem więc jej przegapić. Nie ma żadnych chałup. Droga coraz bardziej się zwęża. Wjeżdżam w las, i w końcu docieram do rzeki. Gapię się w mapę, to Czarna Hańcza. Zawracam rowerem. Nastaje zmrok. Jadę do Bryzgia, gdyż tylko tam mogę spotkać kogoś, kto mi wyjaśni, dlaczego zapis na mapie nie zgadza się z rzeczywistością. Przypomina mi się znane powiedzenie: „Przyjechało wojsko, wyciągają mapy i zaraz się będą miejscowych o drogę pytać”. I rzeczywiście, pierwszy napotkany chłop wyjaśnił mi zagadkę:

– Dzieciaku, tej wsi już nie ma, została spalona w czasie wojny przez Niemców za pomoc partyzantom.

Później wyczytałem, że 23 marca 1944 roku niedaleko wsi rozegrała się bitwa między partyzantami z oddziału „Konwy” i Niemcami. Niemcy ponieśli znaczne straty, dlatego w odwecie wysiedlili ludność i spalili wieś.

Dojechałem do wujka nocą. Trochę się zdziwił, że Monika wysłała mnie samego w tak daleką podróż.

Rano pokazał mi ruiny kościoła, a właściwie klasztoru Kamedułów, całkowicie zburzonego przez Rosjan podczas „wyzwalania”. Obejrzałem z mieszanymi uczuciami porozrzucane wskutek bombardowania szczątki zakonników, których regułą było „pamiętaj, że umrzesz”.

Kiedyś przecież żyło im się nieźle. Gdy opuszczali klasztor, wyrzuceni przez Prusaków na początku XIX wieku, szli na kolanach aż do Mikołajewa. Tam, na rozwidleniu dróg postawiono na pamiątkę tego wydarzenia krzyż.

Jak wspominałem, kochałem wyprawy narciarskie. Już od młodości ciągnęło mnie zresztą do wszelkich wędrówek. Codzienne biegi, plus co najmniej godzinne pływanie (każdego dnia latem), to wyrobiło we mnie hart. Byłem wytrzymały i miałem sporą pojemność płuc – u kilkunastoletniego wówczas chłopaka wynosiła ona około siedmiu litrów. Mogłem zostać niezłym zawodnikiem w biegach narciarskich...

W dziesiątej klasie szkoła zakupiła kilkanaście par nart i urządzano wyścigi. Pamiętam, że wystartowałem w nich i natychmiast objąłem prowadzenie. Niestety moje narty, a właściwie wiązania miały jakiś feler i odpięły mi się trzynaście razy. A każde założenie nart i zapięcie wiązania to strata co najmniej kilkunastu sekund, dlatego nie zakwalifikowałem się do zawodów wojewódzkich. Widocznie nie było mi to sądzone.

Duża pojemność płuc pomagała mi w zawodach kajakowych, w których w późniejszych latach startowałem, często „z marszu”, po upojnej nocy. Wcale nie wypadałem najgorzej w porównaniu do tych, którzy przed zawodami starali się zachować ascetyczny tryb życia. Do sześćdziesiątego roku życia paliłem proporcjonalnie do wysiłku umysłowego lub ilości wypitego alkoholu. Gdy zbadałem swoją pojemność płuc w wieku pięćdziesięciu pięciu lat, okazało się, że odpowiada ona pojemności płuc czterdziestoletniego niepalącego mężczyzny. A wszystko przez codzienne obowiązki domowe i naturalną skłonność do dbania o tężyznę fizyczną – miałem ku temu swoje powody, bo przecież musiałem często odpierać ataki zawistnych kolegów z sąsiedztwa. Poza tym byłem zakompleksiony z powodu moich rzywawych włosów i złamanego nosa.

Nos złamał mi mój młodszy braciszek Witia, trafiając celnie w niego podczas kłótni ziemniakiem. Miałem wtedy sześć lat. Kompleksy więc musiałem jakoś sobie rekompensować, co wyrobiło we mnie instynkt samokształcenia umysłowego i fizycznego. Złamany nos został poprawiony podczas operacji plastycznej w Warszawie, kiedy miałem już dwadzieścia lat. Dwie doktorki, które mnie operowały w klinice na Oczki, wycięły mi fragment chrząstki międzyżebrowej i wstawiły w nos, poprawiając profil. Co ciekawe, nikt z kolegów nie zauważył zmiany, ale nawyk pracy nad sobą pozostał.

Od ciężkiej pracy w domu ratowały mnie miesięczne kolonie letnie w wakacje, zorganizowane na wzór obozów harcerskich. Byłem chyba najradośniejszym ich uczestnikiem. Tak samo późniejszych obozów

wojskowych czy spływów kajakowych. Nareszcie mogłem się bawić. Reżym kolonijny czy wojskowy to było nic w porównaniu z karną kolonią w domu rodzinnym.

Po raz pierwszy na kolonie wyjechałem w 1950 roku w okolice Węgorzewa. Pamiętam je dobrze, gdyż wówczas, pod koniec czerwca, doszła nas wiadomość o wybuchu wojny w Korei. Z pobytu na kolonii pamiętam śpiewy przy wieczornych ogniskach i kąpiele w jeziorze, niestety obie imprezy trwały zbyt krótko jak na moje oczekiwania. Naszymi opiekunami byli instruktorzy rodem ze Związku Harcerstwa Polskiego, zyskiwałem więc sporo, wczuwając się w atmosferę przedwojennego ZHP.

W 1951 roku wyjechałem na kolonie na zachód Polski, w okolicy Sulechowa nad Odrą. Mieszkaliśmy w pałacu jakichś książąt niemieckich. Obecni właściciele posiadłości uciekli przed Armią Czerwoną, a z mumifikowane ciała ich przodków w średniowiecznych strojach można było oglądać w kaplicy pałacowej. Pamiętam akcję zbierania stonki, ponoć spuszczonej na Ziemię Zachodnie przez imperialistów amerykańskich. Stonkę zbierało się do butelek, a ponieważ byłem biegły w tej robocie rada kolonii ufundowała mi w nagrodę „cenną” książkę pt. *Z dziejów biedoty wiejskiej*. Zupełnie nie rozumiem, jak mogli próbować mnie przekonywać, że na wsi żyje się ubogo. W moich okolicach każdy rolnik miał gospodarstwo i nie widziałem tam żadnego biedaka. Z pobytu pod Sulechowem pamiętam małpie skakanie po drzewach. Koło pałacu był zagajnik gęsto posadzonych kilkunastoletnich może sosen czy świerków. Drzewka były bardzo elastyczne, lubiłem wspinać się na nie i skakać z drzewa na drzewo. Było to trochę ryzykowne, bo nietrafiony skok na wysokości dwóch, trzech metrów mógł skończyć się tragicznie, zwłaszcza, że te surowo zabronione zabawy uprawiałem w pojedynkę. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że bawiłem się w Tarzana. Prócz skoków urządzaliśmy sobie podchody. Byłem prowodyrem tych partyzanckich ćwiczeń, dlatego rówieśnicy wybrali mnie na zastępowego, co czyniło mnie odpowiedzialnym



Klasztor Kamedułów na Wigrach

za bezpieczeństwo wszystkich. O zabłądzenie w lasach nie było trudno. Miałem już wprawę w podchodach, gdyż „partyzanckich kroków” uczył mnie Ojciec jeszcze latem 1944 roku, gdy wysiedlono nas z Augustowa i przebywaliśmy jakiś czas w lesie. Chodzenie „po partyzancu” polegało na bezszelestnym poruszaniu się. Stopy trzeba było stawiać w to samo miejsce co poprzednik, tak by nie złamać ani jednej gałązki, co zwłaszcza wieczorem było trudne, ale ekscytujące. Ta umiejętność często ćwiczona przydawała mi się później podczas innych zabaw w lesie, gdy podchodziliśmy blisko siebie, najciszej jak tylko można, i krzyczeliśmy: „Trafiony!”

4. Szkoła i polityka

PRZY ULICY RAJGRODZKIEJ ZNAJDOWAŁA SIĘ SZKOŁA PODSTAWOWA, W KTÓREJ SKOŃCZYŁEM DRUGĄ I TRZECIĄ KLASĘ. Z pobytu w tej szkole niewiele zapamiętałem. Po przeprowadzce na ulicę Krakowską nastąpiła zmiana rejonizacji i przenieśliśmy się w czwartej klasie do szkoły podstawowej przy ulicy Młyńskiej obok liceum ogólnokształcącego.

Ze szkoły przy Rajgrodzkiej zapamiętałem tragiczny wypadek, w którym zginął mój kolega. Ślizgał się po zamrożonej sadzawce, lód się załamał i wpadł do wody. Chcieliśmy mu pomóc, wokół niego była jednak woda i połamany lód. Wtedy chłopak powiedział:

– Podpłynę pod wodą do przerębli, tam będzie łatwiejsze dojście. Zanurkowałem i już nie wypłynąłem.

Pani od polskiego kazała nam potem napisać wypracowanie, jak należy ratować się w sytuacji, gdy załamał się lód. Jedną z metod polegała na wykorzystaniu deski i wspieraniu się na niej w miarę zbliżania się do brzegu, żeby zapobiec dalszemu łamaniu się lodu. Ta wiedza przydała mi się siedem lat później, kiedy byłem uczniem liceum ogólnokształcącego przy ulicy Młyńskiej (przemienionej w ul. Związków Zawodowych). Było dwadzieścia pięć stopni mrozu, dlatego zwolniono nas z zajęć szkolnych. Wracałem z wycieczki narciarskiej, którą zorganizował nasz pan od WF-u i geografii, profesor Ryszard Jędrzejewski. Skracając sobie drogę, wjechałem od strony jez. Białego na Cichą

Rzeczkę, co okazało się fatalną decyzją. W Klonownicy pod mostem na szosie Augustów – Suwałki śnieg na lodzie dziwnie zwilgotniał. Obawiając się, że spody nart pokryją się lodem, zdjąłem je. Natychmiast znalazłem się pod wodą. Byłem wściekły z powodu własnej głupoty. Gdy już dotarłem do brzegu, pomagając sobie nartami, których używałem jako desek ratunkowych, skierowałem się do pobliskiej leśniczówki. Nart nie mogłem stracić, bo były pamiątką rodzinną. Tata wykonał je z jesionu, gdy przed wojną biegał przez zamarznąłą Rospudę i bagna w konkury do mamy mieszkającej w Szczębrze.

Na szczęście leśniczówka znajdowała się niedaleko rzeki, lecz podczas tego krótkiego spaceru moje mokre ubranie zdążyło zamienić się w pancerz rycerza, wszak było dwadzieścia pięć stopni mrozu! W leśniczówce, gdzie oprócz leśniczego były jeszcze jego trzy urodzive córki, rozebrano mnie do naga i wysuszono ubranie. Po paru godzinach wróciłem do domu, bez kataru, ale za to z towarzyszem – rocznym psem Reksem. Leśniczemu bardzo się spodobało, że ktoś chce go uwolnić od kłopotu, jakim był niechciany „psowilk”. Pies był dziwny, bo z sylwetki przypominał charta syberyjskiego, choć z natury był wilkiem, takim leśnym wilkiem – owczarkiem niemieckim. Urodził się z mezaliansu charcicy z wychowywanym w gajówce od szczeniaka prawdziwym wilkiem. Reks bardzo mi się spodobał, więc zapragnąłem go mieć na własność. Różnił od normalnego psa tym, że atakował bez szczekania, najchętniej od tyłu skokiem na kark. Do mnie też wystartował z wyszczerzonymi zębami, od razu gdy weszłam do leśniczówki. Gajowy oddał mi psa za darmo. Nie wiedziałem tylko, jak to agresywne zwierzę zaprowadzić do domu, w dodatku na nartach. Leśniczy dał mi prostą radę:

– Prowadź go na krótkim sznurku, jak będzie chciał atakować, to ciągnij sznurek do siebie. Wtedy on zacznie się bać, zaprze się łapami i zrozumie, że jesteś silniejszy od niego.

Łatwo powiedzieć, trudniej wykonać. Pokusa posiadania takiego wyjątkowego zwierzęcia jednak zwyciężyła. Leśniczy przywiązał

sznurek do szyi Rekxa i dał mi do ręki końcówkę sznurka. Zwierz natychmiast zaatakował. Resztką odwagi pociągnąłem sznurek ku sobie. Pies z miejsca nabrał do mnie szacunku. Gdy mama zobaczyła psa załamała ręce. Musiała jednak ustąpić; zrozumiała bowiem, że nie ma już wyjścia. Rok wcześniej mój ukochany pies, Bryś, z którym byłem nawet kiedyś na spływie kajakowym, zginął potrącony przez samochód. Teraz zastąpił go Reks. Stał się moim towarzyszem w częstych wyprawach narciarskich po polach i lasach okalających Augustów.

Jak wspaniale było obserwować gonitwę Rekxa za zającem! Biegł po śniegu wielkimi susami, a szybki i zwrotny zając uciekał. Gdy pies był już blisko szaraka, ten zmieniał nagle kierunek i gonitwa zaczynała się od nowa. Wiadomo bowiem, że jeden chart nie da rady zającowi. Muszą biec dwa, równolegle do siebie, a zając między nimi. Przypomina się słynny opis pościgu dwóch chartów za zającem z *Pana Tadeusza*. *Smyknął szarak; już Kusy, już go Sokół goni.*

Pies przydał się na podwórku, skutecznie odstraszał nocnych intruzów.

Szkołę wspominam z przyjemnością; miałem przynajmniej towarzystwo i pochłaniałem odpowiednią porcję wiedzy, w przeciwieństwie do beznadziejnego wykonywania niekończącej się listy prac domowych w gospodarstwie rodziców, do czego zaganiano mnie przy każdej okazji.

W szkole uczyli przedwojenni nauczyciele, którzy potrafili przekazywać wiedzę w ciekawy sposób. Oto przykład: profesor Żółtek na pierwszej lekcji chemii w V klasie wyjął z kieszeni pudełko zapalek i zapalił jedną z nich. Wzbudził tym ciekawość całej klasy. „Może chce zapalić papierosa?”. Ale nie, zgrabnie pośliniwszy palce, spalił całą zapalkę i zapytał:

– Co to było?

Padły różne odpowiedzi, ale żadna nie opisywała zagadnienia.

– To reakcja chemiczna – zaczął szczegółowo wyjaśniać profesor.

Wspaniałe, prawda? Zdziwiła mnie, że istnieją metale lżejsze od wody, co mogłem sprawdzić naocznie, gdy nauczyciel położył w naczyniu z wodą kawałek sodu. Metal rzeczywiście krążył z sykiem po wodzie. Fascynowały mnie takie zjawiska i nabierałem szacunku do wiedzy.

Kiedy opisuję tę historię, przypominam sobie panującą na lekcjach ciszę. Jak trudno w to dzisiaj uwierzyć. Nauczyciel wchodził do klasy, a wszyscy uczniowie wstawali, na znak szacunku. W pierwszych latach mojej nauki zajęcia zaczynały się modlitwą. Później, w ramach postępującej komunistycznej, przed lekcjami odbywały się na korytarzu apele dla całej szkoły. Na początku miała miejsce pogadanka polityczna, a na końcu śpiewaliśmy jedną z pieśni ludowych, zwanych też masowymi, zgodnie z programem rozsyłanym zapewne do wszystkich szkół w Polsce. Nie zdawałem sobie wtedy jeszcze sprawy z siły propagandy, która miała nas ukształtować na młodych komunistów. Te pieśni masowe pamiętam do dziś. Oto fragment jednej z nich:

Stalin naszą gwiazdą jest przewodnią.

Stalin to przyszłości naszej blask.

My z Stalinem walcząc zwyciężamy.

O Stalinie marzy naród nasz.

Pięcioletnia okupacja niemiecka nie wyrządziła tyle zła w świadomości Polaków, co propaganda sowiecka, która trwała, niestety, dłużej. Na lekcjach historii, rosyjskiego i przy okazji różnych świąt mówiło się często o wojennych wyczynach bohaterskich żołnierzy radzieckich: o kapitanie Gastełło, który skierował swój płonący samolot na kolumnę hitlerowskich pojazdów, o bohaterze „Sowieckowo Sojuza”, Matrosowie, który własną pierśią zasłonił faszystowskie, czyli niemieckie, gniazdo karabinów maszynowych, o bohaterskim lotniku Mieresejewie, który po utracie nóg latał dalej używając protez itd. Także filmy radzieckie pokazywały ciągle bohaterskich żołnierzy i niezwyciężoną Armię Czerwoną. Szkoda, że nie mówiono nic o tym, że w pierwszych

miesiącach wojny poddało się do niewoli niemieckiej kilka milionów żołnierzy sowieckich i mało brakowało, a Hitler zająłby Moskwę. Ale to była celowa robota propagandowa i... odnosiła zamierzony skutek. Po wojnie okazało się, że Polacy nawet nie uczestniczyli w paradzie wojskowej w Londynie z okazji zwycięstwa. Podobno nie chciano urazić Stalina. Zabrakło dla nich miejsca, a przecież armia polska była czwartą pod względem liczebności i wysiłku zbrojnego armią aliancką. Nasi lotnicy we wrześniu 1940 roku zestrzelili najwięcej samolotów niemieckich przed planowaną inwazją na Wielką Brytanię. Gdyby nie nasi, to w Londynie rok później odbyłaby się zapewne parada wojsk niemieckich (i to mimo sprzeciwu parlamentu brytyjskiego).

Nie doceniamy siły propagandy. Może to śmieszne, co teraz napiszę, ale pozornie naiwna, nachalna propaganda jest niezwykle skuteczna. Media współczesne w Polsce, które są opanowane przez zwolenników układu postkomunistycznego, posługują się podobną siłą. Jej potęga jest niedoceniana. Wystarczyłoby zamienić nazwisko Gierek na Tusk i byłoby tak samo jak dawniej. Oczywiście na nieco mniejszą skalę, lecz w taki sam szkodliwy sposób.

Co się dzieje ze śledztwem dotyczącym tragedii smoleńskiej, największej tragedii po wojnie? Jak już wspomniałem, na przekór faktom preferuje się mit o pancерnej brzozie, o którą zahaczyło skrzydło samolotu. A przecież podobnych rozmiarów koniec skrzydła urwał po zderzeniu z innym samolotem amerykański Boeing, i lądował spokojnie na lotnisku.

Bogdan B., kolega mojej córki, opowiadał mi na sptywie, że jego ojciec specjalista od awioniki nie nocuje ostatnio w domu. Boi się, bo po badaniach napisał raport stwierdzający, że samolot miał zablokowane przez wybuch lotki i nie mógł wykonywać swobodnie manewrów. Zważywszy na niepokojącą liczbę samobójstw wśród ludzi związanych z katastrofą smoleńska, obawy jego ojca są uzasadnione.

Przed kilkunastu laty amerykański myśliwiec we Włoszech ścigał skrzydłem linę kolejki nośnej w Dolomitach. Będąc tam na nartach,

wielokrotnie przyglądałem się stalowym linom tych kolejek. Miały średnicę około pięćdziesięciu milimetrów, były więc zapewne wykonane z bardzo dobrej stali. Samolot nie tylko ściął linę, ale i bez widocznych uszkodzeń lądował na lotnisku.

W internecie można znaleźć film o samolocie (Tu-155), który lądował awaryjnie w lasach niedaleko Moskwy, miesiąc przed wypadkiem smoleńskim. Samolot ściął leśne drzewa na przestrzeni kilkuset metrów (na szerokość rozstawienia skrzydeł) i wylądował bez groźnych dla pasażerów uszkodzeń. Był popękany, ale skrzydła trzymały się kadłuba i nikt nie zginął. A samoloty, które uczestniczyły w zamachu 11 września 2011 roku w Nowym Yorku? Na filmach widać, że weszły „jak w masło”, bez utraty skrzydeł, w stalowo-betonowe konstrukcje wież World Trade Center.

Kilkudziesięciu polskich naukowców udowodniło, że miały miejsce wybuchy na pokładzie tupolewa. I co dalej się wydarzyło? „Rzeczpospolita”, która podała w końcu października 2012 roku do wiadomości, że polscy prokuratorzy odkryli obecność materiałów wybuchowych w samolocie, została zmuszona do odwołania tej informacji. Redaktor naczelny podał się do dymisji, a redaktor artykułu wyleciał z pracy. W tym samym czasie chorąży Muś, technik polskiego samolotu, który lądował na lotnisku Siewiernyj w Smoleńsku innym polskim samolotem, godzinę przed katastrofą „popełnił samobójstwo”, bo zeznał, że słyszał dwa wybuchy w nadlatującym tupolewie. A równie tajemnicze „samobójstwo” gen. Petelickiego, który udzielił wywiadu o straszliwych zaniedbaniach rządu Tuska w śledztwie, które oddano całkowicie w ręce Rosjan? Ironia losu, bo zarówno Tusk, Komorowski, Borusewicz i paru innych ze świecznika jest z wykształcenia historykami. To co u diabła? Nie znają rosyjskich metod zakłamywania rzeczywistości? A może znają? Pozostaje zatem pytanie: Czy to już Białoruś?

Czy te fragmenty samolotu i szczątki ciała porozrzucane na dużym obszarze nic nie znaczą dla śledczych? A nity z samolotu w ciele Anny Walentynowicz i w innych zwłokach ofiar badanych dopiero dwa i pół

roku po wypadku? Zabroniono sekcji zwłok tuż po tragedii, bo... prokuratura rosyjska nie zezwoliła! A badania naukowców, zresztą polskiego pochodzenia, udowadniające hipotezę zamachu. Jak wspomniałem we wstępie, jeden z nich, profesor Wiesław Bienienda, był studentem mojego wydziału w latach 70. Nasi studenci na zajęciach z mechaniki mogliby bez trudu obliczyć, ile czasu potrzeba, żeby samolot o takiej masie jak tupolew obrócił się po utracie fragmentu skrzydła – na skutek działania sił aerodynamicznych – dookoła swojej osi podłużnej o sto osiemdziesiąt stopni. Na pewno trwałoby to dłużej niż dwie sekundy. O takim czasie mówi chyba raport Millera. Jednak fakty zostały wyśmiane, a ten, kto mówi o zamachu, uważany jest za oszołoma i wroga państwa polskiego. Naturalnie, zarzuca się mu spiskową teorię dziejów. Ta spiskowa teoria to słowa działające jak bicz na naszą elitę państwową.

Przy każdej okazji ośmiesza się teorię spiskową. A dlaczego? A dlatego, że jest prawdziwa i bez trudu można ją dowieść w bardzo wielu punktach. Poprzestanę na paru.

Po pierwsze, trzy rozbiory Polski. Same się przecież nie dokonały, musiały zostać zaplanowane. Czyli spisek!

Po drugie, rewolucja październikowa. Wszak myśl o niej powstała podczas narady w niemieckim sztabie generalnym w 1916 roku. Niemieccy generałowie doszli wtedy do wniosku, że nie wygrają wojny na dwa fronty. Wpadli więc na pomysł, że wywołując rewolucję w Rosji, zneutralizują jednego z przeciwników. Dogadali się z Leninem, który wówczas przebywał w Szwajcarii i przewieźli go w zaplombowanym pociągu razem z jego najbliższymi współpracownikami do Finlandii. Stamtąd przedostał się w kwietniu 1917 do Rosji i w październiku zrobił, co obiecał. Obalił demokratyczny rząd Kiereńskiego, wcześniej mordując cara i całą jego rodzinę. Obiecał, że zawrze pokój z Niemcami, co uczynił w marcu 1918 roku zaraz po całkowitym przejęciu władzy w Rosji – to przykład trzeci. Przykład czwarty – traktat Ribentrop – Mołotow w 1939 roku, czyli czwarty rozbiór Polski. I tak dalej...

Czym jest teoria spiskowa dziejów? To zaplanowane strategicznie przez „panów historyków” działanie. Każde państwo posiadające elity na odpowiednim poziomie stosuje podobną metodę. Może to być też międzynarodowa finansjera, gdyż rewolucyjną działalność Lenina i Trockiego wspomagała finansjera Rothshildów (bankierów niemieckich i francuskich), Morganów (bankierów angielskich) i innych bankierów z Wall Street. Czyżby działali bez planu?

Niekiedy mam wrażenie, że czas się cofnął o kilkadziesiąt lat i żyjemy w pełnych sukcesów latach rządów Gierka lub w czasach propagandy stalinowskiej za Bieruta. Brz...

Katastrofa smoleńska nie jest głównym tematem moich wspomnień, ale chciałem zwrócić uwagę, na jej przykładzie, że ten, kto trzyma w rękach środki przekazu, ma w Polsce władzę. Wiedzą o tym doskonale przedstawiciele jednego ze starszych plemion ziemskich, które z Egiptu (domu niewoli) przeszło pod przewodnictwem Mojżesza przez Morze Czerwone i podbiło tereny nad Jordanem. Przedstawiciel tego szlachetnego plemienia poprzez zawłaszczenie sobie gazety „Solidarności”, w początkowych latach transformacji w Polsce, zawładnął umysłami większości Polaków i nadal kieruje polskim zaprzęgiem z tylnego siedzenia, a jednocześnie pełni, niejako z urzędu, rolę naczelnego cenzora (i pierwszego lustratora) III Rzeczypospolitej.

Wspomnę jeszcze o ciszy na lekcjach. W początkach lat 90. musiałem nauczać języka francuskiego w czwartej, a następnie w piątej klasie szkoły podstawowej. Przed zawarciem umowy o pracę w szkole szedłem korytarzem do pokoju nauczycielskiego, mijając poszczególne klasy, dziwiłem się, że wszędzie trwa przerwa, chociaż dzieci znajdują się w salach lekcyjnych. Taki był hałas! Okazało się, że to jest normalny poziom ciszy podczas lekcji, czyli jej brak. I jak tu nauczyć czegokolwiek ponad trzydziestkę rozwrzeszczanych dzieciaków? Gdy jest tak głośno, a dzieci nie mają żadnego szacunku do nauczyciela?

Kiedy już zostałem nauczycielem, udało mi się w jakiś sposób opanować ten żywioł, ale wytrzymałem tylko dwa lata; tyle obiecałem

pani dyrektor za przyjęcie mojego syna ponadplanowo do szkoły po naszym przyjeździe z Algierii. Współczuję wszystkim polskim nauczycielom! Współczuję również polskim uczniom. Mają wprawdzie, w przeciwieństwie do nauczycieli, pełnię praw, póki są dziećmi. Jak dorosną, utracą je. Czas poświęcony na naukę można uznać za zmarnowany, i nikt go nie zwróci. Czego się bowiem nauczą w takim hałasie? Niestety, nie wpojono im w domu szacunku do szkoły i nauczycieli, których często nazywa się w rodzinach głupimi.

Brak szacunku do nauczycieli bierze się między innymi z wysokości pensji nauczycielskiej. Przed wojną nauczyciele w mojej rodzinie zarabiali od trzystu do pięciuset złotych, co stanowiło równowartość zakupu kilku krów. Teraz mają niskie wynagrodzenie, mimo że już ktoś z kolei pokolenie wychowuje się w obecnym systemie politycznym.

Kiedy zostałem nauczycielem francuskiego, usiłowałem nauczyć czegoś tych młodych, aż leń i rozrabiaka, nazwiskiem Nowak, powiedział mi w pewnego razu:

– Panie psorze, niech pan nie będzie taki ważny, mój ojciec zarabia kilka razy więcej niż pan.

– A kim jest twój ojciec?

– Hydraulikiem.

Zapadła cisza i klasa zaczęła wachlować uszami, ciekawa, jak zareaguję.

– A ty kim chcesz być? – zapytałem po chwili, opanowując naturalny odruch obronny.

– No, też hydraulikiem.

– No to ojcu zabierzesz chleb i będziecie obaj zarabiali dwa razy mniej. To się wam nie będzie opłacało, poza tym ojciec jest lepszym fachowcem, bo na pewno nie jest takim leniem jak ty, i w rezultacie wyłądujesz na przykład jako pucybut pod Hotelem Forum.

W klasie zahuczało od śmiechu, co wcale nie spieszyło cwaniaka.

– To też będę lepiej zarabiał niż pan – odszczeknęła rezolutny dzieciak. I dodał: – Ja wolę angielski.

– Kochany, po angielsku to będą mówili wszyscy pucybuci obok. A ty wtedy przechodzącego gościa zaczepisz: *Monsieur, puis-je décroter votre souliers?*

– A co to znaczy? – spytał urwis.

– To znaczy: „Proszę Pana, czy mogę oczyścić Pańskie pantofle?” – i dodałem: – Przebijesz wszystkich i więcej zarobisz.

A jak odezwiesz się do przechodzącej kobiety? – spytałem po chwili ciszy.

– *Madame* – załapał Nowak.

Od tej pory ten patentowany leń zaczął się uczyć francuskiego z dużo większym zaangażowaniem.

W liceum języka francuskiego uczyła mnie pani profesor Lidia Pinzkier. Cóż to była za osobowość! Starsza, bardzo energiczna pani, a raczej panna, której żyjąca jeszcze mama była jej wierną, trochę starszą kopia. Pani profesorka była poliglotką, bo uczyła nie tylko francuskiego, ale także niemieckiego (w klasie równoległej) i jeszcze rosyjskiego (w obu klasach). Rosyjskiego uczyliśmy się już od piątej klasy. Pani Pinzkier grała też dobrze na pianinie, co demonstrowała podczas rozlicznych akademii „ku czci...”. Była osobą bardzo wymagającą i wielce zaangażowaną w dydaktykę. Miała do czynienia z „oporną materią”, toteż co i rusz wpadała na nowe pomysły:

– Słuchajcie, zmieniam metodę. Od dziś bajek La Fontaina będziemy się uczyć na pamięć.

Była niezmordowana w mordowaniu nas. Chwile wytchnienia mieliśmy tylko w porze organizowania w Polsce Konkursów Chopinowskich. Wystarczyło tylko zapytać:

– A co pani profesor sądzi o wczorajszym koncercie? Czy decyzja jury była sprawiedliwa?

Mieliśmy wtedy pół lekcji z głowy i omijało nas sprawdzanie zadanego materiału. Ale można było również wywinąć się od odpytywania usprawiedliwieniem po francusku, np.:

– *Je n'ai pas préparé ma leçon, parce que j'avais mal de tête. Co oznaczało: „Ja nie przygotowałem lekcji, ponieważ bolała mnie głowa”. Naturalnie, każdego bolało co innego. Nie wszyscy też mogli tak samo się usprawiedliwiać jednego dnia. Pani Pinckier miała wspaniałą pamięć. Dała mi solidne podstawy języka, co zaowocowało w przyszłości.*

Poczynając od mniej więcej dziesiątej klasy – szkoła to był wspaniały okres – pełen radości życia, podchodów damsko-męskich, prywatek, zauroczeń, zachłannego czytania książek. Chociaż jeśli chodzi o książki, to pochłaniałem je już dużo wcześniej. Mama zapisała mnie do biblioteki w trzeciej klasie. Pamiętam pierwszą wypożyczoną książkę: *Plutonowy Brzdąc*. To była historia kilkunastoletniego chłopaka walczącego w Powstaniu Warszawskim. Bywało, że jakąś ciekawą pozycję czytałem w ciągu jednego dnia. W okresie komunizacji Polski z bibliotek wycofywano książki niepasujące do nowego, komunistycznego systemu wychowania, np. *Pana Wołodyjowskiego* i *Ogniem i mieczem*, część *Trylogii* Sienkiewicza (teraz też wycofują!), książki „kowbojskie”, czyli całą serię książek Karola Maya i autorów amerykańskich o tzw. Dzikim Zachodzie. Moja stryjenka była kierowniczką biblioteki, jej zadaniem więc było m.in. niszczenie tego typu pozycji. Cały ten zakazany księgozbiór otrzymywałem sukcesywnie do czytania pod warunkiem, że szybko zwrócę książki. Chętnych było sporo, dlatego musiałem czytać nocami, a także na lekcjach. Do lektur szkolnych należały pozycje z literatury sowieckiej, jak: *Timur i jego drużyna*, *Jak hartowała się stal*, *Opowieść o prawdziwym człowieku* itd. Sołżenicyna jeszcze nie drukowano. No, i do oglądania w kinach była cała paleta filmów o bohaterstwie sowieckiego żołnierza w czasie „wojny ojczyźnianej”. Rosjanie wpierw wywołują wojny, a później bohatersko na nich walczą. Co ciekawe, pod pojęciem „wojny ojczyźnianej” według historyków sowieckich do dziś kryją się lata 1941–1945. Czy to, że od 1939 roku podbijano, do spółki z Hitlerem, Polskę (ponad pięćdziesiąt procent terytorium

Polski przedwojennej trafiło pod panowanie sowieckie), Finlandię, Łotwę, Litwę, Estonię, Besarabię..., nic nie znaczy? Dlatego tak trudno rozliczyć się Rosjanom z mordu w Katyniu. Przecież w 1940 roku jeszcze nie było wojny. A że zastrzelono wtedy ponad połowę kadry oficerskiej Wojska Polskiego... To na pewno uczynili Niemcy – tak myślą do dziś Rosjanie. Propaganda zrobiła swoje. We wschodniej Polsce nikt nie miał natomiast wątpliwości, kto za tym stał.

Historii nauczyliśmy się z książek radzieckich autorów. Pamiętam nawet nazwisko Jefimow – był autorem *Historii powszechnej* dla szkoły podstawowej. Sreparowane pod określony kierunek wychowania wiadomości sączyły się z każdej strony podręcznika. Pamiętam nawet fragment o Chrystusie. Autor podawał, że legenda głosi o narodzeniu się w Palestynie niejakiego Jezusa Chrystusa, co oczywiście nie jest potwierdzone historycznie. O Biblii autor jednoznacznie pisał, że w tym czasie nie znano papieru, i dlatego te wszystkie teksty są całkowicie zmyślone. Jefimow widocznie nie wiedział, że istniały wówczas inne sposoby zapisu, niekoniecznie na papierze, który – jak sama nazwa wskazuje – został wynaleziony zapewne w Rosji przez Iwana Papierowa. Używanie przedwojennych podręczników historii też było zabronione. Tym bardziej zachłannie je czytałem, by dowiedzieć się prawdy. I tak nauczyłem się czytać między wierszami, co mi się bardzo przydało podczas późniejszego studiowania polskich gazet komunistycznych typu „Trybuna Ludu”, i – o dziwo – przydaje się także dzisiaj, do czytania np. „Gazety Wyborczej”, zwanej przez naród „wybiórczą”. W Liceum, w klasie dziesiątej nauczyliśmy się głównie o rewolucji październikowej i o budowie komunizmu w ZSRR, przy okazji słuchając o nędzy proletariatu w czasach Polski przedwojennej, i o nic niewartych osiągnięciach Polaków w tym okresie. Fałszowano na potęgę fakty historyczne. Dowiadaliśmy się np., że po stu pięćdziesięciu trzech latach zaborów Polska zawdzięcza wolność rewolucji październikowej, wszak odezwa Lenina mówi o prawie narodów (w tym i narodu polskiego) do samostanowienia. Nie przeszkadzało to „Wodzowi Rewolucji” ponownie zniewolić ludy znajdujące się na ziemiach byłego caratu (którego też przecież nie

obalili bolszewicy, abdykował w czasie Rewolucji Lutowej). W szkole nie wspomniano o trzynastym punkcie traktatu Wilsona, prezydenta USA, gdzie zapisano o odrodzeniu Polski. Szczęśliwą przyszłość budowaliśmy właśnie teraz pod przewodnictwem Stalina, Bieruta i Rokossowskiego. Te nazwiska trzeba było wykrzykiwać np. przy okazji marszów 1-majowych.

Skoro mowa o wychowywaniu w nowym, internacjonalistycznym, komunistycznym duchu, warto się trochę nad tym tematem zatrzymać. Augustowszczyzna zawsze była nastawiona patriotycznie. Ludzie na tych terenach dobrze wiedzieli, co oznacza komunizm w wykonaniu Sowietów, a rodzice nie ukrywali przed dziećmi prawdy o systemie. Mama, prosta kobieta z ludu, zawsze wyklinała sowietyzm i jego polskich sługusów mówiąc często:

– Żeby przeżyć – to trzeba być bardziej chytrym niż bolszewik!

Ojciec miał dobre radio i słuchał „Wolnej Europy” i innych zachodnich rozgłośni nadających po polsku. Często słuchałem razem z nim, nie zabraniał mi także słuchać samemu. Wiedziałem dobrze, co w trakcie piszczy i nie ulegałem nachalnej propagandzie. Pamiętam transmisję procesu katyńskiego, co było nadawane przez „Głos Ameryki” na początku lat 50. Komisja powołana w 1951 roku przez Kongres USA, a kierowana przez senatora Ray’a Johna Maddena, przeprowadziła dochodzenie, z którego jasno wynikało, kto zamordował polskich oficerów. Zresztą, wystarczała prosta logika – Niemcy zapakowali polskich oficerów w kampanii wrześniowej do Oflagów. W tych obozach jenieckich oficerowie przeżyli do końca wojny, a co robili Sowietci po wkroczeniu do Polski w 1939 roku, o tym cała wschodnia Polska doskonale wiedziała. Mimo to po wojnie duża część otumanionej przez propagandę inteligencji – już własnego, komunistycznego chowu – myślała, że Katyń to sprawka Niemców. Był taki partyjny pisarz, Władysław Machejek, który jeszcze w latach, bodajże, 70. uparł się, by złożyć kwiaty w Katyniu w ramach oficjalnej delegacji pisarzy do Sojuza. Co, o dziwo, było traktowane jako afront, także przez Sowietów. Gdy koledzy usładowili go, powiedział podobno:

– Słuchajcie, ja naprawdę myślałem, że to zrobili Niemcy.

W szkołach szalał Związek Młodzieży Polskiej (ZMP), do którego zapisywało się coraz więcej uczniów, i to już w podstawówkach. ZMP było młodzieżową przybudówką partii komunistycznej i miało za cel wychowywać młodzież na „nową modłę”, czyli janczarów Rosji, *homo sovieticus*. Działacze zetempowscy byli postrachem nauczycieli, bo ła-two było któremuś przyczepić łatkę „wroga ludu”, a wtedy zaczynały się przesłuchania w Urzędzie Bezpieczeństwa (UB), skąd ludzie wracali pobici albo nie wracali wcale. Gdy umarł Stalin (w 1953 roku, by-łem wtedy w siódmej klasie), do klasy wszedł dyrektor, zwany przez nas „Dyrem” i powiedział:

– Słuchajcie, trzeba zawrzeć szeregi. Kto chce wstąpić do ZMP – powstań!

Duża część klasy wstała. Wtedy jeszcze nie „zwarłem” tych szere-gów, chociaż groziło to nieprzyjęciem do liceum, podobnie jak za nieobecność na pochodzie pierwszomajowym. Gdy nie stawiałem się na obowiązkową zbiórkę na pochod, nasz wychowawca powiedział:

– Sobolewski to zobaczy liceum, jak ja swoje własne ucho.

Pewnie musiał tak mówić, bo sam też najchętniej poszedłby w tym czasie na ryby.

Byłem jednak dobrym uczniem, a nawet w pewnym okresie pry-musem, toteż nie musiałem podpierać się żadną przynależnością ani aktywnością polityczną. Ba, nawet wystąpiłem z harcerstwa, które usi-łowano zmienić w organizację na wzór pionierów radzieckich. W Pol-sce to Kuroń zaprowadził takie porządki: przekształcono Związek Harcerstwa Polskiego (ZHP) w Organizację Harcerską (OH). A w War-szawie na Żoliborzu, gdzie działał, utworzył drużyny „walterowców”. Nazwa ta zapewne pochodziła od Waltera – takiego pseudonimu uży-wał gen Świerczewski. Mało kto wie, że w czasie wojny z bolszewika-mi w 1920 roku ten „ruski Polak” walczył jako oficer Armii Czerwonej atakującej Polskę. W latach wojny domowej 1936–1938 w Hiszpanii dowodził jako radziecki najemnik brygadą Międzynarodową, a potem

był dowódcą 2. Armii Wojska Polskiego. Na szczęście, misja gen. Waltera w Hiszpanii się nie powiodła. W młodych ludziach z Żoliborza, zaszczeplone przez Kuronia „lewicowe” idee, pozostały do dzisiaj. Stanowią oni trzon obecnych partii postkomunistycznych. Lenin umarł, Kuroń też, ale idee komunizmu są wiecznie żywe. Wypływa stąd ważny wniosek powtarzany przez pokolenia: „Takie są Rzeczypospolite, jakie jej młodzieży chowanie”. Cytat przytaczam z pamięci, ale zauważyłem, że istnieje spór o to, kto tę słuszną myśl sformułował. Jedne źródła podają, że Jan Zamojski w 1600 roku, inne że ksiądz Stanisław Staszic. Obaj działali na terenach Zamojszczyzny, znanej ze znakomitej organizacji gospodarki.

Wszystkie kraje mają sprawdzone wzorce wychowania młodzieży, w myśl powiedzenia: „Czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci”. Jak skuteczne przynosi to efekty, wystarczy przytoczyć niemiecki przykład „Hitlerjugend” (młodzież Hitlera) czy sowiecki – „Komsomolcy”. Oba te kierunki wychowania, w systemie totalitarnym, w ciągu zaledwie paru lat wykształciły bezwzględnych morderców, którzy stanowili kadrę takich zbrodniczych formacji jak SS w Niemczech czy NKWD (KGB) w Sojuszu. Metody wychowywania tych katów były czasami okrutne. W HJ np. każdy chłopak dostawał na wychowanie owczarka, którego po roku musiał własnoręcznie zabić i ściągnąć z niego skórę. W Rosji za bohatera uważano Pawkę Morozowa, który wydał do NKWD własnego ojca za ukrywanie nadwyżek żywnościowych. Ojca rozstrzelano, ktoś z rodziny zabił Pawkę i zrobiono z niego męczennika, i wzór do naśladowania. Przekaz był jasny: należy wydać w ręce władzy radzieckiej każdego jej wroga, nawet własnego ojca.

Na jednej ze zbiorów ZHP, zmienionej już bez naszej wiedzy na OH, dano nam do czytania jakieś czasopismo o pionierach w ZSRR. Była w nim mowa o obozie pionierskim w Arteku na Krymie. Nakazano mi, jako zastępowemu, bym czytał to pismo na zebraniach. Woleliśmy się bawić w podchody, śpiewać stare harcerskie piosenki, organizować wieczorne ogniska, czyli postępować tak, jak nas uczyli w zuchach nasi

starsi druhowie, pamiętający jeszcze przedwojenne czasy i mający za sobą wspaniałe patriotyczne wychowanie. A więc na pierwszym zebraniu, kiedy dostałem polecenie, że mam czytać o pionierach, powiedziałem kolegom:

– Słuchajcie, nie wiem jak wy, ale ja się wypisuję z takiego harcerstwa.

Ponieważ większość zgadzała się ze mną, nasz zastęp przestał istnieć. Zabrakło w Augustowie młodego Kuronia.

Wracając do „Dyra”, już w szkole średniej uczył nas matematyki, a także logiki i astronomii. Później te przedmioty – zgodnie z instrukcją nr 55 – o której będzie dalej, wycofano. Wcześniej przestano nauczać greki i łaciny.

„Dyr” uczył dobrze, bo nikt z liceum w Augustowie, podczas późniejszych egzaminów wstępnych na studia wyższe, nie oblał z matematyki, chociaż na świadectwach maturalnych z tego przedmiotu przeważały trójce.

Jestem mu wdzięczny za to, że przymknął oczy na pewien epizod szkolny towarzyszący wiadomości o śmierci Stalina. Stalin umarł 5 marca, dokładnie trzydzieści lat po podpisaniu wyroku śmierci na polskich oficerach w 1940 roku. Byłem wtedy starostą siódmej klasy i w ramach przygotowań organizacyjnych do obchodów po śmierci „Ojca Narodów” narysowałem kredą na tablicy jego profil (nie było to nic trudnego, bo portret wisiał na ścianie), po czym przekreśliłem profil na ukos. Szkic wodza był udany i klasa zaaprobowała ze śmiechem portret. Pomyślałem chwilę i przekreśliłem podobiznę na krzyż. Rozległy się porozumiewawcze śmiechy, oznaczające, że nie tylko ja skreśliłam Stalina. Akurat w tym momencie, gdy stałem przy tablicy z kredą w dłoni, wszedł „Dyr”. Spojrzał na tablicę i zbladł:

– Ty to zrobisz? Co to ma znaczyć?

Też się przestraszyłem, aluzja była zbyt oczywista.

– A, to..., Panie Dyrektorze, propozycja żałoby po Stalinie – odrzekłem nie mniej przestraszony niż „Dyr”.

– No, w zasadzie dobrze, tylko o jedną kreskę za dużo.

„Dyr” miał jednak refleks i dzięki temu ocalonych zostało parę osób, w tym mój Ojciec, „Dyr”, no i ja – bo gdyby sytuacja się rozwinęła i UB zainteresowałoby się moim postępkami, to musiałbym się pożegnać z dalszą edukacją. A i tak mało brakowało, a byłaby wpadka, gdy na apelu szkolnym „Dyr” zarządził pięć minut ciszy dla uczczenia śmierci „Wielkiego Wodza”. Część młodych zdążyła już niestety uwierzyć w boskość Stalina. Kiedy „Dyr” zarządził tak długą ciszę, to napięcie zaczęło rosnąć, a niektórym z żalu zaczęły łzawić oczy. We mnie wywołało to odwrotną reakcję, i w momencie, gdy obok nagle usłyszałem szlochanie koleżanki Teresy, parsknąłem śmiechem! Szczęściem zdążyłem zakryć usta, a dla wszelkiej pewności, by śmiech nie rozległ się głośno, wsadziłem chusteczkę w gębę. Po chwili dławienia się ze śmiechu z oczu popłynęły mi... łzy. Mało brakowało, a wyleciałbym ze szkoły z „wilczym biletem”. Tak wtedy bywało. Słyszałem o dziewczynie, którą wyrzucono za radosną reakcję na wieść o śmierci Stalina. Była w jedenastej klasie, a więc parę miesięcy przed maturą. To nie były żarty, mój przyjaciel i kolega z ławki w szkole podstawowej – Andrzej Nietupski nie został przyjęty do liceum tylko z powodu swego hrabiowskiego pochodzenia. Dostał się, po wielkich staraniach, do liceum rybackiego, gdzieś na Mazurach. Andrzej mieszkał blisko siedziby UB mieszczącej się w tzw. Domu Turka przy ulicy 1 maja (dawniej 3 maja) i często mi opowiadał o krzykach i strzałach w budynkach „utrwalaczy władzy ludowej”. Twierdził, że zwłoki zastrzelonych tam ludzi zakopywano nocą na podwórzu na terenie posesji.

Andrzej – po wybuchu „Solidarności” w 1980 roku – został przewodniczącym tej organizacji w Augustowie. Pokazywano go nawet w telewizji, jak mówił o konieczności ożywienia gospodarki w małych miejscowościach, np. przez ponowne uruchomienie młynów i elektrowni wodnych. Po wprowadzeniu stanu wojennego został wraz z żoną i dwojgiem małych dzieci wydalony z Polski bez prawa powrotu.

Przedtem połamano mu żebra. Mam nadzieję, że o jego dalszych tragicznych losach we Francji jeszcze wspomnę.

Funkcjonariusze UB byli niekiedy surowi także dla swoich dzieci. W VII klasie miałem kolegę, niejakiego Masłowskiego, którego ojciec był majorem UB. Synalek był chyba znacznie mniej gorliwy w nauce niż ojciec podczas przesłuchań. Nawet nasz wychowawca, profesor Nawalski, postrach łobuzów w całej szkole, nie dawał sobie z nim rady. I wtedy do akcji wkroczył tata. Wpadł do klasy i z pistoletem w dłoni zaczął gonić swego syna, który uciekał po ławkach. Wtedy padł strzał i syn, ratując życie, wyskoczył przez okno. Na szczęście, było to pierwsze piętro, i okna nie były zakratowane.

Pan Nawalski (tak go powszechnie nazywano), znakomity nauczyciel matematyki, miał swoistą metodę poskramiania niesfornych. Trzeba pamiętać, że do szkoły uczęszczały osoby z roczników, które za okupacji przerwały naukę. Podobno Niemcy kazali uczyć naszą młodzież liczyć tylko do tysiąca. Oczywiście po niemiecku.

W VII klasie miałem więc kolegów starszych ode mnie nawet o pięć lat ($13+5=18$). Tak, tak, to byli osiemnastoletni chłopcy, nadający się bardziej do żeniaczki niż do szkoły. Gdy któryś z tych wyrosniętych drabów coś przeskrobał, to Nawalski wzywał go pod tablicę, wybierał z klasy podobnego posturą wyrostka, kazał mu zdjąć pasek od spodni i bić nim swojego kolegę. Na lekcji geometrii dawał komuś do ręki duży metrowy liniał i komenderował do winowajcy:

– Wystaw łapę!

A do egzekutora kary:

– Bij!

Na ogół kolega nie chciał bić swego kumpla, uderzał więc lekko. Wtedy rozgrywający odbierał narzędzie i przekazywał je drugiej stronie:

– Pokaż mu, jak się bije!

Metoda była niezawodna, za któryś razem chłopcy naparza-
li się aż miło.

To była wspaniałe lekcja manipulacji. Ale nie tylko. Nawalski lubił dawać zadania testowe z jedną lub dwiema niewiadomymi. Nawiązywał przy tym do sytuacji wziętych z życia:

– Mama dała ci piętnaście złotych na kupno cukru. Idziesz do sklepu, cukier jest po pięć złotych. Ile cukru kupisz?

– Trzy kilogramy – brzmiała tryumfująca odpowiedź.

– Źle! Zapomniałeś, że cukier jest na kartki? Jaka jest prawidłowa odpowiedź?

– Jeden kilogram – odpowiadał pytany, i dodawał: –Zostało mi jeszcze dziesięć złotych.

Albo inny przykład:

– Do sklepu rzucili mąkę po trzy złote i cukier po pięć złotych. Mama dała ci piętnaście złotych. Co robisz?

Uczeń głupiał i spoglądał baranim okiem na nauczyciela.

– Obwiązujesz się drutem kolczastym, bo inaczej nie wejdziesz do sklepu. Za duży tłok.

Autentyk. Ale takie to były czasy, kiedy brak było podstawowych produktów spożywczych. Czasy te powtórzyły się kilkadziesiąt lat później, przed i podczas staniu wojennego.

Sytuacja ze zwieraniem szeregow miałła też miejsce po śmierci Bieruta w 1956 roku. Prezydent naszego kraju pojechał na XX Zjazd KPZR (Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego), na którym Chruszczow potępił kult jednostki, czyli kult Stalina. Bierut, agent NKWD, etatowy pracownik Kominternu, znał za dużo tajemnic związanych z wprowadzaniem komunizmu w Polsce i „musiał” umrzeć jeszcze w Moskwie, co nastąpiło tuż po Zjeździe 12 marca. Czy nie było to manipulacją, żeby wybrać na prezydenta Polski agenta sowieckiego? Znowu przyszedł „Dyr” i powtórzył to samo, co trzy lata wcześniej. Wstała część klasy, oprócz mnie i mego przyjaciela Józka. Byliśmy już w dziesiątej klasie i siedzieliśmy obaj w jednej, zresztą ostatniej ławce. „Dyr” popatrzył w naszym kierunku:

– Część z was myśli pewnie o wyższych studiach. Jest to niemożliwe bez wstąpienia do ZMP?

Spojrzałem na kolegę, który jak ja myślał o wyjeździe do Warszawy na Politechnikę:

– Zwieramy te szeregi?

I zwarliśmy. Na szczęście, nasza obecność w tej organizacji trwała zaledwie pół roku. W październiku 1956 roku Gomułka doszedł do władzy i nastąpiła odwilż, na którą nabrała się nawet moja mama. W szkole zwołano zebranie, podczas którego „Dyr” powiedział:

– Słuchajcie, takie były czasy. Ja też słuchałem „Wolnej Europy”.

W nas jakby piorun strzelił. Pierwszy zerwał się nasz kolega Inek Sołdatow i krzyknął:

– Koledzy, to rzucamy legitymacje!

Po czym podszedł do stołu prezydialnego, przy którym siedział „Dyr” i rzucił swoją przedartą na pół legitymację ZMP. Podobnie postąpili inni.

„Dyr” był na tyle odważny, że przyznał się do kamuflażu, czego nie można powiedzieć o wielu ludziach w Polsce.

Inek był niezwykle dowcipny. Później los rzucił go na morze, gdzie pracował jako radiooficer na jakimś statku. Często kontaktował się z radiostacją w Gdyni, ale nie lubił jednego z łącznościowców. W Wigilię Bożego Narodzenia załoga chciała porozmawiać ze swoimi bliskimi za pośrednictwem tej radiostacji. Traf chciał, że Inek podczas łączenia się trafił na swego antagonistę:

– Słucham, tu radiostacja Gdynia.

– O, to rzeczywiście bydlaki mówią dziś ludzkim głosem – zadrwił.

Żart był niezły, ale brzemienny w skutkach, bo ten bydlak prze-rwał łączność.

W następnym roku była matura i nauczyciele wzięli rewanż na aktywistach ZMP i na innych, Bogu ducha winnych. Zdało tylko czterdzieści procent uczniów z dwóch klas maturalnych, w tym ja z Józkiem. Odpadła nawet moja sympatia Baśka, córka nauczycielki polskiego. Nie zdała ustnego, w dodatku ostatniego egzaminu, z historii. Wylosowała trzy pytania i nie odpowiedziała na pierwsze, najważniejsze. Było

to pytanie o działalności Lenina (sic!), sprawa więc była zbyt poważna, by ją zatuszować. Komisja składała się z trzech osób i każdy bał się pozostałych, a wszyscy razem bali się przeciwstawić tendencjom niezgodnym z linią partii. Czy nie przypomina to czegoś, co mam miejsce w dzisiejszych debatach telewizyjnych?

U mamy Basi, wspaniałego pedagoga, miałem zawsze fory, bo bardzo się jej podobały moje wypracowania. Niestety, uczyła mnie tylko do dziewiątej klasy, w dziesiątej nauczycielem polskiego i plastyki był facet po Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Był znakomitym plastykiem, ale chyba nie lubił nauczania języka polskiego, bo wymagał od nas pamięciowych regułek, dyktowanych do zeszytów, na temat tego, co jakiś poeta miał na myśli. Ponieważ nie lubił tego, co robił, był sztywny w zachowaniu. Gdy coś tłumaczył, wpatrywał się martwym wzrokiem w podłogę. Przypominał raczej robota niż humanistę. Ale teraz go rozumiem, musiał nauczać tego, co nakazywały dyrektywy, czyli zgodnie z linią partii i rządu. Z polskiego miałem u niego tróję, ale o dziwo z plastyki zdarzały mi się piątki. Otrzymałem także piątkę z bezbłędnie napisanego wypracowania z polskiego na maturze, ale nie dowiedziałem się o tym od niego. Trudno mu było przyznać się do wystawienia tak dobrej oceny.

Jeżeli chodzi o mnie i o Józka, zdana pomyślnie matura to nie była nagroda za antykomunizm, byliśmy po prostu zawsze w czołówce i zajmowaliśmy po maturze szóste i siódme miejsce w rankingu. Wyższe miejsca należały do dziewczyn, które zaliczane były przez nas do kujonów. My już dawno uznaliśmy, że szkoda życia na kucie, dlatego wystarczały nam tróje.

Bal maturalny był raczej balem pogrzebowym, bo ponad połowa naszych kolegów została w klasie jedenastej. Tworzyliśmy małą, zgraną paczkę, której trzon stanowili uczestnicy spływów kajakowych organizowanych przez prof. Ryszarda Jędrzejewskiego. Ten nauczyciel był najjaśniejszą gwiazdą na firmamencie pedagogicznym naszej szkoły. Był od nas starszy o jakieś dziesięć lat, nie pochodził więc z pokolenia

Kolumbów, a mimo to zdołał jeszcze załapać się na dobre, przedwojenne wychowanie. Potrafił uważnie nas słuchać i udzielał dowcipnych i mądrych rad. Wyczuwało się, że ma w sobie wielką życzliwość do młodych ludzi. Gdy byłem w dziewiątej klasie, rzucił pomysł zorganizowania spływu kajakowego. Dla mnie był to strzał w dziesiątkę, bo myślałem już od siódmej klasy o zorganizowaniu takiego spływu. Kupiłem nawet przewodnik kajakowy po pojezierzu augustowsko-suwańskim (bodajże autorstwa Kurana). Na pierwszy spływ popłynąłem ze Staszkiem, a na drugi, już w dziesiątej klasie, z Józkiem. Trzeci, w którym uczestniczył również ostatni z nas, czterech muszkieterów, Jurek, zwany „Jeżem”, zorganizowaliśmy sami po maturze. Wymieniam wszystkich tak dokładnie, bo będą przewijali się jeszcze przez karty tych wspomnień. Jeż ze Staszkiem mieszkali blisko siebie i byli kolegami od początku świata. W klasie dziesiątej dotarł do nas Józek (wcześniej sporo chorował), siedział ze mną w jednej ławce. Mieszkaliśmy z Józkiem na tej samej ulicy i wkrótce nasza znajomość zamieniła się w przyjaźń. Był ode mnie starszy o dwa lata, miał więc co najmniej o dwa lata więcej wiadomości niż ja. Interesował się między innymi fotografią i wtajemniczał mnie w sztukę wywoływania zdjęć oraz w inne pożyteczne sprawy. Mieliśmy takie same poglądy na otaczający nas świat i rozumieliśmy się bez słów, toteż często nasi dwaj pozostali koledzy nie bardzo wiedzieli, czy ich nie robimy w konia. A robiliśmy często, oczywiście dla draki. Po spływach znaleźliśmy się już wszyscy dobrze. Józek słynął z tego, że przeżył potyczkę między milicją a partyzantami w 1955 roku! Tak, tak, to nie pomyłka. W Wigilię Bożego Narodzenia pod jego domem dwóch ludzi zostało otoczonych przez siły bezpieczeństwa. Oprócz broni krótkiej i automatów w ruch poszły także granaty, które rozerwały się tuż przy domu Józka. Trzeba tu dodać, że okna w jego budynku są wyjątkowo nisko, jakieś pół metra od ziemi, serie z automatów i odłamki z granatów trafiały więc przez okno w ścianę, tuż nad głowę śpiącego kolegi, przy czym jego łóżko stało akurat pod tą pechową ścianę. Kiedyś, podczas pierwszej wizyty u niego miałem możliwość zaobserwować zamalowane wapnem ślady po

pociskach i odłamkach. Biegły równolegle, jakieś pół metra od poziomemu łóżka. Rzeczywiście, chyba cudem ocalał.

– A jak stąd uciekłeś? – zapytałem zaciekawiony.

– A jak myślisz? Przeczłołem się do drugiego pokoju – odpart nieco zniesmaczony moim bezceremonialnym wścibstwem.

Na zakończenie dziesiątej klasy pojechałem wraz z rówieśnikami, ale pod przewodnictwem dwóch młodych nauczycieli, na obóz wędrowny w Gorce. Wędrówka z ciężkimi plecakami nie jest najprzyjemniejszą rzeczą, jaką znam, dlatego w rezultacie wolałem pływać kajakami, a w góry jeździłem zimą, bo wtedy można było sobie wynagrodzić wspinaczkę zjazdem na nartach. O wycieczce w Gorce piszę dlatego, że podczas jej trwania wydarzyły się w Poznaniu rozruchy, o których dowiedzieliśmy się już w trakcie jazdy pociągiem do domu. To wtedy premier Cyrankiewicz obiecywał obcinanie ręki temu, kto ją podnieśnie na władzę ludową. W następnym roku, będąc już w Warszawie na studiach, miałem zaszczyt tak postępować, co opiszę dalej.

Lubiliśmy się bawić, w czym szkoła nie tylko nam nie przeszkadzała, lecz nawet pomagała. Zabawy w szkole odbywały się co dwa tygodnie. Zdecydowanie za rzadko, dlatego w wolne od zabaw soboty organizowaliśmy prywatki. Często odbywały się w moim domu; miałem oddzielne wejście do dużego pokoju. W tym czasie piliśmy już alkohol, przeważnie wino. Koledzy lubili przychodzić do mnie, bo mama, która była bardzo towarzyska i gościnna, przynosiła nam butelkę wina własnego wyrobu. Wino było robione z jabłek, których było wtedy bardzo dużo. Własnoręcznie przez wiele wieczorów miałem kawałki jabłek przez maszynkę, a potem tę miążgę umieszczałem w dużych szklanych gąsiorach, żeby sfermentowały. Następnie wino zlewaliśmy do butelek i umieszczaliśmy w piwnicy. Dość często ja i Tata wynosiliśmy je stamtąd poza kontrolą.

Mama, po zlustrowaniu, jak jest na prywatce i odtączeniu paru tańców, dyskretnie zniknęła, a ponieważ jedna butelka na tyle gardeł nie starczyła, każdy uczestnik balangi czuł się w obowiązku przynieść ze sobą

„bilet wstępu”. Piliśmy najtańsze wina owocowe, tzw. patykiem pisane, ale marzyłem o spróbowaniu prawdziwego wina gronowego. Te marzenia były podsycane przez lekturę. Czytałem, że średniowieczni Polacy pili węgryzna, czyli Tokaj, zwany winem królów i królem win. Tokaj sprzedawany był z Węgier (stąd nazwa) i leżakował na Wawelu – nabierał wtedy lepszego smaku. Lektura książek francuskich w stylu *Trzech Muszkieterów* Dumasa albo czytanie o ulubionych trunkach Zagłoby zapładniało wyobraźnię. Bohaterowie tych powieści mówili z dumą, że wody nie pijają, bo jej picie zamiast wina to bluźnierstwo. Ponadto pierwszy cud w Kanie Galilejskiej, uczyniony przez Jezusa, też nam sporo pomógł w podejmowaniu właściwych decyzji. Wina gronowe sporo kosztowały. Raz tylko zdarzyła się okazja, po trzytygodniowej pracy w jednym z PGR-ów koło Olecka, żeby skosztować prawdziwego wina. Byliśmy na akcji żniwnej, organizowanej w ramach Hufców Pracy, podczas wakacji po dziesiątej klasie. Kosiliśmy i zbieraliśmy zboże z miejsc, gdzie kombajny nie mogły pracować, czyli z terenów pagórkowatych, których tam było więcej niż gdziekolwiek. Pracy było dużo i przez te trzy tygodnie zarobiliśmy po około tysiąc złotych. Była to dla nas zawrotna suma, wręcz majątek, i można było wreszcie zaszałeć. Zaproponowałem kupno wina gronowego, co przyjęto bez zastrzeżeń. Kupiliśmy po butelce Mistelli, ale jej smak nas nieco rozczarował. Przeczytane wcześniej lektury mówiące o niebiańskim smaku ambrozji nieco nas zepsuły. Myślałem, że tylko francuska Mistella – rozlewana w Polsce – była taka nieco średnia. Toteż poszukiwałem dalej, z różnym zresztą skutkiem. Tak mi to weszło w krew, że poszukuję nadal. Raz trafiłem w dziesiątkę. Byłem z Małgosią w 1997 roku na Korsyce i kupiłem w zwyczajnym wiejskim sklepiku pięciolitrowy bukłak wina stołowego. Na biwaku spróbowałem i już nie mogłem się oderwać... Tego samego wieczoru bukłak został opróżniony. Moja połówka wypijała może z jeden litr. Następnego dnia ponownie kupiłem identyczny bukłak. Niestety, wyczułem już różnicę klas, dlatego piliśmy ten „sikacz” do posiłków przez resztę dwutygodniowego pobytu. Ale nawyk poszukiwania pozostał.



Kulig. Pierwsze nieśmiałe męskie zaloty: od lewej: „Jeź” i autor

Oprócz wina, magnešem, który przyciągał nas na prywatki akurat u mnie w domu były instrumenty muzyczne. Ponieważ magnetonów jeszcze nie było (w każdym razie u nas), wspólnie z Józkiem, złotą rączką, naprawiliśmy patefon rodziców, w którym po wojnie pękła sprężyna i stał na strychu w charakterze rekwizytu. Jak wiadomo, potrzeba jest matką wynalazców. Udało nam się ten patefon przywrócić do życia i dzięki sporemu zapasowi przedwojennych szlagierów tanecznych, śpiewanych głównie przez Mieczysława Fogga lub chór Dana, a także po zakupieniu nowych nagrań, bawiliśmy się znakomicie.

W pokoju stało pianino, a dodatkowo rodzice kupili mi akordeon marki Muza. Ponieważ kochałem ten instrument, zacząłem się intensywnie uczyć. Tylko brak czasu nie pozwalał mi uczęszczać na regularne lekcje. To samo dotyczyło pianina. Wziąłem parę lekcji, a później grałem już ze słuchu. Ten brak gruntownego wykształcenia muzycznego jest moją największą bolączką. Gdybym zaczął uczyć się jako

dziecko, na pewno zostałbym muzykiem. Czasami na prywatkach czy na zabawie szkolnej grałem na akordeonie. Wyręczał mnie często Staszek, ale nam obu daleko było do jego starszego brata Ryśka, który był niedościgłym wzorem wirtuoza akordeonowego.

Rysiek wstąpił się kiedyś odważnym zagranem. Założano od niego, by grał na zabawie, którą zgodnie z nowymi ideami zorganizowano w szkole podczas Wielkiego Postu. Był już w klasie maturalnej, nie bardzo więc mógł odmówić. Założył akordeon i zagrał „Gorzkie żale” i „Wisi na krzyżu”. Dalej już grać nie musiał..., bo nikt nie chciał tańczyć. Obawiał się później słusznie o swoją maturę, ale jakoś Opatrzność nad nim czuwała, co ilustruje następujący przypadek. Po maturze pojechał motocyklem do swoich kolegów maturzystów na jakąś białoruską wieś, gdzieś przy granicy, oblać sukces. Też kiedyś byłem tam na zabawie, wiem, co się tam piło. Mocny bimber! Po paru dniach Rysiek wrócił, wjechał motorem przez wążiuteńką furtkę na podwórko, rozejrzał się i upadł. Widocznie dotarł do domu prowadzony przez automatycznego pilota, który wyłączył się w odpowiednim momencie. Zaniesiono go na łóżko, gdzie trzeźwiał przez długi czas.

Połowa lat 50. to był czas wspaniałych piosenek. Oprócz polskich, i oczywiście rosyjskich, coraz częściej były śpiewane piosenki francuskie i włoskie, z rzadka angielskie. Elvis Presley dopiero dojrzewał, a o „The Beatles” jeszcze nikt nie słyszał. Śpiewaliśmy wszystko z wielką przyjemnością, a okazji ku temu nie brakowało. W szkole istniał zespół pieśni i tańca, występujący na rozlicznych akademiach ku czci 1 maja, rewolucji październikowej lub na rozpoczęcie i zakończenie roku szkolnego. Mieliśmy nawet w klasie pięcioosobowy reprezentacyjny chór dziewczyn śpiewających nie tylko na akademiach, lecz także w szkole na przerwach, dla własnej i naszej przyjemności. Pokażcie mi takie rozśpiewane liceum w Polsce!

Skoro mowa o śpiewaniu, to nie sposób nie wspomnieć o naszej koleżance Heli, stałej bywalczyńi naszych prywatek. Chociaż nie była nadzwyczaj urodziwa, miała tyle czaru i seksapilu, że kochała się w niej

chyba połowa chłopaków z naszych i starszych klas. Wybrała Staszka, z urody i charakteru podobnego do Cygana. Mnie uznawała za swego powiernika i kolegę od muzyki. Znała pierwsza wszelkie przeboje, które pojawiały się w radio, i natychmiast wyśpiewywała mi na ucho, pytając, zalotnie, czy to już znam. To mnie dopingowało do opanowania nowych melodii na akordeon.

Początkowo byłem na bakier ze szlagierami, bo nie miałem radia w moim pokoju. W kuchni był zainstalowany tzw. kołchoźnik, rodzaj uproszczonej konstrukcji – radio podłączone do lokalnego radiowęzła i nadające tylko jeden program oraz lokalne komunikaty. Jeden z moich przyjaciół, Zdzisiek, który po szkole podstawowej wyjechał do technikum mechanicznego w Suwałkach, przyjechał na wakacje i mi pomógł. Zdobył gdzieś słuchawkę od starego wojskowego telefonu polowego, którą połączyłem drucikami z kołchoźnikiem. Druciki zdobyłem, rozmontowując cewkę z jakiegoś urządzenia elektrycznego. Mogłem już słuchać muzyki, ale tylko przykładając urządzenie do ucha. A ja chciałem słuchać muzyki stale, w trakcie odrabiania lekcji także. I na to znalazła się rada. Wykonałem lejek z kartonu. W jego wierzchołku za pomocą parafiny umieściłem gwóźdź. Teraz wystarczyło postawić taki wzmacniacz metalowym końcem na położoną poziomo membranę słuchawki, a muzyka była słyszana w całym pokoju. No i czy potrzeba nie jest matką wynalazków?

Wtedy już byłem na bieżąco ze szlagierami, których było wtedy istne zatrzęsienie. Oprócz nieśmiertelnej „Cichej wody”, śpiewanej genialnie przez Zbigniewa Kurtycza (1954), piosenek „Kasztany” czy „Siwy włos” Marty Mirskiej, wschodząca gwiazda polskiej estrady – fantastyczny baryton – Janusz Gniatkowski obdarował nas egzotycznymi piosenkami w stylu: „Kuba wyspa”, „Apasjonata”, „Bella donna”, „Indonezja”, „Arivederci Roma”. Można tu jeszcze dodać kubańską piosenkę „Siboney”, śpiewaną przez nas po polsku, czy też „Hawaj jest piękny”. W tych piosenkach przejawiała się tęsknota za dalekim, nieznanym światem, który był dla nas nie tylko egzotyczny, lecz także

niedostępny. Wtedy też pojawił się śpiewany przez Marię Koterbską, znany do dziś szlagier: „Augustowskie noce”.

Większość z tych piosenek, powstałych w połowie lat 50., śpiewanych jest do dziś. Pamiętam rosyjski szlagier „Wiśniowy sad”, przetłumaczony na polski, który do nas akurat znakomicie pasował:

*Mieliśmy wtedy po 16 lat
A świat wirował wokół nas
Pocałowałem Cię przez wiśni kwiat
W wiosenny czas.*

Był to okres eksplozji piosenek francuskich jak „Sekwana”, „Paryski Gawroche” oraz włoskich, a także nielicznych angielskich jak śpiewana przez Doris Day przepiękna piosenka „Que sera, sera”, czyli „Co będzie to będzie”, traktująca o nieprzewidywalnej przyszłości, naszej przyszłości:

*Que sera, sera
Co będzie pokaże czas
Któż przyszłość odgadnie z nas
Co nam jutro da.*

Hela nie tylko pięknie śpiewała, ale i była znakomita tancerką. Mieliśmy z Józkiem kłopoty w opanowaniu niektórych tańców, mnie na przykład nie wychodził walc. Zrobiliśmy małą prywatkę na dwie pary, Hela przyszła z koleżanką, kupiliśmy jakieś wino i walc został opanowany.

Jak wspominałem, sporo chłopaków wzdychało do Heli. Natomiast ja z Józkiem mieliśmy problemy z dwiema przyjaciółkami – obie miały na imię Basia. Hela służyła nam jako nieoceniony doradca, jak zdobyć ich serca. Ja za to byłem mediatorem w niełatwych stosunkach Heli i Staszka (Jeża). Staszek nie był zbyt stały w uczuciach, co się

nasiliło zwłaszcza po ich rozstaniu. Staszкови na maturze się nie powiodło, a Hela podjęła studia na Akademii Medycznej w Białymstoku. Po roku Staszek z Jeżem zdali maturę bez przeszkód i zostali przyjęci na Polibudę. Wtedy Hela przyjechała do Warszawy ratować związek. Niestety, próby porozumienia ze Staszkiem, mimo mojego pośrednictwa, smutno się skończyły.

Wybiegam kilkanaście lat do przodu, by zakończyć temat nieszczęśliwej miłości. Dwadzieścia lat po maturze zorganizowany został w Augustowie zjazd absolwentów. Pojechałem tam, jednak nie spotkałem nikogo z moich przyjaciół. Józek już nie żył, zginął śmiercią tragiczną dziesięć lat wcześniej, nie było także innych moich najbliższych przyjaciół, Heli także. Zdegustowany, obiecałem sobie, że już nigdy nie przyjadę na podobną imprezę. Wracałem do Warszawy autobusem rejsowym. Wsiadając, rzuciłem okiem, czy nie spotkam kogoś znajomego, ale nikogo nie dostrzegłem. Było sporo wolnych miejsc, zająłem jedno z nich, gdy raptem usłyszałem: „Jerzy!”

Spojrzałem w kierunku, z którego dobiegał głos. Siedziała tam jakaś starsza kobieta, bardzo blada i wychudzona, podobna raczej do śmierci bez kosy niż do żywego człowieka. Wołanie jednak ponowiło się i wyraźnie dobiegało od śmierciopodobnej postaci. Podszedłem bliżej i oniemiałem. Tym kimś była Hela!

Nie bez obaw usiadłem przy niej i rozpoczęliśmy rozmowę. Opowiedziała mi w skrócie swoje życie. Skończyła studia i podjęła pracę jako lekarz w okolicy Augustowa. Jakoś pogodziła się ze stratą Staszka. Wyszła wprawdzie za męża, miała jakieś dziecko czy dzieci, ale straciła ochotę do życia. Przestała jeść, ważyła około 38 kg i jechała właśnie do uzdrowiska na południu Polski, by się ratować. Byłem strasznie przybity tym spotkaniem z kobietą, która była kiedyś uosobieniem radości życia! Miłość bez wzajemności jest chyba najgorszą sytuacją w życiu człowieka.



Nad Neckiem: od lewej – autor, Hela, niżej jej koleżanka

5. Refleksje współczesne

WPIERWSZYM ROZDZIALE OPISAŁEM W WIELKIM SKRÓCIE WRAŻENIA Z CZASÓW MOJEJ WCZESNEJ MŁODOŚCI (częściowo wspomagane wspomnieniami rodziców oraz literaturą): pierwszą i drugą okupację rosyjską i niemiecką, początek tzw. Polski Ludowej i lata szkolne. Wyjaśniłem także na własnym przykładzie i pobieżnie mechanizmy działania systemu komunistycznego.

Analizując wydarzenia historyczne, musimy sobie wszyscy zdawać sprawę ze znaczenia Polski w Europie, 38-milionowego narodu, z jego zasobami naturalnymi, potencjałem gospodarczym i tradycją niepodległościową. Posiadanie w środku Europy tak tłustego kęsa, jakim jest nasz kraj, to gra warta świeczki. Nie każdy wie, że Stalin po zakończeniu wojny najbardziej był zadowolony nie ze zwycięstwa nad Niemcami, ale z utrzymania Polski w objęciach systemu sowieckiego. To była największa zdobycz Stalina. Żeby utrzymać ten kraj w ryzach, trzeba było dokonać przebudowy świadomości Polaków. Takie przedsięwzięcie jest według badań możliwe po likwidacji elit stanowiących około dziesięć procent każdego społeczeństwa. Udało się to po zakończeniu wojny. W Polsce ostało się właśnie około dziesięciu procent przedwojennych absolwentów polskich uczelni, a powojennym absolwentom zrobiono „pranie mózgow”. Jednak już po 1989 roku narodziło się i wykształciło mnóstwo Polaków, ich też trzeba było spacyfikować i zmanipulować. Ta walka o dusze trwa nadal. Jedną z najlepszych

metod jest wpędzenie młodych w zadłużenia (każdy chce mieć własne mieszkanie na raty), a następnie w biedę i strach przed utratą pracy. Jest to w gruncie rzeczy, przy poziomie zarobków w Polsce, w porównaniu z tymi w Unii, współczesne niewolnictwo porównywalne z komunistycznym. Ludzie nie mają czasu na studiowanie książek i czytanie niezależnych mediów, zadawali się słuchaniem TV i nawykowym przeglądaniem jedynie słusznej GŹ. Myślą naiwnie – to jest przecież nasza niekomunistyczna prasa i nasza TV. Nie mają własnego zdania i boją się ostracyzmu. Mówią językiem mediów, które ośmieszają niezadowolonych, co widać np. w zmianie nazewnictwa: kibiców w kiboli, nazywanie patriotów faszystami itd.

W „Naszym Dzienniku” (12.06.2012), jednej z nielicznych niezależnych gazet, wydrukowano dokument – ściśle tajną instrukcję pochodzącą z Kancelarii Prezydenta Bolesława Bieruta. Podawała ona zasady mające na celu całkowite podporządkowanie Polski interesom ZSRR. Ta instrukcja licząca czterdzieści pięć punktów została wydana w Moskwie 2 czerwca 1947 roku. Wprowadzając ją w życie, doprowadzono Polskę do stanu całkowitej zależności od Sojuszu. Wiele z tych zasad wprowadzono w życie ponownie po roku 1989, po zmianie systemu (niektóre nie zostały wycofane). Na przykład zasada nr 14: „Spowodować, aby wszystkie zarządzenia i akty prawne, gospodarcze, organizacyjne nie były precyzyjne”. Wiemy, czemu na naszym kraju jest taki chaos prawny, gąszcz przepisów, często wzajemnie się wykluczających. Z tą instrukcją ściśle współgra instrukcja nr 32: „Doprowadzić do maksymalnej rozbudowy administracji biurowej wszelkich stopni...”. Za rządów Platformy nastąpił wzrost administracji o chyba trzydzieści procent, i to mimo zapewnień wyborczych o redukcji biurokracji. Nie lepiej jest w Europie – biurokraci w Brukseli wyprodukowali już masę idiotycznych przepisów, np. o dopuszczalnej krzywiznie ogórka czy też banana itd. Przyjrzyjmy się jeszcze instrukcji nr 12: „Wpłynąć na władze krajowców (sic! – pisane przecież z Moskwy), aby nabywcy ziemi, parceli i gruntów nie otrzymywali aktów własności, a jedynie

akty nadania”. No i proszę, Polacy przesiedleni z terenów wschodniej Polski na tzw. Ziemie Zachodnie (zajętych siłą przez ZSRR), nie tylko przez lata PRL, ale też do tej pory, prawie ćwierć wieku po zmianie systemu, nie mają praw własności. Dawni niemieccy właściciele na mocy wyroków sądów polskich odzyskują swoje mienie (po to między innymi włączono nasz kraj do Unii). Przykłady można by mnożyć, nie mam jednak zamiaru przytaczać w całości tych zasad (odsyłam do źródeł).

Porządek prawny panujący w Unii Europejskiej, gdzie najwięcej do gadania mają Niemcy, mimo krótkiego okresu istnienia tego dziwnego tworu, bardzo przypomina system sowiecki. Jednak ten dziwoląg już wykazuje symptomy zbliżającego się nieuchronnego, moim zdaniem, upadku. Albo przekształcimy ten system, albo ugrzęźniemy w nim na dłużej i staniemy się państwem o statusie podobnym do tego przed 1989 rokiem. Nie może być przecież tak, że o istotnych gospodarczych sprawach jakiegoś państwa decyduje anonimowy komisarz z Brukseli, który nie odpowiada przed danym państwem za strategiczne decyzje w nim wprowadzane. Przecież to dyktatura żywcem wzięta z systemu sowieckiego, kiedy musieliśmy słuchać dyrektyw z Moskwy. Jaskrawym tego przykładem jest fakt likwidacji trzech polskich stocznii, podczas gdy w Europie Zachodniej stocznie się rozbudowuje, bo są motorem gospodarki. O tym wie każdy mający pojęcie o gospodarce, a z pewnością każdy inżynier lub szanujący się ekonomista. Niestety, wszystko wskazuje na to, że nie wiedzą o tym historycy (i ich doradcy) kierujący Polską. Słyszałem, że przed likwidującą się stocznia w Szczecinie stały autokary transportujące całe zespoły robocze do stoczni w Portugalii, kraju mającego cztery razy mniej ludności i podobno zagrożonego upadkiem. W połowie 2012 roku wyczytałem, że przeznaczono pół miliarda Euro na pogłębienie powyżej siedemnastu metrów portu w Hamburgu, co współgra z faktem, że znajdujący się na głębokości siedemnastu metrów rurociąg gazowy Rosja – Niemcy, zwany prześmiewczo „Ribbentrop-Mołotow”, blokuje wpływanie większych statków do polskiego portu w Świnoujściu. Nasi politycy nie

mają zielonego pojęcia o gospodarce (albo wiedzą dobrze co czynią!). Rezultat takiej polityki na „zielonej wyspie”, jaką miała być Polska, to ucieczka ponad dwóch milionów młodych ludzi na Zachód w poszukiwaniu pracy. A co mają robić pozostali młodzi ludzie? Idą na zieloną trawkę, i to nawet ci po studiach. Politycy kierujący państwem wydają się tego nie dostrzegać, ich zainteresowanie skupia się głównie na organach kobiecej: aborcja, sztuczne zapłodnienia itp. Dlaczego? Ponieważ na tym wszyscy podobno się znają, a na gospodarce niekoniecznie. Uwięzienie kraju w gorsecie biurokracji – między innymi podatkowym – pogłębia się, a gniewni młodzi, zwani u nas dla niepoznaki „kibolami”, są coraz radykalniejsi...

Taka niedoskonała demokracja w Polsce prędzej czy później doprowadzi do przełomu. Widać to najlepiej na Ukrainie. Parę lat temu obserwowaliśmy „pomarańczową rewolucję” na Majdanie w Kijowie, a teraz znów się zaczęła. Ludzie ciągną do Europy, a oligarchia na wschód od Dniepru ciąży ku Rosji. Być może dojdzie do rozpadu tego państwa na dwa niezależne byty.

Siły wrogie Polsce mają ułatwione zadanie w manipulowaniu społeczeństwem. Jak wspomniałem, stare elity zostały wyrżnięte solidarnie przez okupantów: niemieckiego i rosyjskiego. Po wojnie nasza „władza ludowa” dokończyła dzieła i wykończyła patriotów, którzy się jeszcze ostali. W latach 1945–1956 zginęło około pięćdziesięciu tysięcy bohaterów podziemia niepodległościowego! To więcej niż podczas kampanii wrześniowej w 1939 roku! Dokonało tego mordu „ramię Partii”, czyli UB, sądy i prokuratura, składający się z nadreprezentacji Żydów. Do pomocy były jeszcze wojska NKWD i oficerowie radzieccy kierujący aż do śmierci Stalina Ludowym Wojskiem Polskim. W taki sposób w III Rzeczypospolitej wyhodowaliśmy własnych „patriotów”, którzy przejęli pałeczkę. Teraz trzeba „dorżnąć watahę” – i robią to!

W III RP to media są organem spełniającym rolę wiodącą. Opinie czołowych dziennikarzy w mediach typu GW są obowiązujące dla Salonu i pozostałych szaraczków. A kto steruje mediami?

Obecnie w Polsce dziennikarze, nawet ci uczciwi nie są zbyt majętni i boją się utraty pracy, dlatego piszą tak, by „nie podpaść”. Sporo dziennikarzy i redaktorów pracuje w mediach, które są utrzymywane przez różne źródła, najczęściej niepolskie. Niektórzy są potomkami oficerów aparatu bezpieczeństwa i działaczy komunistycznych. Zdobyli stosowne wykształcenie, ucząc się pilnie języka angielskiego, dla „przetarcia się” podróżowali po świecie, a teraz brylują, mając niewiarygodnie wysokie pobory i narzucają innym swoje zdanie, które potem obowiązuje powszechnie. Bronią po prostu dorobku swoich ojców i dziadków oraz własnej skóry. Ta grupa cwaniaków połączona z prężną żydowską mniejszością narodową i byłymi komuchami popularyzuje zasadę tzw. poprawności politycznej, rozumianej jako afirmacja tego co dla nich wygodne. Ta idiotyczna zasada zakazuje nazywać wprost, bez owijania w bawełnę, niektóre zjawiska i problemy, jeżeli są niezgodne z obowiązującą linią polityczną Partii (nie PZPR a PO). Zakazuje więc mówić i pisać prawdę. Jeżeli bowiem „głupiego” nazywa się zgodnie z tą zasadą „mądrym inaczej”, to płakać się chce! Zasada, wymyślona przez ludzi bezwzględnych i wpływowych, zakazuje mówić otwarcie o prawdzie. Cwaniacy!

Salon może sobie pozwolić na wszystko, bo jak wspomniałem – brak jest tradycyjnej klasy średniej stanowiącej mózg i sumienie narodu. Gdyby w Polsce istniała warstwa inteligencji, taka jaka znajduje się na Zachodzie, taka „rada starszych” o wielowiekowej tradycji, to nasz „Salon” byłby co najwyżej „przedpokojem”. Jak wiadomo, nasza klasa średnia została prawie doszczętnie zniszczona. Wszędzie tam, gdzie komuniści dochodzili do władzy – czy to w Rosji, w Chinach, czy też w Polsce i w innych krajach tzw. demokracji ludowej – zabijali dziesięć procent ludności. Zabijano z premedytacją, po to by zmienić strukturę społeczeństwa. I zmieniono!

Chciałbym przez pokazanie moich losów w Polsce komunistycznej przybliżyć nieco naszej otumanionej młodzieży („schować babci dowód, żeby nie głosowała na PiS”) mechanizmy manipulacji. Kiedyś radio „Wolna Europa” była odtrutką na propagandę komunistyczną,

dzisiaj zostało tylko własne, krytyczne myślenie. W jakimś sensie tę rolę przejęły niezależne wydawnictwa – tygodniki: „Gazeta Polska” (i jej codzienna edycja), „Warszawska Gazeta”, „Wprost” czy kierowane przez Ojca Rydzyka z Torunia Radio „Maryja” i Telewizja „Trwam”. Ale słuchać audycji dla „moherów”, to dla młodych jest obciach. Ponadto, ostatnie działania rządu zmierzają do likwidacji tej jedynej niezależnej stacji radiowo-telewizyjnej. Na domiar złego, młodzież nie lubi czytać gazet (chyba że wiadomości sportowe). Całe szczęście, że Internet przejął częściowo funkcję niezależnego medium!

W następujących rozdziałach pokażę na własnym przykładzie, jak wyglądało życie w PRL-u i jak dawałem sobie radę z manipulacją podczas studiów, w pracy i podczas szkoleń wojskowych. Postaram się przy tym nie zanudzać Czytelników i opisywać w miarę żartobliwie – a z racji usposobienia – często nawet kabaretowo moje potyczki z systemem.



II.

STUDIA

6. Burzliwy start

PO PECHOWEJ DLA WIĘKSZOŚCI Z NAS MATURZE POJECHALIŚMY Z JÓZKIEM DO WARSZAWY, ŻEBY ZDAĆ EGZAMINY WSTĘPNE NA POLITECHNIKĘ, ZWANĄ POTOCZNIE POLIBUDĄ. A jeszcze wcześniej zorganizowaliśmy spływ kajakowy, w którym wzięła udział nasza czwórka oraz kilka dziewczyn, przeważnie uczestniczek poprzednich spływów. Daleko nie dołynęliśmy, zaledwie na Serwy, ale dobre i to. W czasie pobytu na wyspie, na Serwach, Józek został trafiony strzałą z własnoręcznie zrobionej kuszy. A sprawczynią była Maryla, zdeglustowana strzelaniem przez Józka w pęto wędzającej się na ognisku kiełbasy. Po prostu odrzuciła do strzelca strzałę zrobioną z miedzianego pręta. Strzała ze specjalnym zadziorem utknęła w pachwinie Józka niebezpiecznie blisko jego „klejnotów”. Wyrwałem tę strzałę, szczęściem, nie naruszając głównej tętnicy pachwinowej, ale nie można było zdezynfekować głębokiej rany, bo dziewczyny zapomniały o apteczce, za którą były odpowiedzialne. My, niestety, nie mieliśmy żadnych środków dezynfekujących typu wino czy wódka – co dobrze o nas świadczyło – lecz źle wróżyło rannemu. Dostał gorączki i drgawek, szykowała się więc nocna wyprawa kajakami, z rannym facetem, do szpitala w Augustowie. Dobrze, że na tej, zdawałoby się, małej bezludnej wyspie zjawili się, jak na zawołanie, dwaj młodzi lekarze z Wrocławia z podręczną apteczką i załatwili sprawę. Zakrawało to na cud, tym razem Józek miał szczęście. Potem też, chociaż może zezowate, bo o śmierć

ocierał się dosyć często. Na przykład omal nie zginął w czasie strzelaniny pod swoim domem. Wspominałem już o tym zdarzeniu. Parę godzin po strzelaninie mieszkańcy Augustowa pielgrzymowali pod powybijane eksplozjami okna Józkowego domu i oglądali przy okazji krew na śniegu po zabitych.

Po incydencie nad Serwami następny wypadek przydarzył się Józkowi 2 lub 3 października tego samego roku w Warszawie. Jako studenci pierwszego roku jechaliśmy rano na zajęcia. Mieszkaliśmy przy placu Narutowicza i usiłowaliśmy wsiąść w czternastkę, jadącą na ul. Rakowiecką. W tramwaju był straszny tłok, ale udało nam się zawiesić w charakterze winogrona przy pierwszych drzwiach przedniego wozu. Tramwaj skręcał w prawo, z Grójeckiej w Filtrową, i zderzył się ze Starem, który jechał prosto. Mżył drobny deszczyk, kostka pokrywająca jezdnię była śliska i samochód nie zdołał zahamować. Gdy kątem oka zauważyłem zbliżającą się maskę samochodu, rozpaczliwie wcisnąłem się w tłum wewnątrz tramwaju. Samochód uderzył i „skosił” cały przód wagonu, łącznie z budką motorniczego i paroma osobami wsiadającymi na stopniach. Rozległ się straszny krzyk, potem zapadła cisza, po chwili słychać było jakieś jęki. Wydostałem się na zewnątrz, szukając Józka. Zniknął. Schyliłem się i ze zdziwieniem, ale i z ulgą, zauważyłem kolegę wypełzającego spod rozbitego tramwaju. Miał płaszczyk cały w strzępach i potłuczone okulary, lecz ogólnie był cały.

Parę miesięcy później znów wyciągnął los na loterii. Wskakiwanie do czternastki tuż po ruszeniu z przystanku przy Grójeckiej to był stały element gry. Zwykle około sto metrów dzieliło drzwi wyjściowe akademika od tramwaju. Istniała jedna ważna zasada: należało wskakiwać w tylne drzwi drugiego wozu. Tramwaj zakręcił w Filtrową. Tym razem Józek postanowił wskoczyć do przedniego wozu, poślizgnął się na śniegu, a potem stoczył się pod tramwaj. Zamknąłem oczy, a gdy je otworzyłem, „pechowy szczęściarz” już otrzępywał się ze śniegu... W zasadzie nawet nie warto wspominać o takim drobiazgu... Któregoś dnia wypadł przecież z trolejbusu 56., jadącego z pełną szybkością

Alejami Niepodległości w kierunku Mokotowa. Kostucha dopadła go parę lat później w Augustowie. Jechał jako pasażer motorem z Wojskowego Domu Wypoczynkowego (WDW) nad jeziorem Białym. Na przejeździe kolejowym przy stacji Augustów Port uderzył z dużą szybkością w lokomotywę pociągu. Jechał szybko, ponieważ o tej porze pociągi nie jeździły. Pech chciał, że na dystansie trzydziestu kilometrów, z Suwałk do Augustowa, pociąg opóźnił się o ponad godzinę.

Wracam jednak myślą do naszych studiów. Atrakcji mieliśmy wiele. W październiku 1957 roku, następnego chyba dnia po wypadku, rozpoczęła się zadyma związana z zamknięciem przez Gomułkę pisma „Po prostu”. Za dużo było w tym redagowanym przez młodych gniewnych piśmie prawdy – niewygodnej dla komunistów. Wieczorem odbył się na placu Narutowicza protestacyjny wiec studencki. W Akademiku mieszkało parę tysięcy ludzi, plac więc był wypełniony młodymi studentami broniącymi wolności słowa. Tłum stał spokojnie, słuchając kolejnych przemówień aprobowanych przez oklaski, gdy raptem nadjechała kolumna ciężarowych wozów milicyjnych. Wkrótce plac otoczyli ludzie w stalowych mundurach, w hełmach, z długimi pałami w rękach. Nigdy wcześniej nie widzieliśmy takiej watahy milicji. Nic dziwnego, była to bowiem pierwsza publiczna akcja słynnego później ZOMO. Mimo otaczającego plac szpaleru, wiec odbywał się spokojnie, mówcy powiedzieli swoje i ludzie zaczęli się rozchodzić. Wtedy usłyszeliśmy przez głośnik głos dowódcy akcji milicyjnej. Wzywał ludzi, by się rozeszli, bo w innym razie użyją siły. Wyraźnie chciał się wykazać. Gdyby nas nie sprowokował, byłby spokój, bo plac powoli pustoszał. W odpowiedzi rozległ się śmiech i gwizdy zgromadzonych, a z akademika wybiegli studenci. Nastąpił szturm. To nie takie proste rozpędzić duży tłum młodych ludzi. Miałem strasznego pietra i uciekałem na widok szarżujących milicjantów. Byłem za szczupły i za mało doświadczony, by walczyć gołymi rękami z wyćwiczonymi typami uzbrojonymi w długie szturmowe pały. Celny cios pałą i uderzony padał. Tak właśnie funkcjonowało bijące serce Partii. Nosiłem w sobie

podziw dla starszych i roślejszych kolegów, którzy dzielnie podejmowali tę walkę. Bezpośrednio przed atakami milicja rzucała w tłum petardy i świece dymne. Co odważniejsi studenci odrzucali niekiedy te pociski, chociaż mogło się to skończyć tragicznie, gdyż ładunki rozrywały się w rękach miotaczy. ZOMO-wcy po jakimś czasie się wycwanili i rzucali ładunki kilka chwil po ich odpaleniu, dlatego niektóre rozrywały się tuż nad głowami lub wręcz na głowach zgromadzonych, powodując poparzenia i okaleczenia.

– Nic tu po mnie – pomyślałem. – Przydam się w innym miejscu.

Tym innym miejscem były balkony na szóstym i chyba ósmym piętrze akademika. Zauważyłem, że przy silniejszym ataku szturmujących, używających w dodatku petard, studenci cofają się do akademika. Drzwi wejściowe były jednak zbyt wąskie i robił się straszny tłok. Milicjanci bezkarnie bili pałkami uciekających po plecach. Należało stworzyć zaporę ogniową, a wystające poza obrys budynku balkony stanowiły idealne ku temu miejsce. Nie tylko ja wpadłem na ten pomysł. Na górze zgromadziło się wielu obrońców, i przy kolejnej szarży w dół poleciały wpierw skrzynki z kwiatami, a później cegły wyrwane z muru. Taktyka przyniosła dobre rezultaty: na dole zostali tylko odważni harcownicy, których ucieczkę osłaniał grad pocisków lecących z góry. Jednak rozbiórka murów szła zbyt wolno i zaczęło brakować amunicji. W szale bitewnym wpadłem do pokoju, a mieszkałem tuż przy balustradzie na szóstym piętrze, i wygarnąłem z pokoju to wszystko, co nadawało się do rzucania, nawet jakiś stoik z dżemem. Z żywności przywiezionej wówczas z domu został tylko augustowski boczek i miód, który przydał się parę dni później. Zgromadzeni przy balustradach – w przerwie między odpieraniem ataków – śpiewali patriotyczne i bojowe piosenki oraz wznosili okrzyki: „Gestapo”, „Bandy-ci”, „Precz z komuną”. Czuliśmy, że tworzymy historię.

W pewnej fazie utarczek milicja użyła gazów łzawiących. Później pojechali. Zdążyli jednak przed opuszczeniem miejsca zamieszek wyładować swoją agresję na Bogu ducha winnych pasażerach

tramwajów. Z balkonów dobrze widać było całe zdarzenie. Wpadali na przystankach do przejeżdżających tramwajów i tłukli przerażonych ludzi. W obronie przed gazem pozamykaliśmy się w pokojach, ale wkrótce i tam zaczęliśmy płakać. Płakaliśmy tak parę dni. Ostatnie marzenia o demokracji w Polsce Ludowej zostały utopione właśnie w tych naszych łzach. O zajęciach napisałem później obszerny list do kolegów z Augustowa, repetujących jedenastą klasę, ponoć był czytany zbiorowo.

Następnego dnia, był to chyba piątek, zapowiedziano wiec w auli Politechniki przy placu Jedności Robotniczej. Naturalnie obaj – bo byliśmy z Józkiem jednomyślni – ruszyliśmy na miejsce zbiórki. Niestety, do środka uczelni nie można było wejść; był już widocznie nadkomplet, a plac przed Politechniką był zapełniony młodymi ludźmi. Nic tu po nas. Wycofaliśmy się do Alei Niepodległości. Wtedy zauważyliśmy podjeżdżającą kolumnę milicyjnych samochodów, z których wysypały się znane już nam od wczoraj umundurowane postacie w hełmach, z pałami w rękach. Ustawili się w dwuszeregu, a dowódca zaczął wydawać polecenia. Z mrówkami na plecach przeszliśmy przed tym dwuszeregiem, a za najbliższym skrzyżowaniem puściliśmy się biegiem pod Politechnikę, krzycząc o nadciągającym zagrożeniu. Nasza akcja nic w zasadzie nie dała, co bowiem mieli zrobić ci młodzi ludzie? Uciekać? Przygotować się do odparcia ataku? Jak? Czym?

W sobotę zamieszki przeniosły się do centrum Warszawy, a w niedzielę pojechaliśmy do Śródmieścia, by obejrzeć ich rezultaty. Potłuczone szyby, porozbijane budki telefoniczne... Władza triumfowała, głosząc o chuligańskich wybrykach.

I tu przeskok myślowy do 11 listopada 2012 roku. Na demonstracji z okazji Święta Niepodległości miały miejsce zamieszki spowodowane przez Policję i też władza głosiła, że winni są młodociani chuligani, zwani „kibolami”. Tak rządowa propaganda w mediach nazwała młodych ludzi niezadowolonych z polityki Platformy i rządzących pracy oraz prawdy, zwłaszcza o katastrofie smoleńskiej. A więc historia

zatoczyła koło. Na trasie przemarszu kibiców rosyjskich na Stadion podczas „Euro 2012” doszło do zatargów spowodowanych przez kibiców rosyjskich. Podczas bójki „nasza” Policja tłukła i aresztowała Polaków. Media nazwały polskich kibiców „kibolami”, żeby ich ośmieszyć w oczach opinii publicznej. Jakiś dziennikarz rosyjski zapytał jednego z naszych dyplomatów:

– Kto to są ci „kibole”? Bo u nas są tylko kibice – dodał.

Kibice podpadli Platformie za głoszenie patriotycznych haseł na stadionach. Dolali wody do ognia, gdy jeden z ich przywódców, zwany „Staruchem” wymyślił hasło: „Donald, matole, twój rząd obalą kibole”. Rezultat? Wsadzili go pod jakimś bzdurnym zarzutem na trzy miesiące. Później ponownie przedłużyli mu areszt, łamiąc prawo. Równowaga polityczna w Polsce wisi na włosku i w każdej chwili może dojść do poważnych zamieszek spowodowanych przez rząd Donalda Tuska. W miejsce obiecywanej „zielonej wyspy” może zdarzyć się krwawa jatka.

Miałem pisać o studiach, a tu jakoś nie było okazji... I nie było okazji do studiowania jeszcze przez jakieś dwa tygodnie, ponieważ zawieszono nam zajęcia na uczelni. Przez lokalny radiowęzeł nadawano komunikaty o sytuacji, padały nazwiska aresztowanych przywódców zajęć, nic mi niemówiące, a w pokoju, gdzie mieszkałem, nie było ludzi kompetentnych, którzy mogliby wyjaśnić, kim oni są.

Znajdowałem się w pokoju zamieszkałym przez sześć osób. Trzech z nich (łącznie ze mną) było studentami pierwszego roku tego samego wydziału, a trzech pozostałych było... Grekami. Tak, tak, Grekami. Byli to młodzi komuniści lub dzieci komunistów. Po wprowadzeniu tam dyktatury uciekli. Byli dużo starsi od nas, kończyli już studia. Jeden z nich, Kostas, był ciężko chory i dosłownie słał się na nogach, wychodząc do ubikacji, która znajdowała się na korytarzu. Nie miał chyba nic do jedzenia lub też nie chciał jeść i wyglądał jak szkielet obciągnięty skórą. Lekarze nie wiedzieli, jak go leczyć. Usiłowałem go dokarmiać zapasami przywiezionymi z domu, ale on przyswajał

tylko augustowski miód podawany w herbacie lub na chlebie przynoszonym ze stołówki. Kilka razy dziennie karmiłem go tym miodem – i o dziwo – zaczął zdrowieć. Minęło osłabienie i gorączka, odzyskał apetyt. Twierdził, że miód przywrócił mu siły. Wkrótce wyzdrowiał i wyprowadził się z pokoju. Chyba skończył studia i podjął pracę. Kilka lat później spotkałem go na ulicy. Zaprosił mnie na drinka. Podtrzymał swoją wersję, że to właśnie miód uratował go przed śmiercią. Wierzyć czy nie wierzyć?

Jak wspominałem, przez dwa tygodnie nie było zajęć, lecz my przez ten czas nie próżnowaliśmy. Pilnie studiowaliśmy nowe życie. A życie w wielkim mieście, pełnym nieznanym, egzotycznym wręcz możliwości dla młodych ludzi z małego miasteczka, to był niewyczerpany skarbiec wrażeń. Zapisalem się niezwłocznie na kurs tańca towarzyskiego prowadzony przez profesora Kłosowskiego w Pekinie, czyli Pałacu Kultury i Nauki. Oprócz tanga i fokstrota uczyłem się egzotycznych dla mnie, nawet z nazwy, tańców – jak: samba, rumba, *jive* i słynny *rock and roll*. Zdobyte na kursie umiejętności utrwalalem w soboty i niedziele na zabawach tanecznych odbywających się w olbrzymiej sali gimnastycznej znajdującej się na parterze akademika. Uprzedzając fakty, przez wiele lat, czyli aż do ślubu w 1962 roku, nie opuściłem ani jednej zabawy. Ale jakie to były zabawy! Do tańca grały nam orkiestry jazzowe, takie jak: „New Orleans Stompers”, „Six Boys Stompers” i inne, muzycy – Zbigniew Namysłowski, grający na puzonie i saksofonie, Michał Urbaniak, Duduś Matuszkiewicz, Krzysztof Sadowski oraz cała plejada pozostałych muzyków jazzowych, znanych później w kraju i na świecie. To były pierwsze lata jazzu w Polsce. Przecież pierwszy festiwal jazzowy odbył się właśnie w 1957 roku w Sopocie. Miałem dwa dania w jednym – taniec i wspaniała muzyka jazzowa na żywo! To zamiłowanie do tańca i do muzyki nie opuszcza mnie do dzisiaj.

Józek nie był takim jak ja miłośnikiem tańca, chociaż uwielbiał biesiady przy stole. W następnym, letnim semestrze, zapisaliśmy się na kurs *judo* prowadzony na AWF-ie. To nie było jeszcze formalnie *judo*;

zajęcia nazywano kursami samoobrony, ale instruktorzy byli judokami z prawdziwego zdarzenia. Później kontynuowałem te treningi w ramach zajęć z wychowania fizycznego. Po kilku latach treningów już nie bałbym się walki z milicjantami na placu Narutowicza. Muzyka, taniec i *judo*, te elementy samokształcenia wzbogaciły moją osobowość i niejednokrotnie pomagały mi w życiu, a nawet je ratowały.

Mogę tu dodać także kino. Byliśmy zapalonymi kinomanami. Oglądaliśmy wszystko, co wyświetlano w stolicy. Bywało, że jednego dnia oglądaliśmy nawet po trzy filmy. W tym czasie powstało kino „Iluzjon”, gdzie wyświetlano archiwalne filmy zachodnie, oraz przedwojenne polskie. Kino działało jakby trochę w konspiracji. Trzeba było kupować karnety na jakąś serię, np. na filmy z gwiazdami filmu amerykańskiego, francuskiego czy angielskiego, a seanse zaczynały się późnym wieczorem. Bardzo lubiłem stare komedie. Nareszcie mogłem obejrzeć legendarnego Charlie Chaplina, Buster Keatona czy słynnych braci Marx. A już prawdziwym przeżyciem dla mnie były filmy z Fredem Astairem, najśłynniejszym chyba tancerzem świata. Jego tańce z Ritą Hayworth czy też z Ginger Rogers w „Gospodzie świętecznej” i innych filmach oczarowały mnie całkowicie i przeniosły w świat marzeń. Takie melodie jak „Smoke Gets In Yours Eyes”, tańczone przez ten mistrzowski duet, śpiewane później przez Platersów, na zawsze będą brzmiały mi w uszach. Filmy z Astairem uzmysłowiły, jak wielu umiejętności tanecznych mi brakuje. No i stałej partnerki, bo chociaż na kursy tańca uczęszczałem jeszcze kilka razy, to zawsze z przypadkowymi dziewczynami. Raz udało mi się zatańczyć mój ulubiony taniec – tango – z instruktorką tańca, ale to było ze trzydzieści lat później w... Algierii na Saharze. Obchodziłem wtedy moje pięćdziesiąte urodziny. Świadcami była grupa zaprzyjaźnionych Rosjan. Do dziś pamiętam ich zdziwione miny. Chociaż w tym tańcu za wiele nie pokazałem, moja rola polegała głównie na łapaniu w odpowiednim momencie partnerki przed upadkiem na kamienną posadzkę, ale było to w rytmie tanga. „To było prawdziwe *tango sauvage*” (z francuskiego – „dzikie tango”) – powiedziała potem zadowolona tancerka.

„Iluzjon” – to było chyba jedyne kino w Warszawie istniejące w półkonispiracji i raczej niezbyt zgodne z linią partii. Jedną z oznak niełaski władzy w stosunku do tego typu kultury była dosyć częsta zmiana lokalizacji kina. Pierwsze mieściło się w okolicach skrzyżowania Alei Ujazdowskich z dzisiejszą Trasą Łazienkowską, w ładnym, secesyjnym chyba pałacyku, później zmieniało kilkakrotnie swoją siedzibę, przez co seanse traciły nieco urok. Przez kilka lat byłem stałym bywalcem „Iluzjonu” – miałem szczęście obejrzeć bodaj wszystkie najwybitniejsze filmy zza żelaznej kurtyny.

Wraz z późnym Gomułką przyszło ocieplenie i zaczęto wyświetlać w Polsce współczesne filmy zachodnie, zwłaszcza włoskie, francuskie i amerykańskie. Szlagierem okazały się westerny: „W samo południe”, „Biały kanion” i inne filmy, robione według najnowszych technik panoramicznych. Pamiętam tasiemcowe kolejki na te superhity – nastąpiła złota era koników.

No i jeszcze jeden element samokształcenia – kabarety. A powstało ich wówczas sporo, oczywiście pierwszy, na którym byliśmy, to był słynny kabaret Politechniki w „Stodole” przy ul. Emilii Plater. Pamiętam program, który miałem szczęście oglądać. Nazywał się „Balią przez H₂O”. Byłem na tym spektaklu kilka razy, a piosenki tam śpiewane, jak „Szybki Bill”, „Cień”, i inne, przyswoiłem i włączyłem do mojego repertuaru. Kabaret poszukiwał nowych członków, Józek mnie namawiał, ale ja wołałem wolność. Za dużo było pokus. Czasami bywałem w „Stodole” na zabawach tanecznych, na których przygrywał zespół jazzowy Janusza Zabieglńskiego, ale nie wytrzymałem atmosfery snobizmu, jaka tam panowała. Nie miałem też żadnych szans, bo ładniejsze dziewczyny podrywano na włoskie skutery Lambretta. Jeszcze gorzej było w „Hybrydach” przy Mokotowskiej. Tam to był dopiero szpan. Raz weszliśmy do „Hybryd” z ciekawości, ale to nie była atmosfera dla nas. Podobnie nieswojo czuliśmy się po wejściu do knajpy chyba o nazwie „Oaza” przy ulicy Targowej na Pradze. We wnętrzu zadymionej mordowni gwar na chwilę umilkł. Znieśliśmy mężnie spojrzenia typów przy stolikach i podeszliśmy do baru. Odwagi starczyło

nam jednak tylko na wypicie przy barze po pięćdziesiątce. W „Hybrydach” nie wypiliśmy niczego.

Na Pradze, na placu Szembeka, znajdował się wtedy słynny bazar, na którym można było kupić modne ciuchy. Tam był swoisty folklor – mnóstwo młodych ludzi kupujących u handlarzy modne dzinsy, jakieś bluzy z demobilu z napisem „U.S. Army” i inne modne akcesoria, zwłaszcza damskie. Nie brakło także oszustów i złodziei. W pewnym momencie powietrze przeszył okrzyk:

– Hej, uwaga na portfele!

W tym momencie wielu ludzi instynktownie sprawdziło dotykem, czy ich pieniądze są na swoim miejscu. A o określenie tego miejsca chodziło baczny obserwatorom. Tak nam się ten okrzyk spodobał, że często używaliśmy go później jako swobodnego hasła oznaczającego wzmocnienie czujności.

Następny kabaret – „Buffo” mieścił się przy ulicy Konopnickiej w gmachu YMCA. Występowali w nim artyści scen przedwojennych: Lopek Krukowski, Stefan Witas, Tadeusz Olsza, Hanka Bielicka – słowem kwiat przedwojennej cyganerii, ci, którzy ocalili z wojny i nie znaleźli się na emigracji. Oglądałem słynne długie nogi Lody Hałamy, kiedy zawitała, chyba na krótko, do Polski z Zachodu. Lopek Krukowski, który szczęśliwie wyjechał z armią Andersa ze Związku Radzieckiego i przeżył kampanię wojenną we Włoszech, był autorem polskich słów do słynnej piosenki „Lili Marlen”. Tę piosenkę włączyłem do swojego repertuaru:

*I tam we Włoszech, w Alpach hen
Po polsku zabrzmiał refren ten
Lili, Lili Marlen. Lili, Lili Marlen.*

Jak wieść niesie, w YMCA odbywały się po wojnie – dzięki przysyłanym z USA płytom – koncerty jazzowe. Jednak stowarzyszenie wkrótce zamknięto i podobno pięćset płyt jazzowych zostało

zniszczonych, co wspomina słynny Leopold Tyrmand, autor bestselleru *Zły*, który czytaliśmy z wypiekami na twarzy.

A co ze studiami? Tu się kończy zabawa i zaczyna koszmar, którego nie chce mi się opisywać, podam więc tylko niezbędne informacje i opiszę raczej weselsze momenty. Zacznę może od tego, że mieliśmy po pięćdziesiąt godzin zajęć tygodniowo, wliczając w to – raz w tygodniu – studium wojskowe. Studia techniczne są najtrudniejszymi studiami, jakie można sobie wyobrazić. Przyczyna jest prosta, wykłady z fizyki, matematyki czy wytrzymałości materiałów są tak trudne, że nie sposób ich zrozumieć, słuchając tylko wykładów. Są naszpikowane wzorami matematycznymi z użyciem różniczek, całek i logarytmów. Do przyswojenia tego wszystkiego, potrzeba o wiele więcej czasu i nawet wtedy nie będzie się miało gwarancji, że nastąpi zrozumienie i zapamiętanie tematu oraz że osiągnie się umiejętność zastosowania przyswojonej wiedzy.

Podczas egzaminów wymagano znajomości wszystkich wzorów. Nie było łatwo również osiągnąć umiejętność ich zastosowania w praktyce. Do tego należy wspomnieć o geometrii wykreślnej i rysunku technicznym, dziedzinach wymagających bardzo dobrej orientacji przestrzennej i niezwykle pracochłonnych z powodu licznych zadań domowych.

Początkowo miałem kłopot z geometrią, mimo że mnie fascynowała, kupiłem więc sobie specjalną książkę z ćwiczeniami i załączonymi do niej okularami, które umożliwiały widzenie przestrzenne. Tak się wprawiłem w tym widzeniu, że później nie miałem kłopotów z zaliczaniem licznych sprawdzianów. Józek był równie dobry w geometrii jak ja, a początkowo nawet lepszy ode mnie.

Wiele prac domowych zadawano z rysunku technicznego. Trzeba je było wykonywać tuszem na specjalnych arkuszach brystolu. Pamiętam ćwiczenia polegające np. na pisaniu wszystkich cyfr i liter alfabetu pismem technicznym. Każdą literę dużą i małą po kilkadziesiąt razy. Zajmowało to kilkanaście godzin; wystarczało jedną tylko literę

czy cyfrę napisać nieprawidłowo i trzeba było całą zabawę zaczynać od początku. Później doszły do tego rysunki i projekty części maszyn, wykonywane tuszem na brystolu lub na kalce technicznej.

Częste sprawdziany i kolokwia trzeba było nasze szeregami jeszcze przed egzaminami. Nic dziwnego, że po pierwszym roku została nas połowa. A po drugim znów o połowę mniej. Nie było to wynikiem braku zdolności, tylko zbyt obszernym materiałem do przyswojenia. Sama wstępna selekcja na studia była niezła: o jedno miejsce na wydziałach mechanicznych ubiegało się po kilku studentów. Pamiętam egzamin wstępny z matematyki – po bardzo trudnym pisemnym był egzamin jeszcze ustny, na którym trafiłem na zadanie: Podaj wzór na twierdzenie sinusów. Na pozostałe dwa pytania odpowiedziałem błyskawicznie, ale na tym się zaciąłem i chociaż znałem temat, to wzór chwilowo uleciał z mojej pamięci. Pamiętałem jednak, jakie były założenia, zaproponowałem więc egzaminatorowi, którym był dr Aleksander Hać, że spróbuję je wyprowadzić. Ten był bardzo zadowolony z mojej propozycji. Narysowałem więc trójkąt i wpisany w niego okrąg, podałem założenia i... wszystko mi się odblokowało. Być może ta moja postawa zaważyła na moich dalszych losach, bo egzamin zdałem pomyślnie. Ale takiego podejścia do matematyki nauczył mnie „Dyr”, kochany „Dyr”!

Obecnie ilość zajęć na studiach nie przekracza trzydziestu tygodniowo, a mimo to nie wszyscy je kończą. Poziom nauczania jest o wiele niższy, gdyż po zmianie systemu, na początku lat 90. zaczął się radosny okres reformowania wszystkiego, w tym także szkolnictwa. Wystarczy wspomnieć, że wycofano obowiązkowy egzamin z matematyki na maturze. Reformatorzy widać wiedzą, co zmienić w Polsce, tak żeby dostosować naszą młodzież do planów Unii.

Powróćmy jednak do moich studiów. Pierwszy semestr zaliczyłem. Pamiętam, że z fizyki dostałem czwórkę, matematyka poszła mi gorzej, ale dopuszczono mnie do drugiego semestru. Na koniec roku miałem natomiast trzy niezaliczenia, co oznaczało niedopuszczenie do sesji i skreślenie mnie z listy studentów. Byłem załamany – chociaż

wykonałem w terminie projekt z rysunku technicznego i oddałem go do oceny, przedmiotu mi nie zaliczono. Pocieszałem się tym, że nie muszę się męczyć i zdawać w czerwcu egzaminów. Nastąpiły bowiem wielkie upały i tak jak wilka do lasu mnie ciągnęło w rodzinne strony do kąpieli w augustowskich jeziorach i do spływów kajakowych.

Z moich marzeń o wyjeździe do domu jednak nic nie wyszło. A zawdzięczam to Józkowi i Johnemu. Oni też mieli po trzy niezaliczenia, a wszyscy mieliśmy jedno wspólne z matematyki. Johny był repeten-tem i miał większe doświadczenie, radził walczyć. Po wojennej naradzie postanowiliśmy jechać na Pragę do asystenta matematyki. Johny zdobył jego prywatny adres. Nieco przerażony zgodziłem się na ten pomysł, chociaż myślałem, czy można tak nachodzić ludzi pracujących na uczelni i próbować zmienić ich decyzję. Była to niedziela. Asystent, wielki dziwak, zgodził się zrobić nam dodatkowy sprawdzian. Natychmiast. I udało się! Zachęcony powodzeniem zdobyłem następnie adres asystenta rysunku technicznego. Zastałem go w domu. Okazało się, że nie ocenił mego projektu, ponieważ go nie dostał. Faktycznie, jak odnosiłem pracę w wymaganym terminie, czyli „za pięć dwunasta”, nie było go w pokoju i jego kolega położył mój zwinięty arkusz brystolu na szafę. Następnego dnia sprawa się wyjaśniła. I tak z trzech niezaliczonych przedmiotów pozostał jeden. Zostałem dopuszczony do sesji i musiałem w skwarze i upale wielkiego miasta kuć do egzaminów.

Po letniej sesji zacząłem myśleć o zmianie kierunku studiów; techniczne były zbyt trudne i wymagały za dużo pracy. Miałem porównanie z innymi kierunkami, bo spotykaliśmy się na zabawach z kolegami z innych uczelni. Już na początku sesji byli po wszystkich zaliczeniach i egzaminach, a my mieliśmy je dopiero przed sobą. I to jakie! Musieliśmy znać wiele wzorów matematycznych, rysunków i schematów urządzeń technicznych. Po prostu koszmarnie! Od studiów mechanicznych odstraszała mnie też praktyka wakacyjna po pierwszym roku. Odbyłem ją w Poznańskiej Fabryce Maszyn Żniwnych w odlewni żeliwa. Odlewnia, to był przedsiónek piekieł. Niesamowite zapylenie,

smród bijący z zapełnianych ciekłym żeliwem form odlewniczych i do tego piekielny hałas maszyn. To wszystko w lipcu, kiedy powinienem leżeć na plaży nad jeziorem Necko lub płynąć sobie kajakiem po Hańczy. To ja mam w takich strasznych warunkach pracować po studiach? – przecież to gorsze niż zesłanie na katorgę do kopalni złota, jak w przypadku mego dziadka.

Moim hobby była historia. Mama pewnie by się ucieszyła, gdybym podjął takie studia, ponieważ od dawna namawiała mnie na studia na KUL-u w Lublinie. Płaciła regularne składki upoważniające mnie do podjęcia studiów na tej uczelni. A może byłbym teraz jednym ze znanych polityków, bo jak łatwo zauważyć, czołowe funkcje w naszym kraju pełnią historycy. Czy to jednak dobrze być takim historykiem, który powinien stanąć przed sądem historii za byle jakie, pozbawione wizji, kierowanie tym pięknym krajem, jakim jest Polska? Może gdyby na czele rządu stali fachowcy, doświadczeni inżynierowie i ekonomiści, to nie rozprzedaliby kraju obcym monopolom?

Po drugim roku spędziliśmy ciekawe wakacje jako autostopowicze. Wybraliśmy się z Józkiem do Gdańska – tam kolega miał stryja. Bez żadnego doświadczenia podobnych podróży, nie zabraliśmy nawet koców. Wieczór zastał nas jeszcze na Mazowszu, gdzieś w okolicach Mławy. Wieczorem na autostop nie ma co liczyć, szukaliśmy więc noclegu. Żaden hotel nie wchodził, rzecz jasna, w rachubę. Byliśmy praktycznie bez pieniędzy. Po drodze dołączył do nas jakiś bardziej rozgarnięty i poradził, żeby przespać się w szkole, która przecież w wakacje stoi pusta. Pomysł był dobry. Nie będę opisywać, jakim cudem znaleźliśmy się w izbie szkolnej. Zalegliśmy na twardej podłodze i usiłowaliśmy zasnąć, lecz wkrótce myszy czy szczury, harujące swobodnie po swoim terytorium, przegoniły nas piętro wyżej, na ławki. Tutaj też nie pospaliśmy długo z powodu zimna. Nasz towarzysz podróży doradził tym razem, byśmy przykryli się papierami, do czego wykorzystaliśmy jakieś plansze i plakaty. Zsuwały się z nas po każdym ruchu, czyli praktycznie co chwilę. Pierwsza noc składała się jedynie

z krótkich drzemek i już skoro świt wyszliśmy z gościnnej szkoły. Taką samą drogą, jaką weszliśmy – przez okno. Następny nocleg wypadł w Grudziądzu na bocznicę stacji kolejowej w jakimś wagonie po zbożu. Dodatkową atrakcją, w odróżnieniu od poprzedniego, były ziarna na podłodze. Pojedyncze! Znana wszystkim z bajki Andersena księżniczka nie mogła spać na ziarnku grochu znajdującym się pod materacem, a tu bez materaca... Chyba spałaby na stojąco. Trzeciego dnia dotarliśmy wreszcie do Gdańska i u stryja odsypialiśmy minione noce już w wygodnych łózkach. Ach, jakie to było szczęście! Jak już doszliśmy do siebie, zwiedziliśmy Starówkę. No może nie całą, interesowała nas zwłaszcza piwiarnia znajdująca się w piwnicach pod ratuszem. W porównaniu z niesamowitym upałem, jakie panował w pobliżu posągu Neptuna, w piwiarni siedzieliśmy sobie wygodnie na beczkach po piwie i popijaliśmy chłodne piwko. Średniowieczne sklepiania i wyborny trunek napawały nas niebywałym szczęściem. Zapamiętałem ten nastrój i to miejsce, i kilkanaście lat później odwiedziłem je ponownie, będąc opiekunem grupki węgierskich studentów, którzy też szukali ochłody i piwa. Ale nie było już tam ani piwiarni, ani piwa – zresztą, jak w całym Gdańsku. I komu to przeszkadzało?

Z Gdańska pojechałem już samotnie do Krynicy Morskiej, gdzie mój kolega Staszek Osowski z Augustowa prowadził jako wychowawca obóz młodzieżowy. Bardzo chciałem wykąpać się w prawdziwym morzu. Widziałem je pierwszy raz w życiu. Jakie wspaniałe fale, o takich próżno było marzyć w Augustowie! Na kąpielisku powiewała czarna flaga, bo było akurat po sztormie. Minąłem strzeżony przez ratowników teren i spróbowałem kąpiele. Mimo ostrzeżeń Staszka skoczyłem w morze. Wrażenie było szokujące, lecz wspaniałe. Szybko oswoiłem się z żywiołem i popłynąłem, podobnie jak w Augustowie, aby dalej od brzegu. Płynęło mi się świetnie, bardzo lekko. Kiedy czas było już wracać ku brzegowi, Staszek pobiegł w kierunku strzeżonej plaży. Zauważyłem, że wcale nie zbliżam się do brzegu, lecz się jeszcze bardziej oddalam. Poczuję niepokój, przyspieszyłem więc tempo, włączając

kraula. Kurcze, jakoś nie widać postępów. Ogarnął mnie niepokój. Ale i złość. Co? Ja, augustowianin, mam się poddać morzu? I to w wieku dziewiętnastu lat? Byłem wtedy we wspaniałej formie. Ogarnęła mnie sportowa złość. I poszedłem na maksa. To dało rezultat, zacząłem się stopniowo zbliżać do brzegu. „Dobrze jest” – myślałem z nadzieją. „Trzeba tylko utrzymać tempo”.

Dopłynąłem o własnych siłach do brzegu. Łódź ratownicza, srowadzona przez Staszka, okazała się zbyt ciężka. Odtąd jednak bardzo szanuję morze, po którym hulają niekiedy bardzo silne prądy, zależne od konfiguracji brzegu i dna oraz od kierunku wiatru.

Po odpoczynku nad morzem wyszliśmy z Józkiem na rogatki Gdańska. Machnęliśmy książeczkami autostopowymi i zatrzymała się Nyska.

– Jadę do Katowic – poinformował nas uprzejmie młody, sympatyczny kierowca. Pasuje wam?

Pasowało, w Katowicach jeszcze nie byliśmy.

To był nasz rekord dziennego przebiegu. Podróż upłynęła szybko. Kierowca okazał się świetnym kompanem do rozmowy. Wieczorem, właściwie nie wiadomo dlaczego, wylądowaliśmy na zatłoczonym dworcu kolejowym. Staliśmy, przypatrując się wszystkiemu z ciekawością. Podróż pociągiem do Warszawy nie wchodziła oczywiście w rachubę. W pewnym momencie zbliżył się do nas jakiś autentyczny briadiaga. Coś w rodzaju stracha na wróble. Musiał mieć chyba około sześćdziesięciu lat. Dla nas to była przepaść pokoleniowa.

– Cześć koledzy – powiedział promiennie. – Dokąd się wybieracie?

Był na zupełnym luzie. W ręku trzymał coś w rodzaju laski, a raczej kostura, o który oparł niedbałym ruchem jedną z dolnych kończyn.

Przypomniała mi się w tym momencie znana odzywka:

– Dokąd pan idzie? Bo ja w przeciwną.

I jakoś się uwolniliśmy od włóczęgi. Wtedy jeszcze nie czułem bluesa do rozmów z takimi dziwakami.

To spotkanie przepędziło nas z dworca. Co było błędem. Znaleźliśmy się w całkowitych ciemnościach na szosie prowadzącej do

Warszawy. Oczywiście, żaden samochód się nie zatrzymał, wlekleśmy się więc skrajem drogi ładnych parę godzin. Już widniało, gdy zauważyliśmy przy drodze duże kręgi betonowe.

– Józek, to są doskonałe hamaki do spania – zauważyłem.

Zgodził się bez oporu. Ułożyliśmy się w tych „hamakach” do snu. Pozytywną stroną było to, że pozwoliliśmy nieco odpocząć naszym zmęczonym długą wędrówką nogom. Byliśmy już uzbrojeni w gazety, które dawały sporą izolację. Cementowe kręgi wyciągały z nas jednak sporo ciepła. No i były pioruńsko twarde. Jakoś dotrwaliśmy do wczesnego świtu, i potem bez żadnych przeszkód, złapaliśmy okazję w kierunku północnym. Część kierowców brała nas chętnie. Akcja autostopu dopiero się rozwijała, była bodajże promowana przez nowe pismo „Dokoła świata”, które było jakimś uchylonym łufcikiem, bo przecież w tym systemie nie oknem na normalność. Kierowcy pobierali od nas kupony ze specjalnych książeczek autostopowych. Pismo obiecywało dla najbardziej życzliwych kierowców nagrody. Pod Piotrkowem Trybunalskim złapaliśmy stara pod plandeką, jadącego do Warszawy. To było istotne, bo padał deszcz.

– Kocham Warszawę – pomyślałem, gdy wjechaliśmy Grójecką na plac Narutowicza.

Znów byliśmy u siebie. Olbrzymi gmach akademika był dla nas jak matka przytulająca swoje błądzące dzieci. Nawet teraz, kiedy osiągnąłem już wiek dojrzały, bardziej zaawansowany niż briadiaga z dworca w Katowicach, z rozrzewnieniem spoglądam na olbrzymiego orła na ostatnim piętrze akademika. To był mój dom.

A więc wysiedliśmy na placu i skierowaliśmy się do domu, ale od tyłu, od ulicy Mochnackiego 12. Tam jeszcze musieli być nasi koledzy z Augustowa. Mieli praktyki studenckie w Warszawie. Portiernie omińliśmy gładko, wchodząc po prostu przez jakieś otwarte okno na parterze. Nie potrzeba było zbyt dużo mówić lokatorom, swoi rozpoznawali swoich. Tym razem byli jednak trochę zmieszani. Wytłumaczyliśmy sympatycznym kolegom, udostępniającym swój pokój jako

przejście, że jesteśmy autostopem. To im wystarczyło. Zaraz podprowadzili nas do lustra. Mieliśmy mocno szare twarze od drobinek błota. Przypominaliśmy bradiagów, ale z Afryki. Coś nas z nimi łączyło.

Dzięki tym wakacyjnym przejściom widok włóczęgi nie budzi we mnie uczucia odrazy. Zawsze dają bezdomnym parę złotych, bo fortuna kołem się toczy.

Kiedyś jako autostopowicz miałem dziwny wypadek. Wraciałem z Mazur, a ścisłej z Giżycka do Augustowa, i gdzieś za Orzyszem znalazłem się na szosie, już wieczorem. Zupełna pustka, a poza tym żaden dbający o bezpieczeństwo kierowca nie zatrzyma się na drodze. Postanowiłem dotrzeć na piechotę do Ełku, to niecałe 30 kilometrów. Nad ranem byłbym na miejscu i mógłbym odpocząć na dworcu przy herbacie. Nocleg przy drodze nie wchodził w grę, nie miałem po prostu ani namiotu, ani śpiwora. Niespodziewanie nadjechał jakiś samochód, i o dziwo, zatrzymał się. Był to wojskowy gazik, z którego wychylił się komandos w charakterystycznym czerwonym berecie z trzema gwiazdkami:

– Dokąd? – zapytał uprzejmie.

– Do Augustowa – odpowiedziałem mile zdziwiony.

– Wskakuj – kiwnął głową porucznik. – Podwieziemy Cię kilkanaście kilometrów.

Wieżli mnie dwaj komandosi z pobliskiego ośrodka szkoleniowego. Przypomniałem sobie, że w tej jednostce służy Zdzisiek, mój przyjaciel z ulicy.

– Znacie Zdziśka Korzeniowskiego z Augustowa?

Gazik raptownie zatańczył po szosie, bo kierowca stracił chwilowo panowanie nad kierownicą. Po chwili obrócił w moim kierunku gwałtownie głowę, następnie spojrzął na oficera.

– Spokój! – upomniął go porucznik.

Wymienili ze sobą parę zdawkowych słów, po chwili minęli drogę prowadzącą do ich bazy.

– Odwieziemy Cię do Ełku, zdążysz jeszcze złapać PKS do domu – wyjaśnił porucznik.

Ich zachowanie wzbudziło we mnie uzasadnione podejrzenie, że coś złego stało się ze Zdzisiem. Rzeczywiście, po powrocie do domu mama powitała mnie następująco:

– Twój przyjaciel Zdzisiek zginął wczoraj w wypadku na poligonie pod Orzyszem.

Okazało się, że Zdzisiek zgłosił się na ochotnika, żeby zbadać nie-wybuch pocisku mózdzierzowego. Było tak, jak przepowiedział w jednym ze swoich listów z wojska. „Jeżeli mam zginąć, to polecę prosto z kapturami do nieba” – napisał.

Wracam myślami do czasów studiów. Nie chcę pisać o sprawach formalnych. Tylko tak pokrótce – studia w terminie skończyły tylko cztery osoby. Ale nie można im zazdrościć, lecz raczej należy im współczuć. Ci biedni ludzie nie byli nigdy w kinie, teatrze, na kabarecie, nie mówiąc już o innych rozrywkach. I jacy z nich mogli być inżynierowie, skoro z pewnością nie potrafili odnaleźć się w towarzystwie kobiet, wypić kielicha i porozmawiać na luzie ze współpracownikami. Na pewno mieli później ciężko zarówno w życiu osobistym, jak i zawodowym.

A my studiowaliśmy, czerpiąc życie pełnymi garściami. Co wiązało się oczywiście i ze stratami. Skończyłem studia po siedmiu latach, ale to była jeszcze norma. Większość kolegów odpadła, kilku poszło na inne uczelnie, na których wkrótce zostali prymusami. Moi koledzy z Augustowa – Staszek i Jeż dostali się rok po zdaniu matury na wydział mechaniczny, którego siedziba znajdowała się w gmachu głównym Politechniki. Staszek wyleciał pierwszy i wzięli go później do woja, miał szczęście, został pisarzem jednostki w Pyrach, był więc u mnie częstym gościem. Podobnie Jeż, wyleciał chyba po drugim roku i poszedł na SGGW na technologię drewna. Studia ukończył jako prymus. Józek dotrwał do trzeciego roku, potem wyjechał do Wrocławia, gdzie podjął pracę i studia wieczorowe. Johnny też nie dotrwał do końca nauki, poszedł do pracy.

Podczas drugiego roku studiów mieszkaliśmy razem, we trójkę, w akademiku przy ulicy Mochnackiego 8, w kompleksie na tyłach placu

Narutowicza. Żyliśmy na *full*. Prócz rozrywek, o których wspomniałem, wzięliśmy się ostro za kulturystykę, bardzo wówczas w Polsce modną. Kupiliśmy hantle, sprężyny, przytargaliśmy duży kamień z Pola Mokotowskiego, zamontowaliśmy w pokoju drążek. Ćwiczyliśmy codziennie, niekiedy po kilka godzin. Ja lubiłem zwłaszcza ćwiczenia z hantlami według metody G. Sandowa. Po regularnym uprawianiu kulturystyki przybyło mi kilkanaście centymetrów w obwodzie klatki piersiowej i po ładnych parę centymetrów w bicepsach. Wprawialiśmy się też w rzucaniu nożem do celu i w boksie. Owijaliśmy dłonie ręknicami i rozgrywaliśmy z Johnym jedenastorundowe walki, zupełnie jak w boksie zawodowym. To doświadczenie przydało się kilka razy, bo czasy były wesołe i o przygodę nie było trudno, zwłaszcza, jak się wracało do domu późnym wieczorem. Istniał bowiem antagonizm między młodzieżą z miasta i studentami z akademików. Należałem do grupy samoobrony i czasami trzeba było zbiegać na wezwanie z radiowęzła z pokojów na dół, na ogół w soboty lub niedziele podczas wieczorków tanecznych. Kiedyś wieczorem wybiegłem w kapciach i koszuli. Dotarliśmy w pościgu aż do Dworca Zachodniego. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że to był luty. Mrozu wprawdzie nie było, ale upału też sobie nie przypominam. Podczas pamiętnej eskapady na dworzec kilku z naszej grupy pościgowej zostało porwanych przez... milicję. Złośliwi mówili, że braćmi tych milicjantów byli chuliganie z Ochoty. O mały włos nie doszło do szturmowania komisariatu MO. Jak wiadomo, po pamiętnym pałowaniu i gazowaniu związanym z zamknięciem „Po prostu”, nasze relacje z MO nie były zbyt dobre.

Często zdarzały się spontaniczne „kontrole dokumentów”, tylko mogły być przeprowadzane przez studentów lub przez młodzież z miasta. Nigdy nie było wiadomo, czy kontrola nie jest zmyłką. Raz zostaliśmy wylegitymowani wieczorem przez milicję. Wracaliśmy po 22. z kina „Palladium”. Byliśmy wszyscy czterej z Augustowa, zachowywaliśmy się dość swobodnie, śmialiśmy się i żartowaliśmy. Z radiowozu wyskoczyło dwóch mundurowych:

– Dokumenty!

Posadzili Józka i Jeża w radiowozie.

– O, studenci!

– No to co, że studenci – odezwał się honorowy jak zwykle Jeż.

Niepotrzebnie tak się uniósł, bo milicjanci zaczęli szukać dziury w całym. Józek milczał i dawał mi jakieś znaki, przysunąłem się więc blisko niego do radiowozu, a Staszek zaczął rozmawiać z niebieskimi dyplomatycznie. W tym czasie Józek wręczył mi ukradkiem pistolet na naboje gazowe, który nosił w specjalnym skórzanym futerale wykonanym własnoręcznie. Na te pistolety chyba nie trzeba było posiadać pozwolenia, ale licho nie śpi. Nie wiadomo, co może stróżom porządku wpaść do głowy, chociaż Staszewi pertraktacje szły całkiem niezłe. Jak już schowałem pistolet, nabrałem animuszu.

– Panowie, wy tu z nami marnujecie czas, a tam może prawdziwi chuligani gwałcą jakąś kobietę – rzuciłem odkrywczco.

– No to wysiadać barany.

Na to honorowy Jeż:

– Barany? Jeszcze nam rogi nie urosły – wykrzyknął, wysiadając.

Tym razem przesadził. Jeden z szeryfów złapał go za kark i wychając do wozu krzyknął:

– Jazda, do izby wytrzeźwień!

To honorowe zachowanie kolegi kosztowało go prawie dwieście pięćdziesiąt złotych, co stanowiło połowę stypendium. Józek miał rację, że mi przekazał straszaka, bo pewnie by go stracił. Miał jednak problemy z wytłumaczeniem glinom, po co mu skórzana pochwa do pistoletu.

Można tu przytoczyć jeszcze inną historię z udziałem naszego kolegi Józka Radziwiłko. Józek przybył do naszego liceum gdzieś około 1956 roku, jako repatriant z ZSRR, chyba z terenu Łotwy. Był zbudowany jak Herkules, dodatkowo szła za nim fama, że był mistrzem Łotwy juniorów w boksie. Studiował prawo i mieszkał na Pradze w akademiku przy ulicy Kickiego. Zajął się kulturystyką, właściwie nie wiadomo

po co, bo był fantastycznie zbudowany. Miał kolegę podobnej postury, ćwiczyli razem, a wywiady z nimi i imponujące fotosy ich obnażonych torsów ukazywały się w popularnym piśmie o kulturystyce. Na nieszczęście, tego pisma nie czytali chłopcy z Pragi, i pewnego razu na zabawie doszło do konfrontacji. Jak zwykle poszło o kobietę. Młodzi z Pragi przybyli na zabawę studencką w większej grupie i poczynali sobie zupełnie bezkarnie. Kiedy jeden z nich próbował odebrać Józkowi w tańcu dziewczynę, ten dobro-



Autor jako belwederczyk w „Nocy Listopadowej”

duszny i bezkonfliktowy facet z kresów – odepchnął go. I się zaczęło. Otoczyła go grupa napastników, a wtedy do pomocy Józkowi skoczył drugi kolega kulturysta. Stanęli do siebie plecami i odpierali ataki, które kończyły się dla atakujących fatalnie. W pewnym momencie część agresorów wbiegła na piętro, skąd zrzuciła stół na głowy naszych dwóch broniących się kolegów. Obaj upadli, ale po chwili otrząsnęli się z oszołomienia. Wtedy Józek wpadł w szal i poszedł na całość. Chłopcy zaczęli uciekać, ale Józek gonił ich aż do ulicy Grochowskiej i każdego, którego dopadł, nokautował. Tak wielka zadyma nie mogła ująć uwadze milicji i odbyło się wielkie przesłuchanie. Milicja koniecznie chciała znaleźć kastet, którego rzekomo używał Józek, ale gdy obejrzeli jego ręce, zrozumieli, dlaczego było tylu poturbowanych.

Drugi rok postanowiliśmy skończyć na raty, szybko bowiem zrozumieliśmy, że ten morderczy reżym studiów nie jest dla normalnych ludzi. Nie mieliśmy wtedy odpowiednich podręczników, dlatego trzeba było uczestniczyć we wszystkich wykładach, aby potem zdać egzaminy. Rozpisaliśmy sobie dyżury – który z nas będzie chodził na dane wykłady i robiliśmy z nich notatki. Stypendium dostawało się tylko za terminowe zaliczanie sesji, a starczało ono jedynie na opłacenie akademika i na wyżywienie w stołówce studenckiej – nędzne i parę lat później zaczęły się strajki z tego powodu. „Za co żyć?” (panie premierze).

Kiedy straciło się stypendium, praca stawała się koniecznością. Podejmowaliśmy się prac dorywczych w spółdzielni studenckiej „Maniuś” i w innych miejscach. W 1960 roku byłem statystą w Teatrze Polskim w sztuce „Noc listopadowa” Wyspiańskiego. Miałem tam dwie role: cywilną – belwederczyka oraz żołnierza pułku czwartaków, musiałem więc kilka razy się przebierać. Oczywiście grałem, nie otwierając ust, z wyjątkiem okrzyku: „Hura” podczas sceny ataku na bagnety. Ten atak to była najbardziej oklaskiwana scena, należało efektownie padać, symulując postrzał lub śmiertelne zranienie, co dawało mi pole do popisów. Reżyserem był słynny Kazimierz Dejmek, który traktował znanych aktorów i scenografa Stopkę bardzo swobodnie. Tytu przekleństw nie słyszałem w życiu, chociaż mój tata też był w tym dobry. W scenie podczas dialogu muz w Łazienkach stałem na pierwszym planie – obok młodziutkiej i ślicznej Elżbiety Starosteckiej czy też Hanny Stankówny, zamiast jakiegoś studenta ze szkoły teatralnej, który nie sprawdził się w roli mimicznej.

– Spierdaj – krzyknął w pewnym momencie znany reżyser do przyszłego aktora.

– Ty, blondyn – skinął na mnie. – Stań na jego miejscu.

Po pół roku zrezygnowałem, bo trzeba było dwa lub trzy razy w tygodniu zarywać wieczory, a życie wymagało większej swobody. Z powodu długich włosów, a takich wymagała rola belwederczyka,



Plaża nad Wisłą. Autor – pierwszy z lewej

miałem wtedy spore kłopoty podczas zajęć Studium Wojskowego. Musiałem dostarczyć komendantowi Studium – pułkownikowi Nausbaunowi odpowiednie zaświadczenie z teatru. Dowódca mojej kompanii, kapitan Napora (o którym jeszcze opowiem), zamykał mnie przezornie w pakamerze podczas apelu porannego. Wtedy wszyscy stali karnie w dwuszeregu i odbierali lustracje pułkownika, który lubił sprawdzać, czy wygląd studentów, odzianych w jednakowe zielonkawe kombinezony imitujące mundury i czapki rogatywki, odpowiada jego wyobrażeniom o wojsku. Z miny pułkownika można było odczytać, jak bardzo odpowiadaliśmy na jego ideał żołnierza. Zewnętrznym objawem niezadowolenia było przyczepianie się do drobiazgów: za długie włosy lub nieoczyszczone buty. Najbardziej go denerwowało, kiedy po jego okrzyku: „Czołem wojsko!”, odpowiadaliśmy nierówno: „Czołem telu wniku”, co miało oznaczać: „Czołem obywatelu pułkowniku”. Zresztą wyraz „telu” zamienialiśmy na „teo” i okrzyk

brzmiał: „Czołem teownik”, co bardziej odpowiadało kierunkowi naszych studiów.

Studium Wojskowe odbywało się przy ulicy Koszykowej. Dojeżdżaliśmy tam tramwajem na godzinę ósmą, w strasznym tłoku. Jak już wspominałem na głowach nosiliśmy rogatywki. Ta rogatywka uratowała mi kiedyś życie. Tramwaj był niesamowicie zapchany, w kierunku Politechniki i Studium jechała masa studentów. Jakoś udało mi się zaczepić na tylnym pomoście. Poprawiłem rogatywkę, ale wtedy tramwaj nabrał szybkości, i nagle poczułem potworne uderzenie w głowę. W oczach mi pociemniało. Myślałem, że za chwilę stracę przytomność; to oznaczałoby katastrofę. Zaciśnąłem zęby i resztką sił dotrzymałem do przystanku przy Filtrowej. Dałem jakoś radę wysiąść samodzielnie. Zastanawiałem się wciąż, co było przyczyną tego zdarzenia. Może jakiś milicjant dzielił mnie pałką za nieprawidłową jazdę? A może przyczyną był słup trakcyjny – byłem za bardzo wychylony i mogłem walnąć o niego głową. Na chwiejnych nogach ruszyłem pieszo do celu. Miałem wrażenie, że rogatywka stała się dla mnie za ciasna. Zdjąłem ją i dotknąłem głowy – miałem potężnego guza. Gdyby nie gruby materiał amortyzujący uderzenie, z którego zrobiona była czapka wojskowa, prawdopodobnie byłoby po mnie.

Szczęście nie opuściło mnie także przy następnym podobnym zdarzeniu. Wracając z zajęć i goniąc kolegów, przebiegałem przez jezdnię na Rakowieckiej, która była wtedy dwukierunkowa. Wybiegałem akurat zza stojącego samochodu ciężarowego, nie widziałem zatem jezdni, a tu akurat z przeciwnej strony nadjeżdżała z pełną szybkością Skoda. Wpadłbym na zderzak, lecz w ostatniej chwili udało mi się przeskoczyć przez samochód. Odbiłem się prawą ręką od maski samochodu. Prerażony kierowca nacisnął na hamulce i zatrzymał się z piśkiem opon parę metrów dalej. Przeprosiłem go. Okazało się, że jest ambasadorem Czechosłowacji. Pobiegnąłem dalej. Już wcześniej opracowałem sobie pewien wariant manewru w upadku pod koła samochodu. Gdybym trafił na samochód ciężarowy, przypląciłbym nawet życiem za moją lekkomyślność.

W tym czasie cała nasza trójka, czyli Johny, Józek i ja, dostała dobrą fuchę – urządzaliśmy duży ogród. Naszym obowiązkiem było posprzą-tanie terenu i ułożenie chodników w nowo wybudowanym budynku przy Polnej 3. Przez kilka następnych lat wpadałem tam co jakiś czas, aby sprawdzić jakość. Zwykle z zadowolenia wypijałem kufel piwa w pobliskim „Supersamie” przy placu Unii Lubelskiej.

Pod koniec sierpnia wyjechaliśmy w trójkę pod Szczecin – w oko-lice Goleniowa – testować pracę kombajnów i suszarni do trawy. Była to w pewnym sensie już praca badawcza, prowadzona przez Instytut Doświadczalny Mechanizacji Rolnictwa w Kłudzienku. Naszym zada-niem było notowanie wyników suszenia poszczególnych partii ścię-tej trawy: temperatury, czasu, wilgotności, wagi oraz opracowywanie sprawozdań i przygotowywanie odpowiednich wykresów.

Pewnego wieczoru kończącego badania, po kilku tygodniach pracy, postanowiliśmy to uczcić. Poszliśmy do knajpy. Grała orkiestra. Ubrani w kufajki i gumiaci wyglądaliśmy razem z prowadzącą nas ka-drą jak robotnicy z pobliskiego PGR-u. Konflikt z miejscowymi był nie-unikniony. Kiedy zaczęło robić się gorąco, po wypiciu kilku wódek, postanowiłem rozładować napięcie w inny sposób. Poprosiłem or-kiestrę o akordeon. Zagrałem parę takich melodii, do których można śpiewać. Zapanowała atmosfera wzajemnej życzliwości, dzięki czemu spokojnie wróciliśmy do bazy.

Przez ten wyjazd straciłem kontakt z dziewczyną, w której zako-chałem się na zabój. Basia była uczennicą pomaturalnej szkoły pie-lęgniarskiej przy ulicy Nowogrodzkiej. Ponieważ szkoła znajdowała się w odległości zaledwie kilkunastu minut od pl. Narutowicza, przy-szłe pielęgniarki przychodziły do nas tłumnie na tańce. Na początku stycznia 1960 roku podczas jednej z potańcówek moje oko zauważyło śliczną niebieskooką szatynkę o nieskazitelnej figurze. Akurat zagrano przepiękną melodię „Only You”. Podszedłem, poprosiłem ją do tańca i tak się to zaczęło. Po kilku spotkaniach zakochałem się tak, jak może kochać dwudziestoletni chłopak. Nie było łatwo – Basia była trudną

partnerką, a ja nie miałem zbytnej wprawy w uwodzeniu dziewczyn. Zdarzały się między nami różne konflikty. Na przykład nie pasowaliśmy do siebie na parkiecie, gdyż Basia nie była najlepszą tancerką. Kiedy zaprosiłem ją do akademika, żeby zaimponować grą na akordeonie, miała początkowo opory, ponieważ kiedyś jakiś student gwałtownik chciał jej odebrać cnotę. W końcu przyszła, razem z koleżanką, sympatyczną Halą, którą natychmiast zapoznałem z Józkiem. Aby atmosfera tego spotkania nie była bardzo sztywna, kupiłem wino Samos, znakomite słodkie wino greckie o niezwykłym bukacie i wspaniałym smaku, drogie jak na studencką kieszeń, ale czego się nie robi dla dziewczyny, którą się kocha. Basia usztywniła się na widok wina, widocznie miała niedobre skojarzenia, ale poprosiłem ją, żeby tylko umoczyła usta. Uległa namowom i po grzecznościowym umoczeniu ust zaraz odstawiła kieliszek. Bukiet smakowy wina zrobił jednak swoje. Tej sceny nigdy nie zapomnę, swoistego dwutaktu: niechętnie umoczenie ust – próba odstawienia kieliszka i ponowne przyłgnięcie ustami do niebiańskiego trunku. Kochane Samos! Gdy się już rozluźniła, chętnie przystała na zrobienie zdjęcia, jak gram na akordeonie w jej towarzystwie. Zagrałem parę melodii, ale akordeon w moim wykonaniu wymaga specyficznego nastroju, dlatego nie zrobiłem na niej zbytowego wrażenia. Pod koniec koncertu Basia, wydymając wargi, powiedziała:

– Wiesz Jurku, ja właściwie wolę gitarę.

I tak zostałem gitarzystą, ale w późniejszych latach.

Kiedyś umówiłem się z Basią pod bramą szkoły. Dostrzegłem ją przytuloną do przystojnego młodziana. Powodowany nagłym impulsem wyrzuciłem kwiaty za mur okalający szkołę i wróciłem do akademika. Później się okazało, że tym przystojniakiem był jej brat.

Ponieważ nasza znajomość rwała się raz po raz, jej najbliższa koleżanka Hala pełniła rolę pośrednika i rozjemcy. Ale nasza miłość była widocznie skazana na straty. Jak już wspomniałem, pod koniec sierpnia wyjechałem na chałturę pod Szczecin. Praca kończyła się w sobotę, akurat w dniu, w którym odbywał się bal kończący rok szkolny.

Nie mogłem być na nim obecny. Podobno Basia była samotna i bardzo smutna. Wiedziała o moim wyjeździe. Gdyby wtedy powiedziała choć słówko, pewnie przyleciałbym do niej jak na skrzydłach. Znałem termin balu, ale czekałem na zaproszenie od Basi albo chociaż na jakiś komunikat. Duma, duma – obok braku doświadczenia życiowego jest największym wrogiem zakochanych. W przypadku bardzo ładnych dziewczyn dochodzi do tego jeszcze trema proporcjonalna do urody partnerki. A Baśka została wybrana na „Miss Piękności w Szkole” – spośród kilkudziesięciu pięknych kobiet.

7. Nasi profesorowie

CHCIAŁBYM PRZEJŚĆ DO WESELSZEGO TEMATU, DLATEGO OPOWIEM TROCHĘ O NASZYCH WYKŁADOWCACH I PROFESORACH. Mieliśmy znakomitą i doświadczoną zawodowo kadrę inżynierów pracujących w przemyśle, w większości jeszcze przed wojną. Ba, przed wojną, ale którą? Byli i tacy, co pracowali jako inżynierowie w różnych stronach świata jeszcze przed pierwszą wojną, np. prof. Ludwik Uzarów, zwany Tygrysem. Czasami wspominał, że budował „łódki podwodne w Pitrze” (Petersburg) jeszcze za cara, przed rewolucją październikową. Miałem zaszczyt chodzić na jego wykłady z obrabiarek. Sam egzamin przypominał czasem loterię, ponieważ stary profesor był bardzo wybuchowy. Podobno własnego syna wyrzucił z egzaminu i nazwał go osłem. Na to syn odpowiedział:

– To rodzinne, panie profesorze!

Innym razem, podczas upału, jeden ze studentów przyszedł na egzamin w krótkich spodenkach i sportowej koszulce. Profesor na chwilę przeprosił nieszczęśnika i za chwilę pojawił się w stroju do gry w tenisa. Widząc zdumienie, zapytał:

– A gdzie Pan ma raketę?

I dodał:

– Bo myślałem, że Pan proponuje mi tenisa.

Kiedys zapytał znieca studenta:

– Proszę mi wymieniĆ wina, jakie Pan pija.

– Panie profesorze, ja piję tylko wódkę – odpowiedział skonfundowany student.

– Ale ja nie lubię wódkii! – wrzasnął profesor.

Jaka szkodna, że nie trafił na mnie z tym pytaniem. Bo wino było jednym z moich ulubionych trunków. Wszystkiemu była winna lektura rozmaitych powieści historycznych. Podobno szlachta uważała picie wody za niegodne ich statusu, wszak wodę piło bydło. Ja uważałem wino za napój bogów i po kilku próbach zbierania doświadczeń w szkole średniej i na studiach nie zrezygnowałem ze swojego zainteresowania tym szlachetnym napojem. Jeśli tylko kieszeń mi pozwalała, uparcie poszukiwałem potwierdzenia boskości tego trunku. I powoli, powoli zacząłem łapać wiatr w żagle – odróżniałem smaki i gatunki. Za Gomułki win gronowych było po prostu zatrzęsienie, metodycznie kupowałem więc wszystkie nieznanne mi nowe produkty. Odkryłem przy okazji sympatyczną winiarnię w podziemiach kawiarni „Niespodzianka” przy placu Konstytucji, gdzie wino sprzedawano na lampki z niewielka marżą.

Moje zainteresowania dotyczyły win słodkich, nie lubiłem win wytrawnych, do czasu. Z winiarnią „Niespodzianka” wiąże się pewna przygoda, która mogła skończyć się dla mnie niemile. Po otrzymaniu zapłaty (wysokiej!) za prace prowadzone przy Polnej 3 poszliśmy we trzech – Józek, Johnny i ja do „Niespodzianki” oblać to wydarzenie. Za-prosiłem również moją ukochaną Basię oraz Halę. Zamówiliśmy parę butelek i rozpoczęliśmy konsumpcję. Ponieważ dziewczyny się spóźniały, z nudów zaczęliśmy uczyć się trudnych nazw win pochodzących z terenu Sojuza. Były to wina czerwone: gruzińska Anaga i kaukaskie portweiny Ałabasły i Ałagasły. Prawda, że oba podobne w nazwie? Stale nam się te nazwy myliły. Dziewczyny nie przyszły, rozpoczęliśmy smakowanie. Szło nam niezłe – to może nawet za słabo powiedziane. Wina były mocne (18%) i szybko uderzały do głowy. Dla zabawy

skandowaliśmy coraz głośniej trudne do odróżnienia w wymowie nazwy win. Wesoła atmosfera udzieliła się wszystkim gościom winiarni. To była woda na mój młyn! W pewnym momencie krzyknąłem:

– Precz z Gomułką!

– Precz – odpowiedziała rozgrzana winiarnia.

– Niech żyje totalizm! – kontynuowałem, włączając na stół.

– Niech żyje! – odpowiedzieli gromko miłośnicy wina.

Zaintonowałem jakąś buntowniczą, rewolucyjną melodię, nie pamiętam już jaką, ale okazała się trafiona. W trakcie tej wspaniałej zabawy podeszła do mnie znajoma kelnerka:

– Uciekajcie, jedzie milicja!

Mimo wypitej pokażnej ilości wina refleks nas nie opuścił. Gdy dostojnym krokiem wychodziliśmy z winiarni, z radiowozu wysypywały się znajome postacie utrwalaczy władzy ludowej. Przebiegły obok nas i polecały do piwnicy, którą właśnie przed chwilą opuściliśmy.

Wracając jednak myśląc do naszych kochanych profesorów, to warto jeszcze opisać paru z nich.

Profesor Klembowski wykładał u nas wytrzymałość materiałów. Piszę u nas, bo zaczęliśmy studia na Wydziale Maszyn i Urządzeń Rolniczych (w skrócie MUR) przy ulicy Rakowieckiej, w budynku Instytutu Mechanizacji i Elektryfikacji Rolnictwa, zwanym w skrócie IMER. Później ten wydział połączył się z Wydziałem Samochodów przy ul. Narbutta 84 i powstał Wydział SiMR, czyli Samochodów i Maszyn Roboczych. Na wydziałach mechanicznych studiowali przeważnie mężczyźni, dziewczyn było niewiele, dlatego na egzaminach zawsze miały pierwszeństwo.

– Czy pani woli piątkę czy czwórkę? – pytał na wstępie. I w zależności od życzenia wstawiał jej taką ocenę bez egzaminowania. Po czym oddając indeks i całując na pożegnanie w rękę, odprowadzał uprzejmie do drzwi. A nam tak to tłumaczył:

– Panowie, po co dziewczyna idzie na studia mechaniczne? No po to, by znaleźć sobie męża. Potem urodzi dzieci i główne jej zajęcie

zawodowe będzie polegało na wychowywaniu dzieci i gotowaniu. Czemu mam więc taką studentkę jeszcze męczyć egzaminem z wytrzymałości materiałów?

Profesor Klembowski, przedwojenny absolwent zagranicznych, zachodnich uczelni, miał niezwykle wymagania dotyczące ubiorów. Uważał, że na egzamin należy stawiać się we fraku. Studenci wypożyczyli więc te stroje z teatrów warszawskich i na korytarzu przed ustnym egzaminem przebierali się kolejno we frak. Raz się zdarzyło, że jakiś wyrośnięty student próbował włożyć frak przynajmniej o jeden rozmiar za mały. Wbił się w górną część, a wtedy frak trzasnął mu na plecach na całej długości. Podczas egzaminu profesor to zauważył i zapytał o przyczynę. Student wykazał się refleksem, tłumacząc stan odzieży tłokiem w trolejbusie.

Na szczęście takie szczególne wymogi dotyczące stroju nas, młodszych roczników, już nie dotyczyły – wystarczył zwykły garnitur, biała koszula, krawat i głowa na karku. Ale lekko nie było.

Warto odnotować pewien akcent polityczny na wykładach z ekonomii politycznej. Studenci z mojego rocznika zbojkotowali te wykłady i nikt na nie nie chodził mimo apeli władz wydziału. Wtedy profesor ogłosił, że zniszczy ten wydział. Na to studenci odpowiedzieli powiedzeniem: głową muru nie przebijesz (mur powstał, jak wiadomo, od skrótu MUR). I co? Skończyłem studia i do tej pory nie mam zdanego egzaminu z ekonomii.

Dziekanem naszego wydziału był profesor Kanafojski, wybitny, przedwojenny – chyba lwowski – specjalista od maszyn rolniczych. Pamiętam, jak jeszcze na pierwszym roku mieliśmy jakiś problem zaliczeniami i delegacja z moim udziałem udała się do dziekana z pilną prośbą. W dziekanacie odbywała się właśnie wtedy narada z udziałem kilku dostojnych gości z zewnątrz, lecz profesor Kanafojski przebrał obrady i zakomunikował:

– Wybaczcie Panowie, ale ja muszę porozmawiać z naszą młodzieżą. To był gość!

Lwowskie korzenie miał też profesor Bartel od geometrii wykreślnej, brat byłego premiera Polski przed wojną. Brata zamordowali mu Niemcy po wkroczeniu do Lwowa. Na wykładach profesor stale miał do pomocy co najmniej jednego z asystentów, który rysował na tablicy różne figury geometryczne niezbędne przy zgłębianiu tajemnic przedmiotu bądź wycierał starannie jedną z kilku tablic. To nie były żarty, rysunki wymagały czasu i były coraz bardziej skomplikowane, a rzutników lub komputerowych pomocy w rodzaju PowerPoint jeszcze wtedy nie było. Najprościej poszło wytłumaczenie rzutu punktu:

– To jest punkt – mówił profesor, wskazując na trzymaną w rękę kredę. – A to jest ślad rzutu punktu na płaszczyznę – rzucał kredą w tablicę.

Studenci naszego wydziału mieli na trzecim roku problem z zaliczeniem przedmiotu teoria mechanizmów i maszyn. Wykładał go profesor Jan Oderfeld, twórca pierwszego w Polsce silnika odrzutowego. Swego wynalazku dokonał jeszcze przed wojną. Egzamin u Oderfelda wydawał się prosty. Pozornie, bo można było korzystać z dowolnych podręczników i poradników, w tym również z książki profesora. Ponieważ chodziłem pilnie na wykłady, wydawało mi się, że przy korzystaniu z podręczników nie będę miał problemu z zaliczeniem przedmiotu. Myliłem się jednak srodze. Egzamin, wybitnie inżynierski, miał charakter interdyscyplinarny, a profesora interesował jedynie końcowy wynik obliczeń, czyli jakaś nazwa liczonej wielkości, jej wynik cyfrą i jednostka techniczna (np. moment $M=100 \text{ Nm}$). Nie zdałem egzaminu, ponieważ nie wystarczyły mi cztery godziny, aby odnaleźć sposób rozwiązania tego problemu w stercie podręczników przyniesionych na egzamin. Kiedy odnalazłem wreszcie właściwą metodę, czas minął. Po dwóch nieudanych podejściach czekał mnie egzamin komisyjny, którego ponoć nie sposób było zdać, dlatego lepiej było powtarzać przedmiot od początku, łącznie z ćwiczeniami i laboratorium, co oznaczało powtarzanie całego roku. Tak też uczyniłem. W kolejnym roku stawiłem się

na normalny egzamin, a wtedy profesor mnie wyprosił i skierował bezpośrednio na egzamin komisyjny. Pomyślałem, że to już koniec, bo u profesora Oderfelda nie zdawało się pozytywnie egzaminów komisyjnych. Powiniennem być się załamać jak część moich kolegów, lecz wtedy pomogło mi twarde wychowanie otrzymane w dzieciństwie. Na miesiąc wyłączyłem się z życia (z wyjątkiem sobotnio-niedzielných zabaw, ma się rozumieć) i zacząłem kuć. Dosłownie, kuć – strona po stronie z podręcznika. To kucie nie było proste, bo często poruszane zagadnienia kończyły się następującym stwierdzeniem: rozwiązanie problemu jest banalne i czytelnik powinien dokonać je samodzielnie. Po miesiącu poszedłem na egzamin komisyjny i... zdałem! Dostałem wprawdzie ocenę trzy i pół, cieszyłem się jednak, bo w normalnych warunkach byłaby to piątka. A piątka praktycznie nie istniała w skali ocen na naszych studiach.

Pogłębiona wiedza, jaką zdobyłem, przygotowując się do tego egzaminu, przydawała się później wielokrotnie w mojej karierze.

Podobnie zachował się w stosunku do mnie jeden z asystentów mechaniki. Ponieważ często podchodziłem do egzaminów i zaliczeń w ostatnich terminach, choćby z powodu czekania w kolejce na notatki z wykładów, byłem narażony na gruntowne maglowanie. Sprawa dotyczyła obliczania momentów gnących wałów maszyn. Te wały można było obciążać na rozmaite sposoby, wariantów było wiele. Asystent chyba mnie polubił, bo podchodziłem do zaliczenia aż osiem razy i za każdym razem otrzymywałem coraz bardziej skomplikowane warianty. Gdy wreszcie udało mi się zdać, byłem ekspertem w tej dziedzinie i podczas wykonywania pracy dyplomowej, w kreślarni, weryfikowałem błyskawicznie obliczenia kolegów.

Nie sposób nie wspomnieć o profesorze Rybickim od elektrotechniki. Często na wykładzie, jak i podczas egzaminu, powtarzał:

– Jak ja nie lubię genialnych dzieci!

Dlatego na egzaminie, wertując indeksy, „piłował” szczególnie studentów mających dobre oceny z innych przedmiotów.

Jednemu z takich przodujących, który swoje dobre oceny usprawiedliwiał tym, że ma już żonę i dziecko – rzucił zniecierpliwiony:

– Panie, ale ja pana w żadnej restauracji jeszcze nie widziałem!

Kiedys podczas wykładu zauważył, że jeden ze studentów – siedzący na dodatek w pierwszej ławce – zasnął. Po skończeniu wykładu śpioch zaczął przeproszać wykładowcę, usprawiedliwiając swój sen wczorajszymi obchodami studenckich juwenaliów. Wtedy profesor powiedział:

– Nie gniewam się. Przypuszczam, że pański sen był bardziej wartościowy niż mój wykład.

Na zakończenie egzaminu dawał każdemu pytanie dotyczące kupna silnika elektrycznego. Określał, do jakiego urządzenia trzeba ten silnik dobrać i dawał kilka możliwości do wyboru. To było prawdziwie życiowe i inżynierskie zadanie.

Profesor Jurek prowadził wykłady z części maszyn. Znany był z tego, że często mylił znaki w pisanych na tablicy wzorach, zamiast „+” pisał „-” i odwrotnie. Ponieważ przed wojną zaprojektował karabin maszynowy, który wprowadzono jako uzbrojenie w polskiej armii, studenci żartowali, że ten karabin strzelał do tyłu. Dlaczego? Bo profesor pomylił plus z minusem.

Raz zdałem egzamin dzięki temu, że lubiłem piwo. Od pierwszego roku studiów piłem piwo, zawsze zimne, niezależnie od pory roku, by wyleczyć gardło, bo chorowałem na chroniczne zapalenia gardła. Pomagało. To lekarstwo stało się moim nawykiem. Dostosowywało się też do panującej wówczas mody. Piwo można było kupić wszędzie, na każdym rogu ulicy. Gdy szło się np. do kina w „Pekinie” (Pałacu Kultury im. Józefa Stalina) – i wybrało się pieszy wariant piwny zamiast tramwaju – to licząc od placu Narutowicza było aż dziewięć punktów, w których można było zatankować. Wieczorami w barze przy placu Narutowicza zamawiało się piwo na skrzynki (napój na „k” – „krzynka piwa”). Dla czterech osób było to po pięć piew. W porze wieczornej przyjęło się picie piwa na Dworcu Głównym, przy placu Zawiszy. Każdy z nas

prowałdził bujne życie towarzyskie i zazwyczaj dopiero krótko przed północą w pokoju zjawiali się wszyscy koledzy. Wystarczyło tylko popatrzeć im w oczy... Na wiosnę spacerowaliśmy po piwo – piętnastominutowy, przyjemny spacer, a jeszcze przyjemniejszy powrót. Któregoś roku urządziłem moje imieniny właśnie na dworcu. Zamówiłem w restauracji kilka skrzynek piwa, uprzednio wręczając kelnerowi odpowiedni bilet (Narodowego Banku Polskiego) i o godzinie dwunastej w nocy stawił się komplet spragnionych. Do akademika wracał tłumek spóźnionych mieszkańców, w tym kilku waletów obawiających się interwencji portierów. Wpadłem wtedy na pomysł, aby wziąć ich na ramiona i ze śpiewem na ustach „Umarł Maciek umarł...” wkroczyliśmy do środka, obserwując zbaraniałe miny cerberów.

Chciałbym jeszcze powrócić do egzaminów. Pamiętam pewien egzamin z obróbki plastycznej u profesora Erbla. Jako jeden z ostatnich w kolejce dostałem wówczas notatki z wykładów. Dostępny był już więc tylko jeden ustny termin. Wykułem wszystkie wzory na blachę i udałem się na dziewiątą do gabinetu profesora. Drzwi były zamknięte. Odczekałem piętnaście minut i po krótkim namyśle (zadawałem sobie pytanie, czy czasem nie powinienem przyjść na dziesiątą?) udałem się do najbliższego baru znajdującego się w piwnicach wydziału mechanicznego na rogu Wołoskiej i Narbutta. Wypiłem piwo i zapaliłem papierosa. Drugiego podejścia do gabinetu profesora spróbowałem o dziesiątej. Też zamknięte. Powróciłem do baru. Wreszcie około jedenastej z resztką nadziei ponownie zapukałem do drzwi. Usłyszałem „proszę”, wszedłem i przedstawiłem sprawę.

– Pan to chyba jest po kielichu – zauważył profesor.

– Nie, panie profesorze. Jestem po paru piwach.

Po czym opisałem moje próby podejścia do egzaminu od godziny dziewiątej.

– No, skoro jest pan taki stanowczy, to pewnie jest pan przygotowany – uśmiechnął się. – Proszę o indeks – dodał, wyciągając ku mnie rękę.

I wstawił mi trzy z plusem! Czy muszę opisywać, gdzie następnie się udałem?

Zastanawiam się nieraz, czy są jeszcze tacy profesorowie?

We wrześniu 1960 roku, kiedy Basia wyjechała z Warszawy do Mławy, przystąpiłem do jesiennej, poprawkowej sesji egzaminacyjnej. Bardzo lubiłem zdawać egzaminy we wrześniu: miałem wtedy miejsce w pojedynczym pokoju w akademiku, nie było już upałów, pod dostatkiem było pomidorów i chleba, korzystałem bez problemu z notatek kolegów (rzadziej ze swoich), na uczelni panował mniejszy tłok i mniejsza nerwowość. Tego roku część egzaminów udało mi się zdać, ale nie wszystkie. Przepadło mi stypendium, dostałem jednak miejsce w akademiku. Moim kolegom powiodło się gorzej – Józek we wrześniu wyjechał do pracy we Wrocławiu, a Johnny, straciwszy miejsce w akademiku, został waletem i zamieszkał u mnie – w dodatku na stałe, bo chyba aż na trzy lata. Piszę o tym, bo ten fakt będzie miał później ważne konsekwencje.

8. Dalsze przygody. Ślub

PO WYJEŹDZIE BASI STARAŁEM SIĘ ZAPEŁNIĆ PUSTKĘ UCZUCIOWĄ JAKĄS NAMIASTKĄ MIŁOŚCI. Na zabawach studenckich podrywałem dziewczyny, umawiałem się z nimi na spotkania, ale jakoś nic z tego nie wychodziło. Myślę, że brakowało mi odwagi w pójszczu na całość, jakkolwiek można to rozumieć. W październiku mój kolega Heniek namówił mnie do odwiedzenia pielęgniarek mieszkających w Alejach Niepodległości, tuż za ulicą Odyńca. Okazało się, że Heniek był na balu zakończeniowym na Nowogrodzkiej i poznał tam koleżanki Baški. Zostały właśnie przyjęte do pracy w szpitalu MSW na Wołoskiej i mieszkały w bursie pielęgniarskiej. Ktoregoś wieczoru udaliśmy się tam razem, ja pod pretekstem zdobycia adresu Basi. Na portierni oddaliśmy legitymacje, odwiedziny były bowiem ewidencjonowane. Trzy dziewczyny zajmujące pokój ucieszyły się na nasz widok, a zwłaszcza z przyniesionych przez nas biletów wstępu w postaci wina. Okazało się, że mój romans z Bašką był powszechnie znany z powodu zmiennego, niekiedy burzliwego przebiegu. Mieszkanki schludnego pokoju okazały się bardzo gościnne i rozrywkowe. Na jedną z nich, nazywaną przez koleżanki Krecią, zwróciłem uwagę z dość błahego powodu, gdyż zastanawiałem się, która z dziewczyn opróżni przepelnioną niedopałkami popielniczkę. Paliliśmy bowiem wszyscy, z wyjątkiem jednej z lokatorek, która w pewnym momencie wstała i uczyniła to, co ja

również miałem ochotę też zrobić, ale goście nie wypadało. Pomyslałem sobie wtedy:

– O, taka byłaby dobrą żoną.

Na tej myśli się jednak nie skończyło, zacząłem dziewczyny częściej odwiedzać. Właściwie nie wiem, dlaczego zainteresowałem się tą lubiącą porządek, ale widocznie taki los był mi pisany. Wkrótce krąg znajomych, w większości atrakcyjnych dziewczyn, znacznie się poszerzył, bo wraz ze mną pojawiła się muzyka i zaczynały się regularne balangi. Kreci daleko było pod względem urody do Basi, była też raczej małomówna i niezbyt hałaśliwa w odróżnieniu od koleżanek. Jej lakoniczne odzywki przypominały drukowane na ostatniej stronie „Przekroju” i podpisywane przez Krecię Pataczkówną. Naprawdę nie wiem, czemu ta znajomość zaczęła się pogłębiać. Stanowiliśmy przecież zupełne przeciwieństwa. Raz zaprosiłem Krecię na zabawę organizowaną przez mój wydział na Rakowieckiej. Często przychodziły tam dziewczyny z SGGW (Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego), które mieszkały w pobliżu – przy Madalińskiego. Sala wykładowa zamieniała się w soboty na balową. Była obszerna, a muzyka z taśm, puszczana przez kolegów (repertuar był często ustalany na bieżąco), dobrana była do naszych gustów. Chodziłem na zabawy razem z moimi kolegami z wydziału, czuliśmy się zatem na tańcach jak u siebie w domu i wracając po zabawie śpiewaliśmy na głosy piosenki ludowe. W naszym repertuarze pożegnalnym były najczęściej „Wołki” śpiewane na głosy:

*Wygnała wołki na bukowinę, wzięła ze sobą skrzypki jedyne.
Tak grała, śpiewała, że aż swoje siwe wołki zgubiła.*

Kiedyś odprowadzałem jakąś dziewczynę, śpiewu więc nie było. Dziewczyna w pewnym momencie powiedziała:

– O, dzisiaj wołki nie śpiewają.

– No, bo z jednym z nich idziesz – zaśmiałem się.

Na jedną z zabaw spóźniłem się nieco, ponieważ jechałem z akademika. Przywitałem się z Krecią i dwiema koleżankami, które przyprowadziła ze sobą. Chciałem dziewczynę poprosić do tańca, ale ubiegł mnie jakiś facet. Krecia nie zwracając na mnie uwagi wstała i poszła w tany, co mnie zaniepokoiło. Po tańcu przytrzymał ją za rękę i zatańczył drugi i trzeci kawałek. To już mnie wkurzyło.

Po jej powrocie zapytałem:

– Mówiłaś mu, że jesteśmy razem?

– Nie – odpowiedziała zmieszana.

– To powiedz, bo będą kłopoty.

Następną taniec tańczyłem z nią, ubiegając o ułamek sekundy intruza stojącego tuż przy nas. Podczas jednego z następnych tańców zostałem zaatakowany przez dwóch żołnierzy, którzy rzucali we mnie plastikowymi korkami od wina, co jasno wskazywało, że byli na dopingu. Po skończonym tańcu kategorycznie zażądałem od dziewczyny, by wyjaśniła sytuację intruzowi. Zbyt dobrze znałem zwyczaje na takich imprezach i czułem pismo nosem. Po paru ponagleniach Krecia spełniła moją prośbę. Całe szczęście, bo po zakończeniu zabawy facet podszedł do mnie w szatni z prośbą o rozmowę.

Włodek jestem – zagaił, wyciągając rękę. Dobrze, że twoja dziewczyna wyjaśniła sprawę – dodał. – Niestety jest za późno, bo już na ciebie czekają, muszę więc ci towarzyszyć.

Rzeczywiście, na mój widok dwie sylwetki oderwały się od ściany, ale Włodek odesłał ich gestem ręki. Szliśmy więc sami ulicą Rakowiecką i zaczęła się rozmowa. Chłopak okazał się całkiem sympatyczny, pracował jako tokarz-ślusarz w jednej z warszawskich fabryk.

Zakończyło się szczęśliwie, ale miałem żal do dziewczyny, że nie wyjaśniła sprawy już na samym początku zabawy. Krecia okazała się uparta i nie chciała się przyznać do błędu. To powinno obudzić moją czujność, ale w końcu machnąłem wielkodusznie ręką, czego później nie raz gorzko żałowałem.

Wybiegając już w przyszłość – rok później wracaliśmy z wesela Eli, jej koleżanki z pokoju. Wesele odbyło się w Głinojecku. Jechaliśmy następnego dnia po weselu nocnym pociągiem do Warszawy.

Chociaż na weselu grała orkiestra i były tańce, wziąłem ze sobą gitarę i zabrałem kilku kolegów lubiących śpiew. Atmosfera była wspaniała, dlatego spaliśmy zaledwie dwie godziny, a później znów bawiliśmy się na poprawinach – bez orkiestry, z gitarą. Do pociągu wsiadaliśmy w stanie „mocno wskazującym...”. Pociąg był przepelniony, koledzy poznikali w przedziałach, a ja z Krecią usiedliśmy na bocznych krzeselkach w korytarzu. Przy dziewczynie w pewnym momencie zebrali się paru żołnierzy i zaczęli się komentować na jej temat. Ona nie reagowała. Poczułem się zobowiązany, żeby stanąć w jej obronie i zaproponowałem zamianę miejsc.

Jej reakcja była zdumiewająca:

– Daj mi spokój! – rzuciła ostro.

Żołnierze oczywiście zareagowali:

– Kim ty dla niej jesteś? Narzeczonym, bratem, a może mężem? – pytali oburzeni.

Duma nie pozwoliła mi na bliższe zeznania.

– Za okno z nim! – krzyknął najbardziej krewki i zaczął otwierać okno.

Chwycili mnie za ramiona i zaczęli wypychać na zewnątrz. Nie stawiałem oporu, byłem bowiem zbyt zmęczony. Owiął mnie zimny pęd jesiennego powietrza.

– To już koniec – pomyślałem.

Ale Bóg widocznie czuwał, bo jeden z żołnierzy powiedział:

– Zostawcie go, nie widzicie, że ledwie się trzyma na nogach.

Puścili mnie. Zaczęli się spierać, co ze mną zrobić. Ten najbardziej krewki zagrzewał ich do ostatecznego rozwiązania. Przekonał do swoich racji pozostających i ponownie ruszyli w moim kierunku.

Dopiero wtedy Krecia zrozumiała sytuację. Podbiegła do mnie i wepchnęła do najbliższego przedziału. Po czym zamknęła drzwi od środka na zatrzask. Przerażeni pasażerowie przedziału, obserwujący z wewnątrz całe zajście, nie protestowali.

To zajęcie wiele mnie nauczyło. Zrozumiałem, jakie jest niebezpieczeństwo płynące z podróży w stanie zmęczenia – niewyspania i nadmiaru alkoholu – byłem praktycznie bezsilny wobec kilku agresorów. Gdybym był trzeźwy, byłoby inaczej. Czuję się w obowiązku podać tu parę przykładów, które pokazują, że na trzeźwo nie jestem mięczakiem. Kiedyś wracałem wieczorem z kina „Oka” na rogu Koszykowej i Chałubińskiego. Nie byłem sam, była ze mną Krecia i jej koleżanka Lucyna. Czekaliśmy na trolejbus w kierunku Mokotowa. Obok stało kilku rozbawionych kolesi. Ich zabawa polegała na tym, że popychali jednego ze swego grona w moje dziewczyny. Początkowo myślałem, że to przypadek, ale wkrótce zauważyłem, że to prowokacja. Podszedłem bardzo blisko do nich:

– Słuchajcie uważnie, jest was kilku, a ja jestem sam, macie więc przewagę liczebną. Te kobiety są pod moją opieką. Uprzedzam, że jeżeli sytuacja się powtórzy, oberwie się temu, który zostanie popchnięty w stronę dziewczyn. Zginie albo pojedzie do szpitala co najmniej jeden z was. Pomogło.

Innym razem jechałem wiosenną południową porą w sobotę tramwajem z Narbutta do rogu Odyńca i Raławickiej. Wracałem z pracy, z Polibudy, byłem w marynarce i pod krawatem. Śpieszyłem się na ślub mojego kolegi. W tramwaju było pustawo. W pewnym momencie usłyszałem powtarzające się głosy: „Jesteś artystą?”. Ponieważ pytanie się powtórzyło, oderwałem się od lektury gazety. Jacyś dwaj podejrzani młodzieńcy z papierosami grozili młodemu chłopakowi, który zwrócił im uwagę, że w tramwaju się nie pali. Trzeba było pomóc, zbliżyłem się więc do palących.

– Rzucić papierosy. Ale już! – dorzuciłem stalowym głosem kaprała ćwiczącego rekrutów w koszarach.

– No już! – ponagliłem głośno, patrząc im twardo w oczy.

Po chwili wahania, zdeptali papierosy.

– Artystą jesteś? – Tym razem pytanie było skierowane do mnie.

– Artystą! – odpowiedziałem zdecydowanie.

Za chwilę musiałem wysiadać, a ponieważ nadjeżdżał właśnie mój autobus, pobiegłem przez skrzyżowanie na przystanek.

– Hej artysta, zaczekaj! – usłyszałem z tyłu.

Wiedziałem, co mnie czeka. Przebiegłem przez ulicę i ustawiłem się w przejściu dla pieszych, ograniczonym przez łańcuchy.

– Choć biegną obaj to zawsze jeden będzie pierwszy – myślałem.

Tego pierwszego walnąłem z prawej w podbródek, a drugiego też celnie z lewej. Niestety, nie mam ciosu Kuleja, nastąpiły więc dalsze poprawki. Ich ciosy brałem na ręce. Przydały się częste pojedynki bokserskie z Johnym. Nie mogli mnie dopaść i coraz bardziej się wściekali. A ja spokojnie trzymałem ich na dystans i punktowałem. Niestety, nie było niko-go, kto mógł przerwać ten pojedynek, chociaż na przystanku było sporo osób. W pewnym momencie i ja zacząłem się niecierpliwić. Ile można tak tańczyć? Zacząłem dojrzywać do radykalnego rozwiązania, które miało polegać na dopadnięciu w stosownej chwili jednego z nich i przewróceniu go na chodnik rzutem przez biodro. To wymagało zbliżenia do faceta i niosło za sobą ryzyko zainkasowania ciosu, a z siniakami nie uchodzi być świadkiem na ślubie. Poza tym, przez parę lat trenowania *judo* dobrze wiedziałem, czym grozi rzucenie nieprzygotowanym przeciwnikiem o matę – co najmniej uszkodzony kręgosłup, czyli kalectwo. A tu maty nie było, tylko cementowy chodnik. Takie rozwiązanie było dopuszczalne wyłącznie w przypadku śmiertelnego zagrożenia. Nie chciałem tego robić. Spokojnie objąłem więc twarzyczki nieszczęśników krzyczących z bezsilnej wściekłości. Wyraźnie brakowało im refleksu, chociaż byli ode mnie młodsi, bo mieli po jakieś dziewiętnaście lat. Później dowiedziałem się, że na zakończenie nauki w technikum wypili po sikaczu. W końcu pojawił się radiowóz, z którego wysypało się trzech milicjantów. Psiknęli chłopaków gazem po oczach, ale mieli sporo kłopotu, by zakuć ich w kajdanki. Żał mi ich było, jak krzyczeli zapłakani i pokrwawieni:

– To on nas pobił!

W zasadzie mieli rację. Przyznam, że gdy pojawiła się milicja, trochę się wystraszyłem, że i mnie przymkną. Musiałem mieć dobrą

kondycję, chyba po tańcach, bo nawet nie byłem zdyszany. Jakoś nie mieli wątpliwości, kogo brać, choć gdy wypadli z samochodu na wszelki wypadek schowałem grzecznie ręce za plecy. To one były licznikiem moich ciosów.

To zdarzenie uświadomiło mi kolejny raz, że należy być zawsze w formie (czyli ćwiczyć codziennie gimnastykę – co robiłem) i unikać konfrontacji po większej porcji alkoholu (tak instynktownie postąpiłem w pociągu).

Po zejściu w pociąg miałem do Kreci wielki żal z powodu jej zachowania. Dziewczyna była uparta i znów nie chciała przyznać się do błędu. Gdybym wtedy zerwał naszą znajomość, miałbym pewnie dużo mniej kłopotów w życiu. Przebaczyłem jej jednak, gdy po kilku dniach przyszła do mnie i po dłuższej rozmowie przeprosiła mnie za swoje zachowanie ze łzami w oczach. Kto ma miękkie serce, musi mieć twarde inne części ciała. Mogłem być wtedy stanowczy, zwłaszcza że często myślałem o Basi, co Krecia wyczuwała. I nawet miała z tego powodu wyrzuty sumienia, o czym opowiedziała mi przed ślubem. Nie wiem, czemu tak się uparłem – brnąłem dalej w naszą znajomość.

Śluby studenckie były w tym czasie niezwykle modne, połowa moich kolegów na trzecim i czwartym roku była już żonata z warszawiankami. To prawdopodobnie było związane z tym, że dzięki ożenkowi mogli zameldować się w Warszawie. Ale ta możliwość nie dotyczyła nas, bowiem moja przyszła małżonka również nie miała stałego meldunku w stolicy. Jestem pewnie fatalistą i z ufnością puszczam się w wartkie prądy życia, myśląc, że Bóg nie opuści mnie w potrzebie.

W tym przypadku nie potrafiłem trafnie odczytywać Bożych znaków. Moim rodzicom przyszła synowa nie przypadła do gustu, a nawet byli przerażeni perspektywą poważnego związku. Na kilka tygodni przed ślubem mama wyraźnie mi to oznajmiła – przyjechała do akademika i ze łzami w oczach błagała mnie o zerwanie z Krecią.

– Synu, to nie jest kobieta dla ciebie, jeżeli się ożenisz będziesz bardzo nieszczęśliwy – wolała rozpaczliwie. – Pamiętaj, jeżeli weźmiesz

ślub kościelny, to nie będziesz miał wyjścia. Nie będzie już rozvodu, bo co Bóg złączył, tego człowiek niech nie rozłącza – dodała twardo.

Reakcja mamy była ostrzeżeniem od Boga, lecz ja byłem ślepy. Widocznie tak musiało być, może moja ślepotą była celowa, a ja służyłem za narzędzie Boskich planów. Ślub się odbył. Zarówno cywilny, jak i kościelny – cywilny na Mokotowie, świadkiem był Jeż, kościelny u św. Anny, w kościele akademickim na Krakowskim Przedmieściu, tuż przy placu Zamkowym. Wesele odbyło się w Klubie „Alfa” w akademiku przy pl. Narutowicza. Gościliśmy około pięćdziesięciu osób, praktycznie samych młodych, prócz moich rodziców, mamy Kreci i Jana E. z małżonką Marią, krewną Kreci. Jan, facet niezwykle przeze mnie lubiany, świetny brydżysta, znany był z dowcipnych komentarzy i niewyparzonego języka. Kiedy jechał na wesele po ślubie, w pewnym miejscu na Krakowskim Przedmieściu skomentował w swoim stylu wydarzenie opisane przez znanego pisarza:

– O, tu Zagłoba napieprzał się z małpami.

Wywołało to wesołość wśród młodych i zgorzenie u innych, którzy nie mieli poczucia humoru. Na szczęście tych drugich było mniej.

Mało brakowało, a ślub by się nie odbył. Na pół godziny przed ślubem kościelnym na dole bursy czekała zamówiona taksówka, a na górze, w pokoju, moja przyszła małżonka nie mogła się zdecydować, czy we włosach ma być kwiat – a jeżeli już – to w którym miejscu. To przekładanie kwiatka z miejsca nad uchem prawym w miejsce nad lewym trwało na tyle długo, że niebacznie pozwoliłem sobie na uwagę:

– Daj sobie może spokój z tym kwiatkiem, bo nie zdążymy na ślub.

– Nie wtrącaj się – warknęły obie bliźniaczki.

Trzeba bowiem dodać, że mama Kreci, zwana w rodzinie Kazią, chociaż była o jakieś czterdzieści lat starsza, stanowiła tylko nieco starszą kopię mojej przyszłej żony. O matce Kreci, emerytowanej nauczycielce wiejskiej, krążyły różne legendy w rodzinie. Ze śmiechem opowiadano nieraz o jej przeróżnych dziwactwach. Janek E., człowiek bardzo błyskotliwy, znany prześmiewca, skomentował późniejsze zamiary wprowadzenia się Kazi do nas:

– O rany! Jak się Kazia wprowadzi, to Jurek już nie wytrzyma i ucieknie po pół roku.

Wytrzymałem chyba za cztery lata, choć miałem ochotę przerwać ten duet natychmiast po ślubie, lecz powstrzymywała mnie świadomość, że stoły weselne w „Alfie” były obficie zastawione. Ba, na weselu pojawiły się wędzone węgorze przywiezione przez rodziców z Augustowa. Żał mi było tych węgorzy, zwłaszcza że przygotowałem duże ilości wytrawnej wódki robionej ze spirytusu z pieprzem. Pieprz przegrzyzał się z alkoholem dłuższy czas i trunek nabrał zachęcającego złocistego koloru. No i kompania była przednia, moi koledzy ze studiów i ci z Augustowa. Starostą weselnym był Józek Filipiuk, który zagaił uroczystość następującymi słowami:

– Kreciu, traktuj swojego męża jak psa! – zamilkł.

Wśród gości weselnych nastąpiło wyraźne poruszenie. Kazia i moja mama były wyraźnie zgorzone, młodzi oraz Janek i tata zaczęli się śmiać.

– Dobrze karm, nie drażnij i na noc wypuszczaj z domu – dokończył wśród ogólnego już śmiechu zebranych.

Do tańca płynęła wyborna muzyka z miejscowego radiowęzła, którego repertuar stanowił znaczące uzupełnienie naszej edukacji muzycznej. Często puszczano tam najnowsze przeboje, lecz także klasykę jazzową oraz np. „Błękitną Rapsodię” Gershwina, przeboje Armstronga czy piosenki Grzesiuka. Spędziłem w akademiku ładnych parę lat, to był właściwie mój dom, ulubiony dom.

– O, nasi grają – cieszył się zazwyczaj Johny, słysząc kolejne puszczone szlagiery.

Muzyka była przygotowana specjalnie na tę okazję. Nie zabrakło też wspólnego śpiewu – do akcji przystąpił Darek, świetny pianista i akordeonista (jeszcze o nim wspomnę). Ktoś miał gitarę i zrobiliśmy nawet małe *jam session*. Już nad ranem, pod koniec przyjęcia, kiedy przygrywałem niezobowiązująco na akordeonie, jakiś nieznany facet zaczął mi przygadywać. Ojciec zareagował natychmiast:

– Uspokój się, bo cię wyrzucę przez okno.

Facet wyraźnie się spłoszył, bo lokal znajdował się na pierwszym piętrze. Ale nadal był dokuczliwy.

– Jurek, co to za gość? – zwrócił się do mnie krewki rodzic.

– Tato, nie wiem.

– Jak to nie wiesz? Nie znasz swoich gości?

Zastanowiłem się. Przypomniało mi się, że jakiś czas po usadowieniu gości za stołem weselnym drzwi wejściowe się otworzyły i stanął w nich właśnie ten facet. Miał około czterdziestki, był w garniturze i pod krawatem. Spojrzał po sali i skierował się do mojej małżonki, po czym złożył jej stosowne życzenia, mnie również. Miejsca już były zajęte, ale jakoś udało mi się go usadowić. Po jakimś czasie zapytałem ją:

– Kto to jest?

– Nie wiem, myślałam, że to twój znajomy.

Machnąłem ręką na całe zajście i zająłem się bieżącymi sprawami, bo wszystko było na mojej głowie, łącznie z zapewnieniem spania gościom w akademiku. Było to o tyle proste, że wesele odbywało się 30 czerwca, wtedy, gdy studenci wyjechali już na wakacje. Musiałem jednak wydawać klucze, odprowadzać, przyprowadzać itp. Nawet ograniczyłem picie alkoholu, wypłem zaledwie trzy kieliszki. Dopiero pod koniec przyjęcia pozwoliłem sobie na parę głębszych i wtedy miałem czas na rozmowę z nieznajomym. Okazało się, że facet był lekarzem z Łowicza. Spóźnił się na ostatni pociąg. Była ciepła noc, postanowił zrobić sobie spacer po stolicy. Posłyszał gwar i muzykę, wszedł więc do środka. Niezły cwaniak. Ale teraz musiał brać nogi za pas. Najwyższy czas, bo poranne pociągi już jeździły.

Z perspektywy czasu uznaję to wydarzenie za co najmniej dziwne. Czego facet szukał aż na placu Narutowicza? Nie mógł wstąpić do jakiegoś lokalu w centrum stolicy?

Na weselu nic się nie potłukło, co było złą wróżbą, ale miało też swoje dobre strony, bo zastawa była wypożyczona. Aby zapobiec

niefartowi, na koniec potłukłem świadomie parę kieliszków. To raczej nie pomogło. Już następnego dnia, oddając zastawę do wypożyczalni, natknąłem się nieoczekiwanie na Baškę. Na moment serce stanęło mi w gardle. Dziewczyna uśmiechnęła się promiennie i podała mi rękę. Uśmiech jej nagle zamarł, gdy zobaczyła na moim palcu obrączkę.

– Z Krecią? – zapytała.

Skinąłem głową.

– Jednak to prawda – dodała zgaszona. – No cóż, życzę ci szczęścia.

Odwróciła się na pięcie i zniknęła w tłumie na Marszałkowskiej.

9. Kłopotliwy walet

WARTO TERAZ WSPOMNIEĆ O JÓZKU, MOIM STAROŚCIE WESELYM. Poznałem go w sytuacji krytycznej. Groziło mi postępowanie dyscyplinarne z powodu obrzucenia jajkami przechodnia z okna pokoju. Józek był przewodniczącym rady mieszkańców. Starszy ode mnie o co najmniej dziesięć lat, niezbyt wysoki, o pooranej już nieco zmarszczkami twarzy miał mądre spojrzenie i ojcowski uśmiech. Przyszedł do mnie w sprawie tych jajek. Nie wiedziałem, o co chodzi, ale po krótkim śledztwie znalazłem sprawcę. Był nim notoryczny walet Johny, który już chyba trzeci rok z rządu u mnie kwaterował. Mieszkałem wtedy w dużym pokoju na czwartym piętrze z oknem wychodzącym na ulicę Mochneckiego. W pokoju był spory przedpokój, w którym znajdowała się duża, co najmniej dwumetrowa wnęka na walizki. Idealny schowek dla waleta, choć trzeba było się tam wspinać. W celu usprawnienia wejścia zamontowaliśmy drążek, na którym Johny się podnosił i następnie zręcznie wsuwał się do swojego matecznika. Drążek służył przy okazji do ćwiczeń, a także był probierzem trzeźwości mieszkańca wnęki, czasami bowiem zdarzały się sytuacje, kiedy trzeba było pomagać w wspinaczce. Na niedużym rauszu Johny wskakiwał tam bardzo zręcznie, był przy tym bardzo z siebie zadowolony i domagał się pochwał. Na większym potrzebował pomocy co najmniej jednej osoby, a w stanie większego upojenia koniecznych było kilka osób, czasem i oni byli w podobnym stanie.

Pewnego razu Johny znalazł się w stanie jasnej pomrocności. Było to o tyle dziwne, że zdarzyło się w biały dzień, traf chciał, że po moich imieninach, kiedy normalni mieszkańcy, w tym i ja, udali się na zajęcia. Johny smacznie sobie spał, a kiedy się obudził był na lekkim kacu. Zauważył, że po spotkaniu zostało jeszcze parę butelek wina, a na stole leżała zakąska w postaci kilku kaczych jajek. Jaja były surowe, a przywiózł je nasz kolega z pokoju Gienek, wracający po Wielkanocy z rodzinnego domu, gdzieś z podlaskiej wsi. Nasz walet wypił sobie coś dla kurażu i wtedy do pokoju zapukał jakiś kolega. No i zaczęło się. Popłynęli, a ponieważ wzgardzili zakąską, wyrzucili jaja przez okno. Traf chciał, że ulicą przechodziła jakaś kobieta i rozbryzgujące się o chodnik pociski ją ochlapały. Miotacze byli już tak rozochoceni, że wychyleni z okna wcale nie kryli swego rozbawienia. Napadnięta zidentyfikowała bez trudu „jajcarzy” i złożyła skargę w administracji akademika. Potem sprawa trafiła do rady mieszkańców. Szef rady w osobie Józka osobiście pofatygował się do naszego pokoju. Sytuacja była poważna. Groziła naganą i wyrzuceniem ze studiów, a na pewno z akademika. Ponieważ zawinił mój walet, musiałem wziąć wszystko na klatę. Józek był mądrym doradcą. Wysłuchał mnie życzliwie i poradził, żebym udał się osobiście do poszkodowanej i poprosił o wycofanie skargi, a cała sprawa zniknie „z wokandy”. Okazało się to najlepszym rozwiązaniem. Kupiłem kwiaty i udałem się pod adres wskazany przez Józka. Pani w średnim wieku i przeciętnej urody niechętnie wpuściła mnie do środka. Gdyby nie te kwiaty, pewnie rozmawiałaby ze mną w progu. W miarę moich wyjaśnień jej niechęć do mnie powoli topniała. Przeprosiłem za zachowanie kolegów i zadeklarowałem pokrycie kosztów czyszczenia płaszcza. Nawijałem coraz śmielej. Pani okazała się skrzypaczką z Filharmonii. Rozmowa zeszała na muzykę. Pochwaliłem się moimi zainteresowaniami muzycznymi. Wkrótce na stole pojawiła się herbata, ciasteczka i w zasadzie sprawa została złagodzona. Pod koniec rozmowy zaproponowałem, że przyprowadzę właściwego winowajcę, by mógł osobiście okazać skruchę, lecz okazało się to

niepotrzebne. Uff, z ulgą opuściłem mieszkanie sympatycznej skrzypaczki. Byłem wdzięczny Józkowi za jego bezcenną radę. Mogło to wszystko skończyć się źle.

Z Józkim się zaprzyjaźniłem. To on został później moim starostą weselnym. Był moim częstym gościem. Lubił biesiadować i śpiewać jak ja i mimo chromej nogi zajmował stanowisko prezesa Klubu Tańca Towarzystwego Politechniki Warszawskiej. Wywijał walce tak, że miło było patrzeć. Pochodził ze wschodu i miał niezły repertuar rosyjski. Nieraz w kilkunastu wariantach śpiewaliśmy razem „Oczy ciornuje”. Nasz śpiew zwabiał innych okolicznych solistów.

Józek twierdził, że wcielono go przymusowo, jako młodocianego Polaka z kresów, do Armii Czerwonej. Nie bardzo w to wierzyłem. Józek był starym „szutnikiem” i za to go lubiłem.

Sympatia była chyba wzajemna, bo zaprosił mnie (po paru latach od ślubu) na swój ślub i też w charakterze świadka. Przyjęcie weselne odbyło w „Cristalu”, który w swoim czasie nosił też nazwę „Budapeszt”. Ten popularny lokal znajdował się przy Marszałkowskiej, w połowie drogi między placem Zbawiciela a placem Unii. Wesele było udane. Jako funkcyjny czułem się odpowiedzialny za pozostawienie sali w należyтым porządku. Wychodziłem więc ostatni, rozglądając się, czy ktoś nie został przy lub pod stolikiem. Nikogo nie znalazłem. Chciałem więc wyjść, ale okazało się, że drzwi są zamknięte, a drogę zastąpiło mi dwóch kelnerów. Chcieli, żebym uiścił dopłatę za przyjęcie. Niestety, źle trafili, bo byłem świadkiem regulowania przez Józka rachunku tuż przed zakończeniem imprezy. Powiedziałem im o tym, ale mieli złe błyski w oczach i zanosilo się na niezłą rozróbę. Ponieważ znajdowałem się jeszcze w niezłej kondycji psychofizycznej, zła-pałem za krzesło przy olbrzymich szklanych drzwiach wejściowych.

– Albo otwieracie, albo robię rozróbę na sto fajerek – powiedziałem zimno.

– Ta szyba będzie was drogo kosztować – dodałem z krzywym uśmiechem.

Zawahali się. Trzeba trafić, że akurat przejeżdżała „dyskoteka”, czyli samochód milicyjny z sygnałem świetlnym na dachu. Zafiniszowałem:

– Otwierać natychmiast – i wzięłem zamach.

Otworzyli. Uff! Udało się. Bo nie wiem, czy biłbym w szybę, czy w któregoś z nich. W bójce z dwoma facetami wprawionymi być może w biciu klientów (wtedy było to modne) mogło mi pójść gorzej.

Józek dostał mieszkanie gdzieś na Piaskach. Raz się do niego wybierałem i poprosiłem o adres.

– Łatwo do mnie trafić, bo tylko moje okna w tym mrówkowcu nie mają zasłon – dodał z łobuzerskim uśmiechem.

Wracam jednak do afery z Johnym.

– Johnny, zwracasz mi wszystkie koszty, stawiasz pożegnalną kolację i zmieniasz lokal – powiedziałem po szczęśliwym zakończeniu sprawy ze skrzypaczką.

Miał minę zbitego psa i wytargował ze mną jedynie tyle, że pomieszka do wakacji, czyli raptem dwa miesiące. Nie wyrównaliśmy jednak jeszcze rachunków. W następnym roku (1963) na moich imieninach była garstka przyjaciół z akademika. Przybyło także dwóch gości z miasta. Jednym z nich był Staszek, który po wyrzuceniu ze studiów wylądował w woju w Pyrach, a teraz przyprowadził ze sobą z woja kolegę, Maćka R. Obaj byli po cywilnemu, bo w mieszkaniu Maćka, w Warszawie, przebrali się w cywilne ciuchy. Jak zwykle na moich imieninach było dużo śpiewu z akompaniamentem gitary i akordeonu. Maciek okazał się świetnym kompanem. Pozbawiony kompleksów cwaniak z Mokotowa bawił się znakomicie. Opowiadał dobrze dowcipy, naśladowując warszawski akcent. Wzbogacił nasz repertuar o piosenki Grzesiuśka; znał dobrze ich teksty i znakomicie śpiewał. Nic dziwnego, pochodził z muzycznej rodziny, co miałem niebawem okazję sprawdzić. Jego tata grał na akordeonie, mama bardzo dobrze śpiewała, a młodszy brat, student SGGW, robił właśnie karierę muzyczną w Polsce.

W pewnym momencie ktoś przyniósł do pokoju kilka ulotek o tak dziwnej treści, że zaczęliśmy je czytać. Ulotki było rozrzucane

po toaletach znajdujących się na końcu korytarza (w pokojach były jedynie umywalki). Wziąłem do ręki jedną. Ulotka, odbita na papierze fotograficznym typowego formatu sześć na dziewięć centymetrów zatytułowana była: „Do mieszkańców Warszawy”. Obok nagłówka znajdowała się kotwica – znak Polski Walczącej, znany z okupacji niemieckiej. Autorzy ulotki potępiali działania rządu dotyczące polityki społecznej. Protestowali przeciwko rosnącym podwyżkom cen, represjom wobec pielęgniarek (przesiedlono strajkującą pielęgniarkę ze szpitala MSW przy Wołoskiej w Bieszczady) itp. Ba, znajdowały się tam również akcenty polityczne. Żądano np. zniesienia cenzury i wystąpienia Polski z Układu Warszawskiego (a w ramach równowagi wystąpienie bodajże Włoch z NATO). Najciekawsze były jednak proponowane akcje demonstracyjne. Jedną z nich ustalono w przeddzień 1 Maja na godzinę osiemnastą na placu Politechniki (wtedy nazywanego placem Jedności Robotniczej), a drugą na 1 Maja. Demonstranci mieli spotkać się przed Domem Partii na skrzyżowaniu Alei Jerozolimskich i Nowego Świata. Teraz znajduje się tam giełda, a pośrodku ronda rośnie palma. Nam wówczas ta ostatnia akcja wydała się niemożliwa do przeprowadzenia. Pamiętałem, jak na pierwszym roku studiów 1 maja usiłowaliśmy z Józkiem przedostać się w pobliże trybuny ustawionej przy Pałacu Kultury na placu Defilad. Na tej trybunie przemawiali czołowi przedstawiciele partii i rządu, i odbierali defiladę (czytaj hołdy) od mieszkańców Warszawy.

– Proszę Państwa, przeszła już Ochota a teraz idzie Wola – meldowali sprawozdawcy radiowi i telewizyjni.

Pokazywano to zawsze w TV. My jednak chcieliśmy zobaczyć na własne oczy Gomułkę, Cyrankiewicza i resztę tych facetów. Okazało się to marzeniem ściętej głowy. Teren wokół planowanego pochodu, a zwłaszcza w pobliżu Pałacu Kultury był szczelnie obstawiony Milicją, a do przejścia z jednego kwartału ulic do drugiego wymagane były specjalne przepustki. Zmarnowaliśmy tylko czas, stojąc w tłumie

ludzi, z którego nie mogliśmy się wydostać aż do zakończenia pochodu. Ponieważ bardzo chcieliśmy obejrzeć te wystąpienia, na drugim roku studiów poszliśmy na pochód z Politechniką. Raz w życiu, dla celów poznawczych, można. I dobrze zrobiliśmy, naśladowując niewiernego Tomasza, bo zauważyliśmy ciekawą scenkę. W miejscu zbiórki Politechniki stały przygotowane na pochód czerwone flagi i inne rekvizyty. Początkowo organizatorzy zachęcali przyjaźnie ochotników do pobierania tych dowodów solidarności z partią. Nie czuli chyba bluesa, wszyscy bowiem mieli w pamięci (a niektórzy na głowie i plecach) niedawne wydarzenia związane z zamknięciem „Po prostu”. Gdy zachęty zawiodły, do akcji wkroczył rektor Politechniki (albo może jakiś zastępca) i usiłował przypadkowym studentom wciskać rekvizyty w ręce. Pechowiec, który to coś dostał, odchodził kilka kroków i... odstawiał to w kąt. Zachowaliśmy czujność partyjną, starając się trzymać z daleka od tej akcji. Później nigdy już więcej nie splamiłem się uczestnictwem w wiernopoddańczych igrzyskach. Przestrzegałem bowiem zasady, że przed wojną to odważni wychodzili na ulice, a po wojnie jest odwrotnie – tchórze idą na pochód, odważni zostają w domu.

Po przeanalizowaniu apelu z ulotki przypuszczałem, że teren wokół „Białego Domu” – jak nazywano gmach KC, będzie szczególnie pilnowany. Tylko próba demonstracji przy Politechnice mogła się udać!

Ulotka tego rodzaju była dla nas czymś nowym. Wkrótce rozpoczęliśmy gorącą dyskusję nad jej treścią. Wszyscy zgadzali się, że system polityczny w kraju jest do kitu.

– Panowie, koniec dyskusji – przerwałem w pewnym momencie. – Czas na działanie. Kto z was pójdzie na demonstrację?

Zapadła cisza.

– No co, nie ma odważnych? Bo ja idę – odpowiedziałem zdecydowanie.

Po chwilowych wahaniach większość, a może nawet wszyscy, zgodzili się pójść.

– Pamiętajcie, żeby się nie szukać. Umawiamy się przy budce z piwem – uściśliłem. I oczywiście dla kamuflażu wszyscy pijemy tam piwo – dodałem.

Miałem rację z tym kamuflażem. Na placu Jedności było bowiem więcej tajniaków niż demonstrantów. Przewidziałem taką sytuację. Miałem już doświadczenie z Lublina, gdzie odbywaliśmy praktyki studenckie w Fabryce Samochodów Ciężarowych. Trzeba trafu, że wtedy w Polsce trwała wizyta Chruszczowa i pewnego dnia szef partii komunistycznej Sojuza przejeżdżał przez Lublin. Na trasie znajdowało się sporo ludzi, a ponieważ w związku z uroczystością zwolniono z praktyk naszą grupkę, kilkunastu studentów, zasililiśmy tłum powitalny. Znaliśmy się doskonale, w oczekiwaniu na dostojnego gościa zaczęły więc sypać się dowcipy na jego temat. Tych dowcipów było mnóstwo. Bawiliśmy się doskonale, zwłaszcza że wokół nas zaczął gromadzić się tłumek ludzi i z rozbawieniem uczestniczył w improwizowanym występie kabaretowym. Wtem podszedł do nas jakiś facet i szepnął:

– Panowie uciekajcie, wokół są tajniacy!

Zamarliśmy, ale ukradkowe spojrzenia rzucające dokoła przekonały nas o zagrożeniu.

– Chłopaki chodu! – krzyknął któryś z reflekssem.

Rozsypaliśmy się jak stado wróbli, a potem pozbieraliśmy się w akademiku.

Ubogacony doświadczeniem na akcję przebrałem się w płaszcz przeciwdeszczowy (mimo że nie zanosilo się na deszcz). Na głowę włożyłem czapkę (której w zasadzie nigdy nie nosiłem) oraz założyłem okulary przeciwsłoneczne (choć o tej porze dnia nie były potrzebne). Dobrze, że umówiliśmy się przed budką z piwem. Na szczęście była czynna, dla kamuflażu, pijąc piwo rozglądaliśmy się po placu. Nie było za wesoło, wokół roilo się od tajniaków – było ich chyba więcej niż studentów. Nie brakowało również oznakowanych i nieoznakowanych samochodów milicyjnych. Nawet w sąsiadujących z placem budynkach siedzieli spece od rejestrowania wydarzeń. Milicja była dobrze przygotowana do działania.

Już na początku opisywanych zdarzeń, tuż przy wyjściu z akademika stał milicjant w cywilu, co można było łatwo stwierdzić, bo na głowie miał odcisnięty ślad po sztywnej milicyjnej czapce. Grubszy jegomość o nalanej czerwonej twarzy z odcisniętym śladem znany był mi z widzenia. Miał chyba kłopoty z arytmetyką, bo liczył półszepciem wychodzącą przed godziną osiemną sporą grupę studentów, spieszącą do tramwaju jadącego w kierunku Politechniki. Postanowiłem zrobić mu kawał i gdy mnie odliczył (trzysta osiemnaście – usłyszałem), zawróciłem, wszedłem ponownie w drzwi i znów zacząłem wychodzić.

– Trzysta dziewiętnaście.

– Mnie proszę już nie liczyć – powiedziałem z pełnym satysfakcji uśmiechem. – Byłem liczony przed chwilą – wyjaśniłem kompletnie zbaraniałemu przedstawicielowi władzy ludowej.

Tak więc na placu wszystko było pod kontrolą.

– Ciekaw jestem, kto odważy się przemówić do tych ludzi – myślałem, obserwując rozwój wydarzeń.

– Panowie – zwróciłem się do byłych uczestników mojej imiennowej imprezy – nic tu po nas. Po drugim piwie zmykamy.

Na piwie się jednak nie skończyło. Służba Bezpieczeństwa wszczęła energiczne śledztwo, przesłuchując po kolei wszystkich zgromadzonych na placu. Rozesłano zdjęcia niedoszłych demonstrantów do dziekanatów i przedstawiciele organizacji młodzieżowej ZMS rozpoznawali ludzi. Rozpoznanych wzywano następnie do Pałacu Mostowskich na przesłuchania. Także uczestnicy moich imiennin byli przesłuchiwani. Wszyscy relacjonowali mi później swoje wrażenia i zapewniali, że nic nie mówili o dyskusji podczas imprezy. Mnie zostawiono w spokoju, chociaż wydawało się to podejrzane. Moich kolegów pytano o aparaty fotograficzne i relacje z pielęgniarkami, zwłaszcza z MSW. A przecież miałem aparat, ponadto moja żona była pielęgniarką właśnie w MSW. Przypuszczałem, że moi koledzy są w porządku. Większość z nich relacjonowała, że zaproponowano im podjęcie roli tajnego

informatora, co oczywiście odrzucili. Minął prawie rok i myślałem na-
iwnie, że sprawa ucichła. Kiedyś spotkałem kolegę Wojtkę Jankowskie-
go, przez którego zapisałem się do ZMS. Wcześniej jeszcze uległem
namowom Staszka T., kolegi z pokoju, który wymyślił taką taktykę wal-
ki z komunizmem:

– Słuchaj, zapisujemy się wszyscy do ZMS-u i wybieramy naszego
kolegę Wojtkę na przewodniczącego. Będziemy w ten sposób kontro-
lować władzę od środka.

Taktyka ta zdała egzamin, bo Wojtek, który w dziekanacie miał za
zadanie rozpoznawać uczestników tej niby-demonstracji, powiedział
mi jednego dnia:

– Słuchaj, przebrałeś się, więc cię nie poznałem.

Był też drugi ciekawy wątek całej tej konspiracji. Staszek (z Pyr)
przyjechał do mnie po imieninach już następnego dnia. Był przera-
żony:

– Słuchaj, musiałem oddać ulotkę facetowi z kontrwywiadu. – Ale
nie bój się – dodał, widząc moją przerażoną minę – zapewnił, że nic
wam nie zrobią.

– Staszek, jesteś naiwny jak dziecko. Nie znasz władzy ludowej –
odpowiedziałem wkurzony.

Staszek był istotnie naiwny. Ulotkę wziętą z imienin pokazał do-
wódcy jednostki w Pyrach, został bowiem mianowany pisarzem po
stwierdzeniu, że ma ukończone dwa lata Politechniki. Dowódca na-
tychmiast wezwał szefa kontrwywiadu, a ten obiecał Staszкови, że
nie będzie wyciągał żadnych konsekwencji i tym sposobem wycisnął
z chłopaka wszystko, co chciał. Dobrze, że Staszek był na tyle uczci-
wy, że szybko mnie powiadomił. W późniejszych latach zabrakło mu
już takiej uczciwości. Zrobił karierę jako działacz partyjny, podobno
został nawet wojewódzkim sekretarzem partii.

Uczciwości, a może odwagi, zabrakło również Johnemu. Dosta-
łem wezwanie do Pałacu Mostowskich prawie po roku od pamięt-
nych imienin. Johny był wezwany kilka dni wcześniej, i to właśnie on

mnie zdradził. Podeszli go jak szczeniaka. Wyprowadził się z akademika po tym, jak wymówiłem mu lokum. Ja się ożeniłem, on dostał jakąś pracę i spotykaliśmy się coraz rzadziej. Któryś z uczestników imienin, wcześniej magłowany, podczas przesłuchania puścił farbę. Oficer śledczy zapytał go:

– Zna pan Johnego?

– Znam.

– A jak ma na nazwisko? – indagował dalej śledczy.

– Nie wiem.

– A może ma pan do niego telefon?

I tu facet wpadł, bo odpowiedział twierdząco.

Dalej sprawa potoczyła się wartko. Oficer zadzwonił pod podany numer i powiedział:

– Dzień dobry, poproszę Johnego.

– Johnny – krzyknął odbierający. Telefon do ciebie.

– Dzień dobry, Johnny, tu Służba Bezpieczeństwa – usłyszał trafiony zawodnik.

Przerażony nieszczęśnik dowiedział się, że ma się stawić w Pałacu Mostowskich. I tam wszystko wyśpiewał. Także o mnie. A na koniec podpisał współpracę z SB! Nie mogę jednak winić kolegi, bo miał piekielnie ciężką sytuację. Ale od początku. . .

Johnny, waletując u mnie, nie miał stałej pracy i często przymierał głodem. Wpadł wtedy na pomysł, aby fałszować „numerki” na obiad. Była to odkrywczwa metoda na głód. Talony na śniadania, obiady i kolacje były drukowane na paskach papieru, każdy w innym kolorze. Odcinało się lub odrywało wąski pasek, na którym był wypisany symbol posiłku, np. „O” – obiad oraz data, np. 29.X. Wystarczyło wypisać tużem na pozostałości takiego arkusza odpowiedni symbol z datą i można było zjeść obiad, pełnowartościowy posiłek. Głodny Johnny, któremu z posiłków przynosiliśmy tylko chleb, któregoś dnia się wkurzył i tak właśnie zrobił. Po prostu wykorzystał swoje umiejętności nabyte podczas ćwiczeń z rysunku technicznego. No i się zaczęło. Stopniowo zaczął

falszować wszystko, co się dało i to domowym sposobem. A dawało się sporo. Zaczął od podrabiania stempli do legitymacji studenckich, wstawianych przez dziekanat po pomyślnym zakończeniu sesji egzaminacyjnej na koniec każdego semestru. Taki stempelek uprawniał do zniżki w komunikacji miejskiej i kolejowej. Stempelki robił przy użyciu zwykłej gumki „myszki” do wycierania pisma ołówkowego. Wymagało to dużej cierpliwości i wprawy, bo wszystkie literki i znaki trzeba było wycinać żyletką i w dodatku „do góry nogami”. Ale Johnny miał dużo czasu i po wielu nieudanych próbach nabył odpowiedniej wprawy. Wykonany prawidłowo fałszywy stempel zwilżało się tuszem odpowiedniego koloru i przykładało do legitymacji. Potem „Wielki Fałszerz” – jak siebie z dumą nazywał – nabrał pewności siebie i zaczął podrabiać inne dokumenty. Oczywiście, za odpowiednią opłatą. Za fałszywy meldunek warszawski w dowodzie osobistym, umożliwiający np. podjęcie pracy, płacono się chyba sporo. Zwłaszcza że nie sposób było na pierwszy rzut oka odróżnić pieczętki fałszywej od normalnej. Taki gość w czasie okupacji byłby pewnie bohaterem, ale normalnie jest karalne. Musiał jednak z czegoś żyć...

Wróćmy do przesłuchiwania mnie w Pałacu Mostowskich. Minął prawie rok od imienin i byłem pewien, że sprawa uległa przedawnieniu. Nagle dostaję wezwanie z Pałacu. Dopadli mnie, pomyślałem. Stawiłem się w ustalonym terminie, ale nie czułem jakoś strachu, raczej lekką ciekawość. Przywitał mnie wysoki, przystojny brunet przed trzydziestką.

– My się chyba znamy – rzucił z uśmiechem, podając rękę na przywitanie.

– Nie przypominam sobie – bąknąłem zaskoczony.

Oczywiście, pamiętałem go, bo często snuł się po naszym wydziale. Myślałem, że jest studentem starszego roku, grzecznie się mu więc kłaniałem, a on uśmiechał się po przyjacielsku, i tyle.

Zaproponował, żebyśmy usiadł. Sprawdził moją tożsamość i sam rozsiadł się na krześle.

– Co pan robił 30 kwietnia ubiegłego roku około godziny osiemnastej? – zapytał z uśmiechem.

– A co pan robił 10 sierpnia zeszłego roku o godzinie dwudziestej? – odbiłem piłeczkę.

– Nie pamiętam! – rzekł zaskoczony. – Ale chwileczkę, to ja pana pytam – dorzucił po chwili konsternacji.

Przestał się już uśmiechać i wyprostował się na krześle.

– Ja też nie pamiętam – odrzekłem radośnie.

– To ja panu przypomnę. Był pan na demonstracji antyrządowej.

– Nie przypominam sobie żadnej demonstracji – odrzekłem zgodnie z prawdą.

– Nie? – Facet się zerwał i podsunął mi zdjęcie naszej grupy przed budką z piwem. Omal nie parsknąłem śmiechem, gdy zobaczyłem siebie w przebraniu i z piwem w ręku.

– To picie piwa uważa pan za demonstrację antyrządową? – zapytałem rozbawiony.

No i zaczął się ping-pong. Zręcznie odbijałem piłeczkę aż do momentu, gdy zapytał o Johnego.

– Zna pan Johnego?

– Znam.

– A jak się nazywa?

– Johny – odpowiedziałem bezczelnie.

Chyba go wkurzyłem.

– Nie zna pan nazwiska człowieka, z którym chodził do jednej grupy? – zapytał, pochylając się nade mną.

– To było dawno, kilka lat temu. A poza tym nie musiałem używać jego nazwiska.

– To nie zna pan nazwiska człowieka, który waletował u pana przez następne trzy lata? – rzucił wściekle.

Szlag by to trafił, wyszedłem w tym momencie na durnia. Gdyby Johny mnie uprzedził, to gadałbym inaczej. Oficer zaczął następnie pytać o szczegóły dotyczące ulotki.

-
- A jak pan myśli, kto mógł zrobić tę ulotkę? – podpuścił mnie.
 - Nie wiem, ale na pewno nie studenci – odrzekłem zdecydowanie.
 - A dlaczego?
 - Bo jest sformułowana zbyt naiwnie. A poza tym studenci są negatywnie bierni – stwierdziłem.

Dokładnie pamiętam to sformułowanie – negatywnie bierni – bo oddawało chyba istotę zjawiska.

Oficer podniósł brwi, wytłumaczyłem mu, co mam na myśli.

– Bo zdaje się im, że nie ma sensu porywać się z motyką na słońce – wydałem opinię.

Po chwili wahania esbek zrezygnował z dalszego maglowania mnie. Podpisałem tylko zeznanie i oświadczenie, że zachowam wszystko w tajemnicy i zadowolony z siebie opuściłem siedzibę warszawskiej Milicji. Chyba się dobrze spisałem, bo oficer nie zaproponował mi roli donosiiciela. Traf chciał, że tuż po przybyciu do akademika natknąłem się na Johnego, który na mój widok usiłował dać nogę.

– Cześć Johnny, właśnie wracam z przesłuchania – przywitałem go radośnie.

– Cześć – mruknął. – Ja też byłem na przesłuchaniu – wymamrotał wyraźnie zmieszany.

– Kiedy? I dlaczego mi nic nie powiedziałaś? – wykrzyknąłem.

– A, bo nie zdążyłem, byłem przedwczoraj – bąknął pod nosem.

– No to przez ciebie wyszedłem na durnia. Nawet nie podałem twego nazwiska, gdy mnie śledczy o to spytał.

– Przepraszam, głupio wyszło. Ale ja musiałem wszystko wyśpiewać. Mieli na mnie haka. Zagrozili mi więzieniem za fałszowanie dokumentów.

– Jak to? A skąd wiedzieli? – zarzuciłem go pytaniami.

– Też nie wiem. Powiedzieli, że o tym wiedzą, ale to ich nie obchodzi. Fałszowanie dokumentów to jest sprawa kryminalna, to nie ich resort. I kazali wybierać – albo parę lat kibla, albo wszystko powiem, a wtedy zapomną o podrabianiu dokumentów.

– No tak, nie miałeś wyboru – rzekłem ze współczuciem. – Chodź na piwo, to mi to opowiesz dokładnie – zaproponowałem mu, umierając z ciekawości.

Przy okazji chciałem mu opowiedzieć ze szczegółami o przesłuchaniu i pochwalić się, jak sobie poradziłem z oficerem śledczym.

– Niestety, śpieszę się, muszę już iść – podał pospiesznie rękę, nie spoglądając mi w oczy.

I tak zakończyły się moje kontakty z serdecznym kolegą. Dopiero wiele lat później zrozumiałem, co było tego przyczyną. Doszedłem do tego, studiując listę Wildsztajna, w której znalazłem jego nazwisko. Johnny rozpoczął współpracę z SB. Kurcze, gdyby mi powiedział, to bym go rozumiał – chłopak ratował się przed więzieniem. Przecież zawsze rozumieliśmy się doskonale i obaj byliśmy „anty”. Ale cóż, takie jest życie. Traciłem kolejno kolegów. Większość była wyrzucana ze studiów. Józek wyjechał do Wrocławia i nasz kontakt stał się sporadyczny. W tym samym roku co ja, w grudniu, ożenił się. Nawet byłem świadkiem na jego ślubie. Pojechaliśmy do Wrocławia z Jezem, mimo że panowała tam kwarantanna z powodu jakiejś tropikalnej choroby, bodajże czarnej ospy. Przyrzekliśmy sobie, że dla profilaktyki będziemy na weselu pić tylko wódkę i to w dużej ilości. Ania, żona mojego najbliższego przyjaciela, studentka ekonomii, była piękną, pełną uroku blondynką z zielonymi oczyma. Wróżyłem im szczęśliwe życie, ale niestety los chciał inaczej. Mnie też czekały niespodzianki.

10. Obozy wojskowe

LEGIA CUDZOZIEMSKA", CZYLI OBÓZ WOJSKOWY W RZESZOWIE. Pierwszy z lewej – Darek, drugi od prawej – szeregowiec „Szuflada”. Autor i inicjator sceny jest na służbie i robi zdjęcie

Parę miesięcy po ślubie Krecia zaszła w ciążę. Dowiedzieliśmy się o tym podczas seansu w kinie „Śląsk”. Dziewczyna dostała takich mdłości, że musieliśmy wyjść z filmu „Pożegnania z bronią” opowiadającego o losach Hemingwaya w czasie pierwszej wojny światowej podczas walk w Dolomitach. Wkrótce, ku naszej radości, dostała osobny pokój, coraz częściej więc nocowałem w bursie. Oczywiście, zameldowanie mnie tam nie wchodziło w rachubę z powodu surowych przepisów meldunkowych, ale portierzy przymykali oczy na moją obecność. Byłem już na czwartym roku i świadomość, że będę ojcem zdopingowała mnie do nauki. Koniec zabawy. W lipcu miał być poród. Letnią sesję zaliczyłem jak nigdy w czerwcu, a egzaminy były bardzo ciężkie, specjalistyczne, tuż przed pracą dyplomową. Zdałem wszystkie na ocenę dobrą. Koledzy się dziwili, Ja też byłem zdumiony, że mnie na to stać. Widocznie można.

W lipcu miałem jechać na obóz wojskowy do Mrzeżyna. Tuż przed wyjazdem zachorowałem na anginę. Przyczyną było, jak przypuszczam, wypicie zimnej wody sodowej z ulicznego saturatora. Był piekielny upał i wypiliśmy wodę duszkiem. Po paru godzinach byłem

załatwiony, gorączka ponad czterdzieści stopni. Mój wyjazd stał się problematyczny. Krecia ratowała mnie przed dalszym wzrostem temperatury, stosując okładanie ciała wilgotnymi ręcznikami. Zapamiętałem tę metodę i po kilkudziesięciu latach zastosowałem ją na spływie, ratując życie młodszego syna. Wyciągnęła mnie z gorączki, choć nadal czułem się źle. Wyjazd w tym momencie był dla mnie konieczny, inaczej musiałbym go zaliczyć podczas robienia dyplomu i straciłbym okazję odbycia woja z dobrze znanymi kolegami. Razem łatwiej było przejść przez różne obozowe niespodzianki. Pamiętałem jeszcze dobrze obóz wojskowy po drugim roku studiów.

Z racji kierunku studiów naszą specjalnością były wojska samochodowe. Pierwszy obóz odbywał się w Rzeszowie, w batalionie naprawy silników. Mieszkaliśmy w namiotach na terenie jednostki. Tam przeszliśmy przez małe piekielko. Przez pierwsze dwa tygodnie byliśmy rekrutami przed przysięgą i zostaliśmy wydani w ręce kaprali służby zasadniczej, którzy pełnili role dowódców plutonów. Kaprale gnębili nas za upokorzenia, jakie przeszli sami podczas odbywania służby wojskowej. Było to tak zwane zjawisko „fali”, nie było żartów. Wprawdzie na obóz pojechali z nami oficerowie ze Studium Wojskowego, ale prowadzili tylko wykłady specjalistyczne i nie bardzo się nami interesowali. Przypuszczam, że specjalnie chcieli nam dać próbkę „prawdziwego woja”. Za to kaprale „opiekowali” się nami nazbyt troskliwie, i to od pobudki do capstrzyku. Nasz kapral, którego przezywaliśmy „Lewy” (to skrót od nazwiska), próbował nas upokarzać bez końca.

– Pluton, przed namiotami w dwuszeregu zbiórka! – padała nagle komenda.

Wypadaliśmy błyskawicznie przed namiot, a kapral odwrócony plecami do ustawiających się liczył:

– Raaaz, dwaaz, trzy. Baczność!

Na komendę „baczność” pluton nieruchomiał. Lewy odwracał się do nas twarzą i wtedy można było wyłapać spóźnialskich, którzy nie zdążyli ustawić się w szeregu.



„Legia Cudzoziemska”, czyli obóz wojskowy w Rzeszowie. Pierwszy z lewej – Darek, drugi od prawej – szeregowiec „Szuflada”. Autor i inicjator sceny jest na służbie i robi zdjęcie

– Wasze nazwisko?

– Dwoch.

– Pluton! Za Dwocha do namiotów rozejść się!

Ta zabawa mogła trwać dowolnie długo. W normalnym woju spóźnialscy mogliby dostać manto. I pewnie dostawali. Ale nie u nas, gdzie wszyscy znaliśmy się od ładnych paru lat. Stanowiliśmy monolit i często robiliśmy kaprała w konia, spóźnialscy i inni figlarze byli więc nie tylko traktowani przez ogół pobłażliwie, lecz także stawali się bohaterami. Wzorem był dla nas sławetny czeski wojak Szwejk i to stwierdzenie chyba najlepiej oddaje naszą postawę.

Mieliśmy wysokiej klasy szkolenia z budowy i remontu samochodów i na tym koncentrowaliśmy swoją uwagę. Poza tym nie byliśmy młodym wojskiem. Mieliśmy však za sobą dwa lata Studium Wojskowego w każdą środę tygodnia, co oznaczało około 72 dni wojska. Podczas zajęć studium, oprócz spotkań specjalistycznych, związanych z kierunkiem

studiów, mieliśmy musztrę, terenoznawstwo, regulaminy, taktykę itd. Tu warto wspomnieć o fantastycznym wyposażeniu studium w pomoce dydaktyczne. Na korytarzu i w salach wykładowych znajdowały się doskonałe plansze, na których klarownie pokazano schematy poszczególnych układów pojazdów oraz przekroje mechanizmów samochodowych. Jeżeli chodzi o musztrę, taktykę regulaminy itp., to w zasadzie każdy z nas mógł z powodzeniem zastąpić kaprała w jego roli. Usiłowania naszego „ciemniziela” zasługują jednak na chwilę uwagi, ponieważ przybierały coraz bardziej perfidne formy. Oto parę przykładów.

Spaliśmy, jak już wspomniałem, w namiotach wojskowych. W każdym mieścił się chyba jeden pluton, czyli dwadzieścia cztery prycze, na których leżały sienniki wypchane słomą. Codziennie po pobudce o godzinie szóstej następowała tzw. zaprawa poranna, polegająca najczęściej na odbyciu biegu w krótkich majtkach i butach wojskowych zakładanych na tzw. onuce, czyli czworokątne bawełniane kawałki materiału używane powszechnie przez wojska sowieckie i polskie w czasie drugiej wojny światowej i – jak się okazuje – także długo po wojnie. Zastępowały one skarpety. Podczas biegu źle założone onuce powodowały obtarcie wszystkich możliwych części stóp, zwłaszcza pięt, ale to już była prywatna sprawa każdego żołnierza, bo takie drobiazgi nie kwalifikowały się do zwolnienia z odbywania zajęć. Oczywiście, każdy inteligentny człowiek, a za takich słusznie się uważaliśmy, natychmiast zamieniał onuce na normalne grube skarpety, które można było nabyć w kantynie oficerskiej. Było to surowo karane, ponieważ skarpety mógł nosić tylko oficer, ale my jako przyszli oficerowie, czyli żołnierze noszący buławy marszałkowskie w plecaku, nie przejmowaliśmy się takimi drobiazgami. Kary za zastępowanie onuc skarpetami, a także za inne przewinienia, jak np. nieregulaminowe ścielenie prycze (prycze musiały być zaścielane w tzw. kostkę, co przy siennikach ze słomą nie było proste), były różne. Do najczęściej stosowanych należało sprzątnanie rejonu, co nie było zbyt dotkliwe, ale czyszczenie latryn było już przykrą karą. Sprytni

żołnierze – studenci, przyszli marszałkowie, wycinali sobie białe taśmy z tych onuc i wiązali je na nogach, żeby zamaskować używanie skarpetek. Ja podpadłem za skarpetki już pierwszego dnia, bo jako stary turysta przezornie zabrałem je z domu, ale się nie zamaskowałem. Często byłem karany za takie drobiazgi jak nieoddawanie honoru przez salutowanie starszym szarżą, czyli praktycznie wszystkim, bo byłem szeregowym. Jak miałem oddawać ten honor, salutując do „pustej” głowy (co było zabronione)? Chodziłem zazwyczaj bez czapki – nosiłem ją w ręku bądź wsadzałem za tzw. ogólnowojskowy pas, trzymając przy tym ręce w kieszeniach wojskowych spodni. Za karę musiałem np. zaszywać kieszenie w ciągu kilku minut, co wcale nie było takie proste, bo przecież nie miałem pod ręką ani igły, ani nici. Najczęściej jednak za karę grywałem na akordeonie, który przywiozłem ze sobą na obóz. Miało to miejsce zazwyczaj po apelu wieczornym, tuż przed capstrzykiem. Wtedy siadywaliśmy wszyscy wokół okrągłych piaskownic, zwanych palarniami, i przy papierosku oraz muzyce nasz kapral stawał się bardziej ludzki. Ale nie na długo. Po okrzyku „capstrzyk”, ogłaszany przez dyżurną wartę o godzinie dwudziestej drugiej, kładliśmy się do „łózek” i następowała tzw. cisza nocna.

Pewnego razu kapral „Lewy” stanął u wejściu do namiotu i powiedział życzliwym głosem:

- Dobranoc wojsku.
- Dobranoc – odpowiedzieli naiwnie ci najlepiej wychowani.
- I zaczął się koszmarny.
- Co, wojsko nie śpi? Przed namiotem w dwuszeregu zbiórka.
- Raaz, dwa, trzy. Bacność!

Powstał totalny rozgardiasz, bo nie wiedzieliśmy, w jakim stroju mamy stawić się na zbiórkę. Część usiłowała wkładać buty bez onuc, inni nakładali też fragmenty żołnierskiej odzieży, spodnie, bluzy... Wszystko to odbywało się w totalnej ciemności, bo w namiocie nie było oświetlenia elektrycznego.

– Za spóźnienie do namiotu rozejść się! – padła następna komenda.

Lewy powtarzał komendy o zbiorce tak długo, nim wszyscy zrozumieli, że aby zdążyć, trzeba po prostu stanąć na bosaka w dwuszeregu w ciągu trzech sekund. Ale to nie był koniec zabawy. Gdy wreszcie chłopcy z naszego namiotu ustawili się w dwuszeregu, zarządził:

– Za mną biegiem marsz!

Wyprowadził nas na bosaka aż na plac alarmowy, gdzie stanął i dyrygował:

– Do ściany magazynu i z powrotem biegiem marsz!

Ten dystans należało pokonać możliwie najszybciej, a spóźnialscy byli poddawani kolejnym szykanom typu pompki, przysiady i inne ćwiczenia gimnastyczne. Trwało to dość długo, tak że załatwił nas kompletnie. Gdy zauważył, że gonimy resztką sił, podprowadził nas do umywalni, czyli długiej rynny, wzdłuż której biegła wypełniona wodą rura z nawierconymi otworami pełniącymi rolę swoistych kranów (bez kurków), przy których mieliśmy umyć nogi. Po czym z mokrymi nogami na bosaka zapędził nas do namiotu i nakazał spanie. Za chwilę wszedł z latarką w rękę i zarządził sprawdzanie czystości nóg. Wtedy zabawa powtórzyła się od nowa, czyli – biegiem do umywalni marsz. Jak wyczuł, że za chwilę odbędzie się lincz, łaskawie pozwolił nam zabrać ze sobą ręczniki i buty...

Młodzi, co wy wiecie o wojsku, co wy wiecie o tresurze, którą można złamać najsilniejszego? Można, pod warunkiem, że się jest samotnym. Ale my stanowiliśmy przecież zgrany zespół i znaliśmy się aż za dobrze. Obóz był po drugim roku, co było jeszcze ważne – prawie wszyscy z nas byli weteranami studiów i z niejednego pieca chleb jedli. Metoda, którą zastosował kapral, była skuteczna dla nas tylko raz i mogła być stosowana zapewne wielokrotnie tylko wobec żołnierzy służby zasadniczej. Czego nasz ciemiężca nie przewidział. Któregoś z następnych wieczorów znów stanął po capstrzyku w wejściu do namiotu.

– Dobranoc wojsku.

W odpowiedzi polecały w jego stronę pociski, którymi były uprzednio przygotowane ciężkie wojskowe buty. Jego sylwetka była dobrze widoczna na tle jasnego jeszcze nieba i skuteczność trafień musiała być duża, dotkliwość ciosów również, bo nie potrafił opanować jęków. Wpadł we wściekłość.

– Kurwa wasza mać. W dwuszeregu zbiórka!

– Po capstrzyku wojsko śpi. Odpierdol się! – brzmiała równie uprzejma odpowiedź.

Ale wojna się jeszcze nie skończyła. Na drugi dzień kapral wyprowadził nas podczas musztry na plac alarmowy i zastosował swoją ulubioną metodę:

– Do magazynu i z powrotem biegiem marsz!

Komenda „biegiem marsz” wymaga według regulaminu musztry podniesienia przedramion do poziomu. Ale nikt nie określił, z jaką prędkością należy biec. Zazwyczaj biegnie się za dowódcą. Dla wykonania rozkazu najważniejsze jest jednak trzymanie tych przedramion w poziomie. Ponieważ kapralowi po którejś próbie już nie chciało się biegać, stanął w jednym miejscu i musztrował nas okrzykami. To go zgubiło. Po następnych komendach leniwie potruchtaliśmy we wskazanym kierunku.

– To jest bieg? – darł się wściekle kapral. – Szybciej, bieg widzę!

Wojsko opanowała wesołość, bo stracił nad nami wszelką kontrolę, zwłaszcza że w końcu kompletnie ochrypl.

Walka z naszym katem dopiero się zaczęła. Finał nastąpił po przysiedze. Długo przed przysięgą ćwiczyliśmy przemarsze krokiem defiladowym przed domniemaną trybuną. Na głowach mieliśmy hełmy, a w rękach karabiny. Kompanię, składającą się z dwóch plutonów, prowadził jej dowódca, kapitan Napora, oficer ze studium. Napora był jednym z najwspanialszych cywilów w wojsku. Po skończonych studiach na Wydziale Elektrycznym Politechniki Warszawskiej wziął go przymusem do woja i na naszym studium wykładał elektrykę samochodową. Wspaniałały człowiek z wielkim poczuciem humoru

i znakomity wykładowca. Uwielbialiśmy to, z jakim dystansem odnosi się do wojska. Gdy pełnił jako oficer dyżurny służbę na studium, w kaburze pistoletu nosił zamiast broni... kanapki na drugie śniadanie, co nam niejednokrotnie demonstrował ze śmiechem. To był po prostu nasz człowiek.

Marsze defiladowe trenowaliśmy wielokrotnie. Był upał. Po każdym przemarszu odpoczywaliśmy. Zdejmowaliśmy hełmy i ocieraliśmy twarze z potu. Gdy znów ruszaliśmy, kapitan wydawał komendę w stylu:

– No panowie, zakładać te garnki i naprzód.

Garnki to były w jego rozumieniu hełmy, które za każdym razem nazywał inaczej. Był przy tym bardzo twórczy i ciekawiło nas, co jeszcze wymyśli. Były więc: kapelusze, cylindry, berety, rondle, patelnie, miski, nocniki...

W miarę rosnącego zmęczenia nazwy naszych bojowych nakryć głowy stawały się coraz bardziej wulgarne. Nasz przemarsz krokiem defiladowym oceniał surowy sędzia, major (lub może już wtedy pułkownik) – Rożański, dowódca naszego obozu.

Rożański, też oficer ze studium, był żołnierzem z krwi i kości, frontowcem, mającym za sobą szlak bojowy, być może od Lenino do Berlina. Na studium uczył nas terenoznawstwa i był przy tym bardzo wymagający. Miał sportową sylwetkę, energiczny krok i był – jak się okazało – świetnym sprinterem. Prowadząc z nami zajęcia na Polach Mokotowskich, zaproponował nam pewnego razu wyścig na dystansie około dwustu metrów.

– Będę biec w płaszczu, jeżeli ktoś mnie pokona, dostanie piątkę z moich zajęć.

I co? Wygrywał z nami, jak chciał, mimo że miał wtedy około pięćdziesięciu lat, a więc był co najmniej trzydzieści lat od nas starszy. Był rasowym oficerem w każdym calu. Nawet ziewał lub przeciągał się według regulaminu, jak śmiał się Johny, który też uczestniczył w obozie. Mam takie zdjęcie, na którym major stoi podczas przerwy w manewrach

obok gazika i się przeciąga. Ma jedną rękę wyprostowaną w łokciu i wyciągniętą równoległe do ziemi, a w drugiej, zgiętej pod kątem prostym, trzyma czapkę. Piękny przykład oficera! Mam wrażenie, że ta piosenka o zuchu w żołnierskim mundurze jest właśnie o Różalskim:

*Ten, co go nosi, jest zuch nad zuchy.
Twarz ma wesołą, sprężyste ruchy.
Wie, co ma czynić, do czego zmierza.
Bo pod mundurem serce żołnierza.*

Różalski przed przysięgą ćwiczył z nami chwyt bronią:

– Bacność! Na ramię broń! Prezentuj broń! Do nogi broń!

Powtarzaliśmy te ćwiczenia wielokrotnie, ponieważ poszczególne komendy musiały być wykonywane równocześnie i energicznie – co było słycać przy uderzeniu dłonią o karabin. Szczególnie istotne było na zakończenie uderzenie kolbą karabinu o ziemię. Major pokazywał, jak to się robi. Oczywiście, wychodziło mu fantastycznie. Podziwialiśmy precyzję i dynamikę jego ruchów.

– Żołnierze, nie będziemy się pierdaczyć! – to był jego ulubiony zwrot.

– Żołnierze, jeżeli ktoś przy komendzie: „Do nogi broń” złamie kolbę, ma u mnie piątkę – powtarzał.

Nic więc dziwnego, że się staraliśmy.

– Do nogi broń!

Rozlegał się seryjny stukot kolb uderzanych o ziemię.

– Jak rozpruty worek! – komentował major.

Ćwiczenia trwały tak długo, aż opanowaliśmy sztukę prezentacji broni i śmiało mogliśmy zastępować kompanię reprezentacyjną Wojska Polskiego. Binokle majora lśniły z zadowolenia. Nikt nie złamał kolby, chociaż bardzo się staraliśmy.

Po przysiędze odbył się wystawny żołnierski obiad. Siedzieliśmy razem z oficerami. Nie brakło również kilkunastu butelek wódki. Po

obiedzie puszczone nas na przepustkę do miasta. Tam spotkaliśmy naszego kaprała. Starał się nas ominąć, lecz to mu nie udało. Zaciągnęliśmy go do jakiejś bramy. Cały drżał ze strachu:

– Panowie, puśćcie mnie, ja za miesiąc idę do cywila – skamlał.

– Słuchaj kochany, my wiemy, że mieszkasz w Warszawie na Ochocie. My też stamtąd jesteście i mamy twój adres. Uspokój się, bo inaczej po powrocie do domów znajdziemy cię!

I tak mieliśmy kaprała z głowy. Kiedyś, chyba przez roztargnienie, sprawdzał, czy mamy mocno zapięte pasy. Kazał nam stanąć na baczność i próbował, czy pasy się nie skręca. Oczywiście, jeśli użyje się odpowiedniej siły, zawsze można udowodnić, że pas zapięty jest zbyt luźno. Rożański to zauważył.

– Kapralu, przy rozmowie z moimi żołnierzami zachowajcie regu-
laminowy dystans. Minimum trzy kroki – powiedział dobitnie.

Zrobił to w naszej obecności, porażka Lewego była więc większa, a my do końca obozu mieliśmy zapewniony spokój. Gorzej wyglądała sytuacja w drugiej kompanii, gdzie byli koledzy ze specjalności samochodowej. Rządził u nich kapral Bury. Jego zachowanie znakomicie opisuje dowcip o kapralu, który odbywa pierwszą zbiórkę z rekrutami:

– Żołnierze, od dziś jestem waszym ojcem i waszą matką. Kurwa wasza mać!

Jak usłyszeliśmy, co wyprawia kapral, mocno się przeraziliśmy. Chłopcy z kompanii samochodowej płakali czasem bezsilni ze złości. Brakowało im jednak zgranego kolektynu.

Ale jednego naszych też trafił. Wojtek szedł sobie spokojnie wieczorem do latryny i kiedy mijał Burego nie oddał mu honoru. Był bez czapki, powinien więc przemaszerować koło kaprała krokiem defiladowym, ale odpuścił to sobie. Ten natychmiast zareagował:

– Wasze nazwisko?

– Szeregowiec Szufłada.

Po powrocie Wojtek ze śmiechem powiedział nam to zdarzenie i podkreślił, że podał fałszywe nazwisko. Nie docenił jednak

przeciwnika. Wczesnym rankiem, tuż przed gimnastyką, zdążyłem spieszenie do latryny, gdy usłyszałem głos Burego:

– Szeregowiec Szuflada!

Tłumiąc śmiech, biegłem dalej. Po powrocie do namiotu chciałem przestrzec kolegę, ale już było za późno. Wojtek został zatrzymany i osadzony w areszcie. Mam jego zdjęcie, jak uzbrojeni żołnierze z bagnietami na karabinach prowadzą go między namiotami, bez pasa, do tury.

Wojtek stał się bohaterem, bo obie kompanie skandowały w momencie konwojowania:

– To za Burego. To za Burego. Precz z Burym!

Bury po tym wydarzeniu trochę się uspokoił. Jego kolega, Lewy, opowiedział mu widocznie, z kim zadarł.

Którejś nocy ogłoszono alarm w jednostce i mieliśmy próbę prawdziwego wojska. Uzbrojeni w niezbędne wyposażenie, zapakowane w plecaki wraz z amunicją, z bronią na ramionach, maszerowaliśmy nocą kilometrami w niewiadomym kierunku. Po paru godzinach marszu wiedziałem już, jak można spać, idąc w kolumnie. Szliśmy tak aż do świtu. Musieliśmy przeżyć różne niespodzianki jak ostrzał artyleryjski, atak gazowy, natarcie, przejście do obrony, przegrupowanie i ponowne natarcie. Jakoś daliśmy sobie radę i w nagrodę zrobiono nam wycieczkę samochodową w Bieszczady. Dotarliśmy między innymi do miejsca pod Baligrodem, w którym z rąk Ukraińców zginął generał Świerczewski. Pułkownik Sawicki, niegdyś porucznik, naoczny świadek potyczki, referował nam, jak to się stało. Odczuliśmy powiew historii. Z jego relacji wynikało, że śmierć generała Waltera miała swoje zakulisowe tajemnice.

Z powyższego opisu sytuacji i zdarzeń na obozie wojskowym wynika jasno, jak ważna jest zgrana paczka znajomych. Trudno się więc dziwić, że pomimo choroby na drugi obóz wojskowy zależało mi, aby jechać z kolegami. A krótko przed wyjazdem przyszedł do mnie lekarz, wypisał receptę na lekarstwa i chciał wypisać zwolnienie. Gdy

jednak się dowiedział, że jadę, pokiwał ze współczuciem głową i zakazał kąpieli, a zwłaszcza nurkowania. A przecież Mrzeżyno było znaną miejscowością wypoczynkową nad Bałtykiem. W pociągu do Kołobrzegu panował tłok. Miałem gorączkę, a całą drogę stałem na korytarzu. Poczułem się słabo i zemdlałem. Po chwili się ocknąłem, nie wiedząc, gdzie jestem. Zdziwiłem się na widok wysokich pionowych ścian. Okazało się, że koledzy ułożyli mnie na półce w jednym z przedziałów (uprzednio usunęli z niej bagaże przerażonych pasażerów). Przywiązali mnie paskiem, abym nie spadł i tak dojechałem nad morze. O dziwo, nad morzem poczułem się znacznie lepiej. Do Mrzeżyna dotarłem bez większych niespodzianek. To był poligon składający się z wielu rodzajów broni, w tym także artylerii przeciwlotniczej. Urządzano często strzelania do samolotów ciągnących za sobą specjalne worki treningowe. Wyglądało to malowniczo, a mnie przypominało wojnę i bombardowanie Augustowa. Dowódcą jednostki był major Czapla, którego konikiem były żołnierskie piosenki. Każdy pluton miał swoją ulubioną piosenkę, którą musiał śpiewać przy każdym przemarszu w szyku, przed i po posiłku czy zajęciach. Bardzo mi się to podobało i do dziś brzmią mi w uszach te piosenki – zupełnie jak nagrania z taśmy magnetofonowej – zbliżające się i stopniowo oddalające się dźwięki. Mógłbym je w każdym momencie odtworzyć bez przeszkód. Oto jeden fragment:

*Do cywila, ciągłe me marzenie.
Do cywila chciałbym wreszcie iść.
Chciałbym ujrzeć swą dziewczynę miłą.
I w spokoju z nią nareszcie żyć.*

Piosenka oddawała trafnie marzenia żołnierzy na poligonie.

Lubiłem pomysłowość naszego dowódcy. Major urządzał często konkursy piosenek. Głupio tak się chwalić, ale nasz pluton był w śpiewaniu bezkonkurencyjny. Wszystkie popijawy typu imieniny, urodziny, wypłata

stypendium itd. były obchodzone przy śpiewie. Pewnie była w tym i moja zasługa. Przecież prawie wszędzie jeździłem z akordeonem.

Piosenki towarzyszyły nam wszędzie: podczas ćwiczeń na Polach Mokotowskich, na pierwszym obozie wojskowym i w czasie rajdów turystycznych. Pamiętam, że na pierwszym roku, kiedy mieszkałem w akademiku przy placu Narutowicza, grałem często w pokoju na akordeonie. Akustyka tego miejsca była niezwykła, ponieważ ściany budynku tworzyły zamknięty czworobok, pięćdziesiąt metrów na pięćdziesiąt – wewnętrzne podwórko, zwane studnią. Okno mojego pokoju wychodziło na podwórko, dlatego każdy dźwięk odbijał się od czterech ścian, które działały niczym wzmacniacz. Gdy rzucaliśmy z okna papierową torbę wypełnioną wodą, powstawał hałas przypominający wystrzał armatni. Częsty nasz okrzyk: „Leon!”, zwielokrotniony przez odbite echo, stanowił zachętę do spontanicznego wyrażenia uczuć.

Wieczorami lubiłem sobie pogrywać dla odprężenia. Poczyniałem nieśmiało, bo jak wspominałem, nie byłem mistrzem w grze na akordeonie. Brakowało mi wykształcenia muzycznego. Nadrabiałem słuchem i śpiewem. Dziwne, że te moje skromne występy cieszyły się u mieszkańców studni uznaniem. Wołali:

– Głośniej!

Przyznam się, że to mnie ośmielało i w miarę upływu czasu poczytnałem sobie coraz pewniej. Później nawet stawałem w oknie i dawałem małe koncerty. Nagradzane były brawami i okrzykami:

– Jeszcze!

Moje potknięcia maskowane były przez wspaniałą akustykę miejsca. Przy tym i słuchacze nie byli zbyt wymagający, głównie jak ja – chłopcy pochodzący z małych miasteczek i wsi wschodniej Polski. Na pewno nie było wśród nich facetów jak Andrzej Wróblewski – „Ibis”. Ten znany krytyk muzyczny nie przyznał nagrody Januszowi Laskowskiemu za „Kolorowe jarmarki”. Na szczęście wtedy publiczność miała inne zdanie. W moim przypadku głos publiczności również był priorytetowy.

Na obóz w Mrzeżynie nie przywiozłem akordeonu z powodu choroby. Ale Opatrzność czuwała. Już na początku pobytu przyszedł oficer oświatowy z zapytaniem, kto gra na instrumentach muzycznych. Okazało się, że na terenie jednostki istnieje Wojskowy Dom Wypoczynkowy, w którym przebywa bardzo liczna grupa wczasowiczów – rodzin oficerów oraz działa kasyno, a w nim trzy razy w tygodniu mają miejsce dancingi. Miejskowa orkiestra wojskowa właśnie otrzymała miesięczny urlop – w lipcu, kiedy ludzie chcą się bawić. Zgłosiłem się na ochotnika razem z Darkiem, moim kolegą, słynącym z finezyjnych dowcipów. W porównaniu ze mną był prawdziwym wirtuozem gry na akordeonie. Skończył chyba nawet szkołę muzyczną. Grał też na pianinie. Tak się zaczęło. Graliśmy na zmianę, czasem występowałem także z gitarą, bo już zdążyłem jako tako opanować ten instrument. Moja przewaga nad Darkiem – mistrzem standardów jazowych – polegała na tym, że śpiewałem i umiałem akompaniować do spontanicznego śpiewu wczasowiczów, co nie było takie proste. Ludzie po szkole muzycznej muszą wiedzieć, w jakiej tonacji grają, ja niekoniecznie, wystarczał mi słuch, żeby błyskawicznie zagrać melodię we właściwej tonacji. Po dobrej rozgrzewce lubiłem wychodzić z akordeonem lub gitarą na środek parkietu i śpiewać razem z tańczącymi lub biesiadującymi przy stolikach gośćmi. To się wszystkim podobało.

Trzy wieczory w tygodniu spędzaliśmy na granii. Zabawy kończyły się około trzeciej w nocy. Do tego każdy chciał się napić z orkiestrą. Jakoś na szczęście wywalczyliśmy sobie spanie do południa.

Kiedy wyjechaliśmy na zabawę do ośrodka górniczego. Ponieważ impreza zorganizowana była pod hasłem: „Lud z wojskiem, wojsko z ludem”, razem z nami, muzykami, udało się liczne grono oficerów wraz z żonami i pełnoletnimi dziećmi. Wszyscy jechali samochodami. Było całkiem miło, dopóki górnicy się nie napili. Nie wiem, co było przyczyną nieporozumienia, ale podczas ostrej dyskusji jeden ze Ślązaków uderzył naszego Czapłę. Czapka spadła mu z głowy, a wtedy zrobiło się nieciekawie. Zadzwoniono po pluton alarmowy, który przybył w pełnym uzbrojeniu.

Do domu odjechaliśmy pod automatami. Szkoda, bo zapowiadała się całonocna zabawa i miałem już upatrzone partnerki do tańca.

Ten obóz bardzo mi się podobał, nie tylko ze względu na balangi trzy razy w tygodniu. Odbywaliśmy intensywne treningi w prowadzeniu samochodów. Studium kończyło się zdobyciem zawodowego prawa jazdy trzeciej kategorii. Zaczynaliśmy w Warszawie. Jeździliśmy wszystkimi możliwymi pojazdami osobowymi, a także amerykańskimi jeepami, willysami i gazikami rosyjskimi. Wozy amerykańskie były bardzo lekkie i miały przy tym małe opory ruchu – po odjęciu gazu toczyły się dłużej, rosyjskie natomiast po zdjęciu nogi z gazu wymuszały na kierowcy automatyczny pokłon w kierunku przedniej szyby. Na poligonie jeździliśmy przeważnie samochodami ciężarowymi, rosyjskimi zisami 150, 151, polskimi starami i lublinami. Najbardziej pasjonujące były jazdy po wertepach i w lesie między drzewami. Ćwiczyliśmy też na motocyklach z przyczepami i solo. Przygotowywano nas do zawodu bardzo rzetelnie, co nieraz przydało się nam później w życiu.

Wypada wspomnieć o kąpieli w morzu. Wbrew zdrowemu rozsądkowi mieliśmy ku temu zaledwie kilka okazji. Pierwsza przydarzyła się krótko po przyjeździe. Później nastąpiła wyjątkowo długa przerwa, spowodowana być może tym, że niektórzy z nas wy pływali daleko w morze, a na plaży nie było ratowników. Żaden przełożony nie chciał brać odpowiedzialności za ewentualny wypadek. Czas biegł, pogoda była wspaniała, a na plażę nie chodziliśmy – musieliśmy wreszcie wziąć sprawy w swoje ręce. Od plaży odgradzał nas szlaban z wartownikami, którzy nie przepuszczali pojedynczych żołnierzy bez stosownych przepustek. Ale pododdziały w szyku zwartym pod dowództwem podoficerów przechodziły bez problemów. Poszliśmy po południu w szyku zwartym nad upragnione morze. Warta przepuściła nas bez żadnych formalności. Pech jednak chciał, że akurat wtedy ogłoszono alarm w garnizonie – jedyny alarm dzienny podczas całego pobytu – a tu kilku z nas było już daleko w morzu. Nim do płynęliśmy do brzegu, grupa panikarzy tłoczyła się tuż przed szlabanem. Jedyłą honorową

drogą było wejście na teren zwartą grupą, czyli w szyku. Warta przepuściła nas z szelmowskimi uśmiechami. Chłopcy doskonale wiedzieli, co jest grane. Wchodzimy na olbrzymi plac alarmowy i ogarnia nas trwoga: stoi tam cały olbrzymi garnizon, kilkadziesiąt plutonów wojska. Tylko nasze miejsce jest puste.

– Panowie, nie będziemy się pierdaczyć, proponuję śpiew od czoła – krzyknąłem.

To było, jak się okazało, trafne wyjście. Chyba tak ładnie i głośno nie śpiewaliśmy nigdy:

Gdy idziemy na przepustkę, to pogoda musi być.

Jak w tysiącu jasnych luster – tak Mrzeżyno w słońcu lśni.

Załatwiono to odgórnie, że nie może być pochmurnie.

Gdy żołnierze, gdy żołnierze wolne mają dni.

Wtedy udowodniliśmy, że naprawdę jesteśmy dobrzy w żołnierskim śpiewie. Ale stawka była wysoka, bo za samowolne opuszczenie koszar można było kiblować wiele dni w areszcie... już po odbyciu obozu. Stąd był właśnie ten pomysł – rozbrojenia dowódcy za pomocą śpiewu. Doszliśmy, śpiewając, do naszego stałego miejsca na placu. Nasz kolega, pełniący samowłańczo funkcję dowódcy, zachował się wzorowo. Pluton zgodnie z jego komendami wykonał na koniec wspaniały krok defiladowy i stanął w dwuszeregu na swoim miejscu. Zapadła cisza. Ze środka placu zbliżał się do nas niespiesznie major Czaplą. W milczeniu przedefilował przed dwuszeregiem. Kilkadziesiąt par oczu wpatrywało bacznie się w twarz dowódcy. W końcu przemówił:

– Żołnierze! Za samowolne opuszczenie jednostki – tydzień ZOK-u!

Niektórzy aż jęknęli, gdyż była to dotkliwa kara oznaczająca siedmiodobowy dyżur pod bronią, sprzątanie koszar, w tym latryn, rozmaite prace pomocnicze, zwłaszcza obieranie ziemniaków (dla całego garnizonu!), a przede wszystkim konieczność natychmiastowego stawienia się w pełnym umundurowaniu i oporządzeniu na sygnał alarmu.

Zapadła nieprzyjemna cisza. Zrobiło się nam markotnie na duszy, ale major uśmiechnął się i dodał:

– A za żołnierski przemarsz ze śpiewem daruję wam większość kary. Jeden dzień ZOK-u.

Któregoś dnia dowództwo przypomniało, że jesteśmy nad morzem i zabrano nas na wycieczkę statkiem po Bałtyku. Start i meta były w Kołobrzegu. Oprócz naszej kompanii na statku płynęło też sporo cywilnych pasażerów. Wypływaliśmy z portu przy spokojnej pogodzie i nic nie zapowiadało dalszych przygód. Wkrótce znudziło się nam patrzeć na lazur morza i w dobranej grupie zeszedliśmy niżej – do baru, gdzie serwowano piwo. Była nas kiluosobowa zgrana paczka; razem jeździliśmy na majowe rajdy studenckie w Góry Świętokrzyskie, byliśmy na obozie narciarskim.

Chciałbym w tym miejscu przedstawić Irka. Poznałem go dwa lata wcześniej. Przybył do naszej grupy z Jelonek. Na rajdzie świętokrzyskim trochę pobłądziliśmy i trafiliśmy na jakąś rzeczkę. Ani śladu mostu. Na to Irek:

– Forsujemy rzekę.

– No, ale się zamoczymy – ktoś zaoponował.

– Nie szkodzi. Na żołnierzu schnie najlepiej – odrzekł uśmiechnięty Irek, stojąc już w wodzie powyżej kolan.

Bardzo mi się to spodobało, a tego powiedzenia używam chętnie w różnych krytycznych chwilach.

Na narty pojechaliśmy do schroniska na Klimczoku koło Szczyrku, gdzie sprawdziliśmy się w boju. Tuż po przyjeździe, podczas gdy niektórzy odpoczywali po całonocnej podróży pociągami, pozostali podjęli próbę zjechaania na dół – do Szczyrku. Byłem wtedy pierwszy raz na nartach w górach; ciągnęło mnie w plener, a Irek dobrze znający okolice też chciał się przewietrzyć. Panowała zima stulecia (1963 rok) i śniegu było co niemiara. Jechaliśmy nieprzetartą turystyczną trasą, a nie narciarską. Póki było płasko, wszystko grało, mimo że narty głęboko zapadały się w kopny śnieg. Przy jeździe z góry, przy skręcie, następował zaś

najczęściej upadek. W zasadzie to najbardziej zapamiętałem upadki, liczyłem. Było ich trzynaście. Po którymś z nich tak mnie pokręciło, że nie wiedziałem, gdzie mam ręce, a gdzie nogi. W tamtych czasach narty się nie wypinały i gdyby nie pomoc kolegi, to w tym gordyjskim węźle zostałbym pewnie na zawsze. Kolega był zdecydowanie lepszy w jeździe na nartach; urodził się na Śląsku. Upadł tylko siedem razy. Gdy tak bawiliśmy się w bańki – wstańki, przemknęła obok nas grupka narciarzy za nic mająca ciężkie warunki. Przejechali obok tak płynnie i bez najmniejszych trudności, że do reszty nas to dobiło. Tym bardziej, że w grupie zauważyliśmy dwie sprawne dziewczyny. Spojrzeliśmy wtedy po sobie. Przy pierwszej lepszej okazji, gdy pracowaliśmy razem w Ursusie, zapisaliśmy się na kurs narciarski na Stożku.

Irek nie był zbyt wysoki, ale przystojny i o twarzy amanta filmowego. Był bardzo muzykalny. Grał bardzo dobrze na gitarze. Nieźle nam się śpiewało w duecie. Przy jego szarmanckim sposobie bycia miał wielkie wzięcie u kobiet. Jego wizytówką był uśmiech, niemal stale goszczący na jego twarzy. Nawet w poważnych chwilach potrafił się uśmiechnąć. Miał przez to niekiedy kłopoty, zwłaszcza podczas Studium Wojskowego. Pewnego dnia staliśmy razem na zajęciach z taktyki.

– Szeregowy, dlaczego się śmiejecie? – spytał go kapitan Płaza.

– Ja się nie śmieję, ja mam taki wyraz twarzy, obywatelu kapitanie – odpowiadał Irek, a jego twarz stawała się przy tym jeszcze bardziej pogodna.

Kapitan, stary frontowiec, którego działko przeciwpancerne kalibru 45 milimetrów stało na pomniku gdzieś nad Odrą, wietrzył w tej odpowiedzi jakiś podstęp, dlatego postanowił sprawdzić niebezpieczeństwo starymi żołnierskimi metodami.

– Wasze nazwisko? – spytał, wskazując go palcem.

– Szeregowy Dwoch.

– Szeregowy Dwoch – wystąp!

Irek wystąpił przed szereg. Promienny uśmiech nie opuszczał jego twarzy. Płaza patrzył na niego bacznie spod daszka okutej oficerskiej

czapki. Na daszku tej czapki miał wyrytą podziałkę służącą do określania odległości w tysięcznych, pomocną przy podawaniu komendy do strzału. Nie ma co się śmiać, dzięki takim sposobom kapitan jako celowniczy zniszczył na wojnie parę niemieckich czołgów.

– No więc szeregowy – cedził przez zęby kapitan – jak określicie odległość do znanego celu bez przyrządów celowniczych?

– Za pomocą tysięcznych, obywatelu kapitanie – odpowiedział z promiennym uśmiechem kolega.

– Wstąpcie do szeregu – rzekł z kwaśną miną kapitan.

Podejrzewał podstęp, ale nie wiedział, jakimi metodami może go wybadać.

Na chwilę wybiegnę w przyszłość. Po skończeniu studiów pracowałem z Irkiem w Płocku. Potem w Ursusie. Mieliśmy tam sporo wspólnych przygód. Opisałem je w książce „Kajak i przygoda”.

Trochę zmieniam wątek. Wróćmy do wyprawy po Bałtyku. Wypiliśmy po parę piw i wyszliśmy na pokład. Akurat zaczęło niezłe dmuchać i wiele osób wymiotowało. By nie pójść w ich ślady, znów zeszliliśmy na dół na kolejne piwko.

– Słuchajcie, ja stawiam, bo powinienem już być ojcem – powiedziałem wspaniałomyślnie.

Poszliśmy na całość. Byliśmy już w takim stanie, że zaczęliśmy śpiewać marynarskie i żeglarskie piosenki. Tuż przed wejściem do portu przytomnie wyciągnął nas na pokład dowódca plutonu. Stojąc przy relingu, obserwowaliśmy z ciekawością wejście naszego statku w główki falochronu, co wcale nie było łatwym manewrem przy bocznym wietrze i wzburzonym morzu. Nie wiedziałem jeszcze, że powtórzę to wejście osiemnaście lat później za sterem jachtu w ekstremalnie trudnych warunkach. Parę dni później dostałem telegram, że zostałem ojcem córki, której daliśmy na imię Iwona.

11. Kobiety małe i duże

PO POWROCIE Z OBOZU W... PUDLE PO AKORDEONIE, NA PODŁO-
DZE, SPAŁA ŚLICZNA MALEŃKA KRUSZYŃKA. Ojcem poczułem się
w nocy. Istotka, machająca żwawo rączkami i nóżkami, sapała gło-
śnie i zręcznie zsuwała z siebie kocyk. Usiłowałem ją przykryć, lecz taki
wiatrak czyniony wszystkimi kończynami zupełnie na to nie pozwalał.
Nic dziwnego, był koniec lipca i nawet nocą było gorąco, radziła so-
bie, jak mogła. Taką silną osobowość ma do dzisiaj.

Skoro zostałem ojcem, musiałem zadbać o byt dziecka. Zaraz zaku-
piłem dziecięce łóżeczko z regulowaną podłogą i drewnianymi szczebel-
kami. Te drewniane szczebelki pomagały dziecku wstawać w późniejszym
wieku. Iwonka robiła to bardzo sprawnie. Szybko nauczyła się też wycho-
dzić na zewnątrz łóżka, o czym nie wiedzieliśmy. Kiedyś poszliśmy na chwi-
lę do sąsiadów, zostawiając w pokoju śpiące smacznie maleństwo. Niedłu-
go potem odszukała nas portierka, wskazówką były dźwięki gitary.

– Czy to nie państwa córeczka chodzi po korytarzu? – zapytała
grzecznie.

Zaskoczenie było totalne. Jak takie małe dziecko może wyjść z łóż-
ka, nie robiąc sobie krzywdy? Musiało przecież samo dojść do drzwi,
podsunąć sobie krzesło, wejść na nie, otworzyć drzwi z zatrasku, zejść
z krzesła i wyjść na spacer po korytarzu.

Iwonka zawsze była zaradna. Widocznie miała takie geny. Jak mia-
ła parę lat, lubiła chodzić na spacer, ale nie za rączkę. Chętnie na to

pozwaląłem, bacznie obserwując skutek. Dziecko zasuwało do przodu, zupełnie nie interesując się ojcem. Zupełnie! Jedna przecznica, druga! I nic, tak jakby była sama na świecie. Skręt w następną... Oczywiście, spacerowały się w miejscach, gdzie był minimalny ruch samochodów. Czuwałem nad nią z pewnej odległości. Kiedyś pochwyciłem ją po ładnych paru kilometrach! Biegła i ani razu się nie obejrzała, gdzie jestem!

Była też hazardzistką. Często wypuszczaliśmy ją samą na podwórze, przykazując, żeby nie wychodziła na ulicę. Robiła wrażenie grzecznej, inteligentnej dziewczynki. Ale pozory mylą. Któregoś dnia przyprowadziła ją sąsiadka.

– Jak pilnujecie dziecko? Spotkałem ją na rogu Odyńca i Niepodległości, jak przebiegała przez jezdnię.

– O Boże, dobrze że się jej udało.

Czyniła tak później wielokrotnie; przechodziła przez jezdnię tuż przed przejeżdżającymi samochodami.

Taka była i taka została. Obecnie żyje w Teksasie. Jej mąż jest pastorem, ale kiedyś – za prezydenta Lyndon'a Johnsona – pracował jako analityk do spraw bezpieczeństwa. Jeden z synów bliźniaków jest w Teksasie policjantem. Ostatnio, jak byłem z nim na rowerze w Puszczy Kampinoskiej, opowiadał o swojej służbie. Wiadomo: Teksas!

Tu muszę opowiedzieć, jak znalazła nas portierka, wtedy gdy Lwona spacerowała sobie korytarzami po bursie. Może zacznę od architektury tego hotelu. Akademik pielęgniarzek MSW był pięciopiętrowym budynkiem, którego parter zajmowały sklepy spożywcze. Na pierwszym piętrze znajdowała się portiernia. Do mieszkań prowadziły schody bądź winda. Przypomniałem sobie teraz, że po ślubie cywilnym uparłem się wnieść pannę młodą (chyba panią?) przez próg – z parteru na piąte piętro. Żadne tam windy! Wziąłem ją na ręce i zasuwałem po schodach, chociaż było to wysokie, przedgomułkowe budownictwo. Z Jezsem założyłem się, że będę na piątym piętrze przed nim, a on jechał windą. Taki miałem potencjał! Chyba za dużo

sobie wyobrażałem. Myślałem, że dam sobie radę w życiu ze wszystkim. W tych zawodach, kto szybciej – winda czy ja – byłem górą. Ale w codziennych sprawach, z których najpoważniejszą było dopasowanie się do partnerki, niestety przegrałem.

Póki co opowiem o bursie dla pielęgniarek. Pokoje mieszkalne usytuowane były na piętrach od drugiego do piątego. W każdym z nich znajdowały się minikuchenki gazowe i krany z bieżącą wodą. Na korytarzach były wspólne toalety – dwie i jedna łazienka. Miały obsłużyć dziesięć czy dwanaście pokoi mieszkalnych (a może więcej, nie pamiętam), z których w każdym mieszkało po kilka osób.

W takim „luksusie” żyły młode kobiety bez prawa stałego zameldowania, i bez żadnych perspektyw. Pewnego dnia dziewczyny zastrajkowały. Niestychane, strajk w gnieździe MSW! Kara była dotkliwa, o czym już wcześniej wspominałem. Represje spadły głównie na prowodyrki. Pozostałe dziewczyny, przestraszone, nie bardzo chciały rozmawiać o szczegółach, chętnie natomiast odreagowywały stres na zabawach.

Po urodzeniu dziecka stałem się w zasadzie mieszkańcem bursy, a okazji do zabaw tam nie brakowało. Imieniny, urodziny, śpiewy oraz tańce – wszystko przy akompaniamencie gitary lub akordeonu. Dziewczyny, w większości jeszcze niezamężne, przyprawdzały swoich dawnych pacjentów. Ja, jako stały bywalec, reprezentowałem męską część bursy i bywałem częstym ich gościem. Iwona wciąż musiała szukać mnie po różnych piętrach.

Czasami przychodzili też lekarze. Jednego z nich, doktora W., poznałem na imieninach Wandy, która pracowała w Instytucie Przeciwgruźliczym w Otwocku. Przyjechał motorowerem. Stary Doktor był uwielbiany przez personel. Podążała za nim fama bohatera, bo podczas Powstania przeciwstawił się nazistowskiemu (ukraińskiemu, rosyjskiemu, niemieckiemu?) siepaczom mordującym chorych w jednym ze szpitali na Woli. Na imieninach był obficie zastawiony stół, a toasty za zdrowie były przepijane wódką. Ponieważ pełniłem rolę gospodarza,

wyglaszanie toastów należało do moich obowiązków. Narzeczony Wandy, student WAT-u, napełniał kieliszki. Chwyciłem za gitarę, podałem tonację i zaśpiewaliśmy „Sto lat”. Od mojej intencji zależało, jak ten śpiew poprowadzić. Wersji może być wiele. Jeśli znajdowałem się akurat w formie, było bardzo zabawnie. Pamiętam, że doktor początkowo nie pił, bo przecież był zmotoryzowany, ale atmosfera stopniowo go wciągnęła i się rozluźnił. Póki co odmawiał wypicia zdrowia, mimo że narzeczony proponował mu napełnienie kieliszka. Dopiero po odśpiewaniu powstańczej piosenki „Pałacyk Michła, Żytunia, Wola”, coś w starym doktorze pękło. Wprawdzie odmówił jeszcze raz narzeczonemu, ale po moim pytaniu:

– Panie doktorze, może symbolicznie? – wypił.

I tak zaczął pić. Po licznych toastach – symbolicznych – doktor się w końcu opamiętał. Miał jeszcze coś do załatwienia i z bólem serca nas pożegnał. Odjazd obserwowaliśmy wszyscy z piątego pietra, bo okno pokoju wychodziło na Aleje Niepodległości. Doktor całkiem sprawnie wsiadł na motorower, i już podczas jazdy z fantazją pomachał nam ręką. Przeszedł na wieczną służbę parę miesięcy później... Jeden z wielkich.

Podczas imprez urządzanych przez dziewczyny poznałem wielu oficerów tajnych służb. Mały procent tych ludzi stanowili typowi ubecy powołani do służby z nadania Sowieców. Ci byli dużo starsi od nas, zbyt wulgarni i prymitywni, typowi moczarowcy. Większość stanowili inteligentni młodzi ludzie po studiach. Głównym motywem ich działania były pieniądze. Pamiętam paru takich oficerów sprowadzonych aż z Poznania do prowadzenia śledztwa w sprawie słynnego napadu na „Bank pod Orłami”. Po początkowym śledztwie w stolicy sprawa utknęła w miejscu. Podejrzewano, że w napadzie brali udział ludzie z warszawskiej bezpieki. Ci z Poznania również nie dali rady i sprawców zabicia strażników z banku nie znamy do dzisiaj.

Obserwowałem bacznie, ale i z rozbawieniem konflikty, jakie zdarzały się między przedstawicielami różnych służb. Dotyczyło to

zwłaszcza oficerów milicji ze służby ruchu, którzy dystansowali się zarówno od „normalnych” oficerów milicji, jak i od typowych bezpieczeniaków. Wszystko to było jedynie reakcją na stres powodowany koniecznością pracy w zawodzie nieprzynoszącym dumy. Tak sobie żyłem, jak pączek w maśle, dziękując Bogu za to, że nie muszę działać wbrew własnemu sumieniu. Bardzo polubiłem Piotra, oficera z Komendy Wojewódzkiej MO, który się na pewno tylko przypadkiem zaplątał się w to towarzystwo. Nie wiem zresztą, takich facetów jak on, po studiach prawniczych, było wielu.

Dziewczyny, z którymi przez te parę lat żyłem pod wspólnym dachem, były różne. Niektóre wybitnie zabawowe, inne bardziej refleksyjne. Starłem się spotykać z takimi, które miały podobne poczucie humoru. Oczywiście, upraszczam sprawę. Strasznie trudno byłoby opisać te wszystkie splątane ścieżki życiowe. Podam kilka przykładów. Zacznę od Buby, pysznej blondynki, z częstym uśmiechem na twarzy. Miała spore wzięcie u mężczyzn, ale nie miała szczęścia do matek swoich narzeczonych. Syndrom teściowej. Raz już blisko było do ślubu i jej chłopak, ten z WAT-u, zaprosił ją na przedślubne zapoznawcze przyjęcie do swojego domu. Stół był przykryty białym obrusem, na nim leżało mnóstwo talerzy, sztućców, waz, dzbanków, spodków, i Bóg tylko wie, czego jeszcze. Ta pełna przepychu mieszczańska otoczka spowodowała stres u potencjalnej narzeczonej, która chciała się bardzo wykazać. Zaproponowała przyszłej teściowej, że jej pomoże w podaniu do stołu. Przyszła mama wręczyła jej wazę z rosółem. Sztywna z emocji musiała – a jakże inaczej – zahaczyć nóżką obutą w pantofelki na wysokim obcasie o dywan. Wazę od kompletu trafił szlag – dywan oraz obrus na stole wszystko było zniszczone. Dalszych szczegółów nie znam, bo i narzeczony też się więcej nie pojawił. A Buba to wszystko opowiadała ze śmiechem. Może przez łzy?

Innym typem była Lucyna S. To był dopiero agregat. Wysoka przystojna dziewczyna o niepospolitej urodzie, inteligentna, pewna siebie i wygadana. Do tego na wielkim luzie. To z nią i z Krecią stałem

na przystanku po wyjściu z kina, kiedy paru zawodników niskich lotów usiłowało je obrazić, a mnie upokorzyć. Moja stanowcza reakcja bardzo się jej spodobała, opowiedziała więc mi historię, jaka się jej przydarzyła z Kolczyńskim, znanym przed i tuż po wojnie bokserem. Kola – tak go nazywano – leżał jako pacjent w szpitalu MSW. Był to trudny człowiek i ciężko się z nim było dogadać. Tylko Lucyna miała na niego zbawienny wpływ, no i znalazła z nim wspólny język. Nic dziwnego, oboje pochodzili z trudnych środowisk i tylko ich charakter sprawił, że egzystowali w miarę normalnie. Kola bardzo polubił Lucynę, pomogła mu wyjść z dołka. Gdy opuścił szpital, zaprosił ją do restauracji z danciem. U siebie, czyli gdzieś na Pradze. Bokser nie przepadał za tańcem, traktował dziewczynę raczej jako terapeutkę, był to już schorowany, zniszczony przez alkohol starszy facet. W pewnym momencie podszedł do stolika jakiś „tutejszy” i poprosił ją do tańca, odmówiła.

– Co ty, kurwa, nie tańczysz?

Na te słowa Kola się poderwał.

– Przeproś kobiety!

– Odpierdol się.

Dalej sytuacja według zeznań dziewczyny wyglądała następująco. Kola uderzył kilkakrotnie pięścią w dłoń i przez stół wyprowadził cios.

– Tylko zelówki zobaczyłam – śmiała się Lucyna.

Ale po tym ciosie sala poznała swego idola.

– Brawo Kola!

Lucynę bardzo lubiłem z racji niekonwencjonalnych zachowań. Kiedyś kupiłem pierwszy w życiu śpiwór, bo potrzebowałem na kajaki. Do tej pory jeździłem tylko z kocem, który był niezbyt gruby. Rozłożyłem śpiwór na podłodze, aby sprawdzić to чудо. Na to weszła Lucyna.

– O, Sobolewski (nigdy mnie inaczej nie nazywała). Widzę, że kupiłeś śpiwór. To ci wejść na dobry początek! No i wpakowała się ze śmiechem do środka. Bez żadnych następstw. Dla wyjaśnienia należało dodać, że Krecia była przy tym obecna.

Kiedyś wziąłem ją na spływ sobotnio-niedzielny na Rawce. Dawała sobie doskonale radę w towarzystwie, także w kajaku. Na kolejnym nie pojechała. Nie lubiła spać w namiotach. Podczas spływu figle jej nie opuszczały. W tym miejscu powinienem wyjaśnić, że na spływach panowały pewne zasady. Przyjeżdżało się w sobotę na biwak. Wtedy odbywała się obowiązkowa balanga. Płynęło się w niedzielę. Wyjazd na kajaki odbywał się w sobotę tuż po skończeniu pracy. Na przyszłych balangowiczów oczekiwał przed bramą samochód ciężarowy i przyczepa z kajakami. Wystarczyło wsiąść. Kolega Kostek, wychodzący właśnie z pracy, powiedział kiedyś:

– Szczoteczkę do zębów mam, pół litra też, to już mogę jechać na spływ.

Lucyna podpatrzyła nasze obyczaje. Na którymś z kolejnych spływów znów odbyła się balanga przy ognisku. Odwrócone pudło gitary służyło jako taca, na której ustawiono kieliszki. Byłem zajęty graniem, moją wódkę piliśmy więc jako ostatnią. Uczestników nie było zbyt wielu, świecił księżyc i było fajnie. Otworzyłem butelkę, polałem i wypiliśmy. Poszło gładko.

– Wiecie co, ta wódka idzie jak woda – skomentował ktoś. – Musi być dobrej jakości – dodał.

Po powrocie ze spływu wpadła do nas Lucyna.

– No jak tam, Sobolewski, na spływie? Udał się? – zapytała jak zwykle uśmiechnięta.

– No, fajnie było, szkoda, że nie płynęłaś.

– Ja też żałuję, ale miałem dyżur. A wódka smakowała? – drążyła temat.

– Tak, a dlaczego pytasz?

– No bo połowę twojej butelki zaoszczędziłam.

– Jak to?

– Normalnie – zaśmiała się, po czym sięgnęła do naszej szafki i wyjęła butelkę z ćwiartką alkoholu.

– Na spływie wprawdzie nie byłam, ale teraz napić się możemy. – Krecia, daj jakieś kieliszki!

Przy kielichu dziewczyny ze śmiechem pokazały, jak to się robi. Strzykawką poprzez kapsel wyciągnęły połowę wódki z butelki i uzupełniły butelkę wodą. To stąd wzięły się takie uwagi przy degustacji na splotywie.

Skoro jesteśmy przy tej materii, warto wspomnieć o moim sąsiedzie Januszku. Ożenił się jak ja z pielęgniarką i również zamieszkał w bursie, a ponieważ mieli dziecko, mieszkali na tym samym piętrze co my z Krecią. Januszek był kelnerem w „Metropolu” i bardzo lubił „golnąć sobie”, ale w pracy nie mógł. W domu też nie mógł, bo miał żonę heterę. Januszek wpada kiedyś do mnie prosto z pracy i stawia na stole butelkę wódki.

- Dawaj kieliszki, napijemy się – zarządził nerwowo.
- Ale ja nie mam ochoty – broniłem się.
- No to daj mi szklankę.

Nalał wódkę do szklanki i wypił duszkiem, poprawił drugą i poszedł do swego, odległego o parę metrów mieszkania.

Później jego żona skarżyła się sąsiadkom:

– Januszek chyba jest chory. Przychodzi całkiem normalnie do domu, wita się, po czym kładzie się na łóżku i zaczyna się zachowywać, jakby był pijany.

Kobieta nie była zbyt lotna i jakoś nie odkryła przyczyn tej dziwnej choroby.

Januszek miał zagrania. Kiedyś wpadł do mnie i bez słowa postawił na stole coś owiniętego w papier i natychmiast wyszedł.

- Co to? – zapytałem zaskoczony.
- Dupa – odpowiedział, zamykając drzwi.

Odpakowałem zawiniątko, w środku była babka... taka z ciasta.

Gubiła mnie bliskość sklepu monopolowego, był na parterze. Odwiedził mnie kiedyś Jeż i przyniósł dwie butelki Rizlinga. Ucieszyłem się, ponieważ dawno nie widziałem Jeża. Co to dwie butelki na dwóch? Rozmawiało się nam całkiem sympatycznie i za niecałe pół godziny zjechałem windą na dół po kolejne cztery butelki, trzy wsadziłem

do zamrażalnika, wszak białe wino musi być schłodzone, a tu czasu na czekanie nie ma. Gdy się obudziłem następnego dnia, policzyłem stojące pod stołem puste butelki. Było ich tylko pięć.

– Pięć – pomyślałem nieco skołowany. – Przecież było sześć!

I raptem olśnienie: szósta musi być jeszcze w...

Podbiegłam do zamrażalnika. Była szósta! Gdy ją wyjąłem, okazało się, że w butelce jest wino w postaci lodu. Jak wiadomo, lód ma większą objętość, więc ładnie wypchnął korek. Nie trzeba już było używać korkociągu, trzeba było natomiast poczekać na płyn. Ponieważ nam się spieszyło, bo języki mieliśmy nieco wysuszone, wsadziliśmy więc butelkę do wiaderka z wodą. Gdy uzbierało się nieco płynu, rozdzielaliśmy go z namaszczeniem na dwie porcje.

Podobna sytuacja zdarzyła się z Irkiem, ale kilkanaście lat później. Spotkaliśmy się przypadkiem na rogu Emilii Plater i Świętokrzyskiej. Był tam maleńki barek w ocienionym ogródku, prowadzony w swoim czasie przez Władysława Komara. Ponieważ był pioruński upał, usiedliśmy w cieniu i zamówiliśmy po butelce chłodnego Klosterkelleru. Wino było dobrze schłodzone i smakowało wyśmienicie. Ani się obejrzelśmy, jak piliśmy już po drugiej butelce. Bardzo lubimy się z Irkiem i długo się nie widzieliśmy, musieliśmy więc wypić po trzeciej. Tylko żal było potem rozchodzić się w przeciwną stronę do domów. On na Wilanów, ja na Jelonki.

Tę bliskość sklepów pod bursą wykorzystywałem przed świętami. Wtedy na ogół były gigantyczne kolejki, zwłaszcza po mięso i wędliny. Nie znoszę kolejek, dlatego nie robiłem zakupów zbyt wcześnie, co wywoływało pewną nerwowość u małżonki. Ale ponieważ nie przepadała za mięsem, nie ponaglała mnie. I całe szczęście. Ostatniego dnia przed świętami, na pół godziny przed zamknięciem sklepu, schodziłem na dół i przy kompletnej pustce kupowałem spokojnie takie wędliny, jakie mi się podobały. Fakt, miałem szczęście, że jeszcze były. Ale pustki w sklepach zaczęły się za późnego Gierka, dlatego moja metoda była jeszcze skuteczna przez długie lata.

Problemy były ze zdobyciem cytrusów. Owoce egzotyczne pojawiały się w sklepach nagle i wtedy tworzyły się po nie gigantyczne kolejki. Później przez długi czas nie było kolejnych dostaw. Zazwyczaj przed świętami w radio podawano komunikat, że do Gdyni wpłynął statek z zaprzyjaźnionej Kuby z ładunkiem cytrusów. Bogdan Łazuka śpiewał nawet o tym w piosence:

...Nagle widzę w sklepie są cytryny.

Trzy godziny człowiek stał.

Obok ona – istny szal.

Ja nie widzę w tym niczyjej winy...

W tej piosence zakup cytryn wraz z piękną nieznajomą stał się przyczyną zdrady małżeńskiej. A teraz wchodzisz do sklepu i masz wszystko. Żadnej radości, żadnego wzruszenia, no i nie ma okazji do...

12. Dyplom

PO SZCZĘŚLIWYM ZDANIU OSTATNICH EGZAMINÓW NA WIOSNĘ 1964 ROKU STUDIA ZBLIŻAŁY SIĘ DO FINAŁU. Dostałem temat dyplomu. Miałem zaprojektować przyczepę samowładowczą napędzaną przez wałek odbioru mocy w traktorze. Wyładowywanie masy roślinnej miało następować za pomocą listew metalowych połączonych łańcuchem i przesuwających się po podłodze przyczepy. Podobne przyczepy już istniały; produkowano je w Brzegu Dolnym, pojechałem tam i zdobyłem dokumentację techniczną, która stanowiła istotną pomoc przy projekcie. Niestety, w dokumentacji nie było żadnych obliczeń, tylko rysunki. W mojej przyczepie nowością stanowił napęd mechanizmu wyładowczego. Ponieważ praca łańcucha, napędzanego przez koło zamocowane na regulowanym mimośrodku, miała charakter przerywany, należało obliczyć siły dynamiczne działające na łańcuch. Chodziło o obliczenie średnicy drutu, z którego miały być zrobione ogniwa. Wprawdzie mogłem zastosować taki sam łańcuch, jaki był stosowany w innych tego typu rozwiązaniach, nigdzie jednak nie mogłem znaleźć schematu obliczeń dla podobnego urządzenia. Problem zaciekawił mnie do tego stopnia, że długo poszukiwałem rozwiązania. Nie od razu je znalazłem. Mój proces myślowy miał typowy przebieg iteracyjny: pomysł, próba rozwiązania, weryfikacja. Trwało to ponad miesiąc. Pozostałe kilka miesięcy wytężonej pracy poświęciłem najpierw na obliczenia wytrzymałościowe mechanizmów,

a później na wykonanie kilkunastu rysunków technicznych – najpierw w ołówku, a później w tuszu na arkuszach kalki formatu A1 (o powierzchni około metra kwadratowego) i A0 (dwa razy A1). Gigantyczna praca, wykonywana w kreślarni na specjalnych deskach kreślarskich o regulowanym pochyleniu, zwanych kulmanami. Dyplomy wykonywa-
liśmy praktycznie bez konsultacji z profesorem prowadzącym.

Obrona dyplomu nastąpiła w grudniu 1964 roku, po prawie siedmiu i pół roku od startu. Byłem pewien, że na obronie zostanę zapytany o ten mechanizm, którego rozpracowanie zajęło mi tyle czasu. I nie myliłem się. Profesor Janik, wybitny mechanik, znany z tego, że egzamin pisemno-ustny trwa u niego wiele godzin (przeciętnie osiem), natychmiast zważo przybliżył się do rysunku mechanizmu:

– Proszę mi powiedzieć, jak pan obliczył siły działające na łańcuch.

Zdałem krótką relację z moich dokonań. Profesor był zachwycony i co chwilę – po każdym etapie odpowiedzi – przysiadł z zadowolenia:

– Tak, znakomicie! Bardzo dobrze!

Sporo było tych przysiadów. Dyplom zdałem na ocenę dobrą. Wyższych ocen z tego przedmiotu nie było.

Profesor Janik był znanym jeszcze przed wojną baloniarzem. Już grubo po wojnie zastrynął z udanej próby przekroczenia balonem granicy przyjaźni ze Związkiem Radzieckim. Dalszy pomyślny lot w kierunku wschodnim, już na terenie Białorusi, został przerwany serią z karabinu maszynowego, oddaną z samolotu z czerwonymi gwiazdami umieszczonymi na kadłubie i skrzydłach. Szczęściem, że profesora i jego asystenta odesłano z połamanymi nogami do Polski, bo mogli wylądować w innym miejscu, daleko na wschodzie przyjaznego imperium.

III.
INŻYNIER W PRL-U

13. PŁOCK

PO DYPLomie zostałem na święta Bożego Narodzenia i Sylwester w bursie. Sylwester to moje ulubione święto – kocham tańiec i nareszcie w takim dniu nie budzi to niczyjego zdziwienia. Krecia zaczynała dyżur w Nowy Rok z samego rana, dlatego nie wybieraliśmy się na tańce. Poza tym, co tu dużo mówić, nie była nadzwyczajną partnerką do tańca. Spędzaliśmy więc wieczór sylwestrowy w gronie znajomych przy obficie zastawionym stole. Nie wytrzymałem długo, coś we mnie w środku pękło i już nieco po północy wpadłem na pomysł, żeby gdzieś potańczyć. Na moim wydziale trwał właśnie bal sylwestrowy. To był może wariacki pomysł, ale poparła go rozbawiona Buba i wyszliśmy razem. Krecia została przy smacznie śpiącym dziecku. Na bal dotarliśmy po kilkunastominutowym spacerze. Weszliśmy bez trudności, bo straż pełnili moi koledzy i przetańczyliśmy całą noc non stop. Zmęczeni, ale szczęśliwi, z bolącymi nogami, wracaliśmy do domu. Lubię takie spontaniczne akcje. Udają się znacznie lepiej niż starannie przygotowywane imprezy, choć powrót potem bywa ciężki.

Pewnego roku wybraliśmy się razem z Krecią na Sylwestra do Filharmonii. Była też z nami moja siostra Jola ze swoim chłopakiem, studentem Politechniki.

Pełne zadęcie; piękny gmach, kelnerzy we frakach, indyk w borówkach. Trzy sale taneczne na trzech kondygnacjach i różne orkiestry, wedle upodobania – kapela warszawska, orkiestra jazzowa i wreszcie

najmłodniejszy zespół big-beatowy – „Breakout” ze wspianą solistką – Mirą Kubasińską. A wspomnienia z balu? Dobrze, były trzy orkiestry i indyk... Z borówkami.

W styczniu pojechałem do Fabryki Maszyn Żniwnych w Płocku. Rok wcześniej załatwiłem sobie w Płocku stypendium fundowane, a teraz miałem tam podjąć pracę. Po narodzinach Iwonki nie było to już takie proste. Potrzebowaliśmy opieki nad dzieckiem. Dotychczas chodziłem rano na wykłady i ćwiczenia, a po południu i w nocy mogłem zająć się dzieckiem – wtedy Krecia miała dyżury.

Spróbowałem jednak załatwić sobie pracę w Zakładach Mechanicznych Ursus. W tym posiadanie dziecka było atutem. W Ursusie potrzebowali inżynierów z naszego kierunku studiów. Nie zdążyłem, ubiegł mnie kolega Marek z Milanówka.

– Ty i tak zostaniesz przyjęty do pracy w Ursusie, bo masz dziecko i żonę w Warszawie – tłumaczył. – Daj mi szansę, bym pierwszy napisał podanie. A w zamian załatwię Ci stałe zameldowanie w Milanówku.

Zgodziłem się niebacznie. Okazało się bowiem, że Marek złożył również razem z podaniem zaświadczenie lekarskie stwierdzające, że cierpi na dolegliwości gastryczne i ma kłopoty z żołądkiem. Przyjęli go do Ursusa, a ja musiałem jechać do Płocka. Teraz, z perspektywy lat, nie żałuję tego. W Płocku przeżyłem parę fajnych przygód, choć z początku nie było wesoło. Pracowało tam już około dwudziestu moich kolegów ze studiów, niektórzy starsi, a inni w moim wieku. Byli zatrudnieni w biurze głównego technologa, gdzie prócz nich pracowało też kilkunastu innych facetów. Wpadłem do nich do biura i już od progu zakrzyknąłem:

– Dzień dobry Panom. Cześć koledzy!

Koledzy jednak nie byli tak radośni jak ja i wyglądali raczej na przestraszonych.

– Jurek, mów ciszej. Tu się pracuje! – odpowiedzieli.

Jakoś nie wyciągnąłem z tego wydarzenia żadnych wniosków. Traf chciał, że w tym samym pomieszczeniu rok później i ja zacząłem

pracować. O co chodziło? Sytuacja absolwentów była dosyć osobliwa – stanowili ostrą konkurencję dla dotychczasowych szefów, z których większość miała zaledwie wykształcenie średnie techniczne, przy tym byli członkami partii. Tylko paru inżynierów, zajmujących najwyższe stanowiska, miało dyplomy studiów wieczorowych lub zaocznych. Dla nich wszystkich dwudziestu młodych z tytułami magistrów inżynierów było postrachem. Stanowili silną konkurencję na stanowiska kierownicze. Dotychczasowi szefowie, rodowici płocczanie, osadzeni mocno w strukturach partyjnych, robili więc wszystko, by zgnoić przybyśzów z Politechniki. Najlepszym przykładem była „karuzela stanowisk” na wydziale obróbki plastycznej, zwanym potocznie „kuźnią”. Był to trudny odcinek pracy, spora liczba maszyn do kucia i tłoczenia metali; różnego typu młoty i prasy. Stąd częste awarie i przestoje, zła jakość wyrobów, zwłaszcza w seriach prototypowych. Dyrektor naczelny, absolwent Politechniki, postawił na swoich młodszych kolegów z uczelni. Ale tutejszy aktyw robił wszystko, by wykosić nowych. I rzeczywiście, ci nowi nie dawali sobie rady. Układy zwyciężały. Tylko jeden z naszych twardzieli, Staszek K., który objął stanowisko szefa „kuźni”, postanowił wytrwać. Gdy zjawiłem się w Płocku, to jeszcze utrzymywał się na stanowisku. Wysoki, barczysty gość o szczękach boksera, małomówny i stanowczy, przy tym dobry fachowiec – wzbudzał respekt. Niepartyjny, stanął nie lada orzech do zgryzienia dla miejscowych układów. Rozmawiałem z nim kiedyś, załatwiając jakąś sprawę w „kuźni”. To, co od niego usłyszałem, nadawało się na powieść kryminalną.

Nieustająca presja na absolwentów uczelni sprawiła, że po paru latach z naszej dwudziestki zostało zaledwie paru, pogodzonych z losem lub twardych facetów. Niektórzy ożenili się z dziewczynami z Płocka i zostali zaaprobowani przez tutejszych, inni uciekli do innych fabryk w Polsce, większość do Ursusa. Tę ucieczkę zapoczątkowałem ja. Ale nie sprzedajmy faktów.

1 lutego 1965 roku zameldowałem się w Dziale Kadr FMŻ. Skierowano mnie do pracy w dziale technologicznym przy montażu

głównym kombajnów. Pierwszego dnia zwiedziłem pobieżnie halę montażu. Właśnie trwały gorączkowe prace przy uruchamianiu montażu taśmowego tych maszyn. Potężne kombajny zbożowe, składające się z ponad dwudziestu tysięcy części, zrobiły na mnie ogromne wrażenie. Jak to wszystko zsynchronizować, by zachować ten sam takt produkcji na każdym stanowisku montażowym? Stanowiło to niesamowite wyzwanie dla całej załogi. Taśma montażowa często stawała na skutek licznych awarii, co przy rozruchu jest poniekąd normalne. Wywoływało to jednak za każdym razem wzrost napięcia wśród załogi, a zwłaszcza pośród nadzoru technicznego, bo natychmiast szukano winnego. W tak napiętej sytuacji trudno było pracować.

Z miejsca otrzymałem konkretne zadanie. Miałem zaprojektować urządzenie do dekonserwacji części kombajnu pochodzących z kooperacji. Były one przesyłane w skrzyniach, każda z nich była pokryta grubą warstwą smaru, dla ochrony przed korozją. Zadanie projektowe przekazał mi sam dyrektor od spraw montażu, inżynier Lorenc. Był to niezwykle dynamiczny i ostry facet, nieznoszący najmniejszego sprzeciwu. Gdy wchodził do naszej pracowni, milkły rozmowy i następowała napięta cisza, gdyż zwykle zjawiał się tylko po to, by kogoś opieprzyć. Wysoki i szczupły, o znerwicowanej twarzy przywitał się ze mną sucho i przedstawił krótko swoją koncepcję urządzenia. Według niego miał to być kosz z siatki stalowej zawieszony na osi w pojemniku z rozpuszczalnikiem. W celu przyspieszenia dekonserwacji kosz miał wykonywać w tym roztworze ruchy wahadłowe.

– Jaki ma być ciężar części wsadzonych do kosza? – zapytałem.

– No... około 300 kg.

– Na kiedy ma być projekt gotowy?

Inżynier ostro spojrzał na mnie?

– Co to za pytanie? Jak najszybciej!

Usiadłem zatem za deską kreślarską i zacząłem zastanawiać się nad projektem. Naszkicowałem szybko taki kosz i zacząłem rozmyślać nad koncepcją dyrektora. Coś mi nie grało w tym ruchu wahadłowym. Jak

napędzać taki ciężar ruchem wahadłowym? Jak duże będą przy tym siły bezwładności, zwłaszcza przy każdym powrocie tego gigantycznego wahadła do początkowego położenia. Zbiornik z płynem, w którym ma poruszać się obciążony kosz, będzie przecież silnie drgać, a więc kosz powinien być bardzo stabilny i solidnie przymocowany do podłoża. I najważniejszy problem, czy szybkość przesuwu kosza względem płynu czyszczącego będzie wystarczająco duża, by móc oderwać smar? Tego właśnie obawiałem się najbardziej. Zbuduję monstrualne urządzenie, które nie będzie spełniało swego zadania. Kompromitacja na starcie gotowa! I wtedy wpadłem na pomysł. Zamiast ruchu wahadłowego należy zastosować ruch wirowy. Pozbędziemy się sił bezwładności przy każdym nawrocie kosza, uprości się przy tym napęd, bo będzie tylko ruch obrotowy (a nie wahadłowy). I będzie można łatwo zmieniać obroty do prędkości zapewniającej odrywanie się smaru. Tak, to zdecydowanie lepszy pomysł. Zacząłem więc szkicować cylindryczny, ażurowy pojemnik wirujący w pozycji pionowej. Na tym szkicowaniu zastał mnie Lorenz.

– Co pan tu rysuje, miał być wahadłowy kosz! – rzucił ostro.

– Panie inżynierze, ten pomysł nie ma sensu – odparłem najgrzeczniej, jak umiałem.

W sali zapadła cisza, wszystkie głowy obróciły się w naszym kierunku. Tego tu nie było, bo nikt się jeszcze Lorencowi nie postawił. Inżynier początkowo zeszywniał, ale wziął się w garść.

– Proszę przedstawić swoją koncepcję.

Zreferowałem mu w skrócie swoje przemyślenia.

– No, tak. To brzmi całkiem sensownie. Jakie technikum pan ukończył?

– Politechnikę Warszawską.

Po chwili zaskoczenia facet się uśmiechnął.

– Życzę powodzenia inżynierze!

Lorenc wziął mnie za absolwenta technikum, bo wyglądałem wtedy bardzo młodo. Wiele razy brano mnie za młodszego. Nawet na filmy od osiemnastu lat nie chciano mnie w Płocku wpuszczać bez okazania dowodu osobistego.

Od tej pory miałem u Lorenca wielkie fory. Projekt i tak jeszcze raz zmodyfikowałem. Wpadłem na pomysł, by kosz z ciężkim ładunkiem w środku unieruchomić, a ruch cieczy wymusić za pomocą oddzielnego wirnika, podobnie jak w pralce „Frani”. Potem nastąpiło dalsze udoskonalenie, ten wirnik zamiast od dołu miał być umieszczony od góry pojemnika, co pozwoliłoby uniknąć kłopotów z uszczelnianiem wałka napędzającego wirnik. Do załadunku i wyładunku wsadu z częściami lekki wirnik miał być zamontowany w zdejmowanej pokrywie. Projekt zrobił się bardzo prosty, szybko wykonano odpowiednie części i wkrótce urządzenie zaczęło spełniać swoją rolę. Po tak udanym starcie stałem się specjalistą od różnych nietypowych urządzeń. Były to rozliczne przyrządy technologiczne ułatwiające montaż, w tym uchwyty spawalnicze. Wszystkie te urządzenia najczęściej były projektowane i wykonywane w trybie awaryjnym, o nietrafionym pomysle nie mogło być więc mowy. Wspaniała praktyka dla inżyniera, a poza tym ja bardzo lubiłem projektować. W ten sposób uzyskałem pewną niezależność od bezpośredniego szefa, którym był niejaki Bułatow, sprawujący oprócz tego funkcję sekretarza partii na wydziale. Nie byłem partyjny, zresztą podobnie jak wszyscy moi koledzy, jego funkcja nie wywierała więc na mnie najmniejszego wrażenia. Pracowałem od początku w swoim własnym rytmie pracy. Zaczynałem, niestety, wcześniej, bo już od szóstej rano. Wstawałem koło piątej. Stanowiło to dla mnie ciągłą walkę ze sobą. Budziłem się w ostatniej chwili, po pójściu spać około północy i zwykle nie jadłem śniadania. Niewyspany wlokłem się do pracy. Zawsze podczas marszu widziałem w oddali, po lewej stronie drogi, czerwony ogień wydobywający się z komina Petrochemii. Wyglądało to wyjątkowo przygnębiająco, zwłaszcza jesienią i zimą.

Aby poprawić sobie nastrój, pracę zaczynałem od mocnej herbaty. Nie było to dobrze widziane wśród załogi.

– Co pan robi, panie inżynierze? – jako pierwszy zapytał mnie Bułatow.

– Jak to co? Herbatę – odpowiedziałem zdziwiony.

– No, ale przerwa śniadaniowa jest o dziewiątej – nie ustępował.

– Ja nie jem teraz śniadania, tylko piję herbatę. Czy to jest zabronione?

Facet zbaraniał i nic nie odpowiedział, bo picie np. wody mineralnej, przeznaczonej dla załogi wydziału montażu, było powszechnie praktykowane.

– A tak dla porządku, panie Bułatow, chciałem zauważyć, że nie jestem robotnikiem i nie pracuję na dole przy taśmie, więc produkcja nie zostanie przerwana – odrzekłem bezczelnie.

Za moim przykładem poszli inni koledzy, potem reszta działu, a w końcu i sam szef. Trochę niezwykła sytuacja następowała, gdy wchodził główny technolog, inżynier Lis. Starszy, grubawy pan o jowialnym wyglądzie, był bardzo zasadniczy. Wtedy wszyscy przerywali luźne rozmowy i pochylali się pilnie nad dokumentami. Nikt nie śmiał nawet podnieść głowy. Bardzo mnie to śmieszyło i raz postanowiłem się zabawić. Pierwsze moje starcie z Lisem nastąpiło, gdy robiłem sobie rano herbatę. Wytłumaczyłem zde gustowanemu szefowi to samo, co i swojemu bezpośredniemu przełożonemu, i przestał się czepiać. Ale czyhał na jakieś inne moje uchybienie. Pewnego razu, po mozolnym pisaniu tuszem karty technologicznej, wstałem z grafionem w rękę, by rozprostować bolące plecy. Akurat w tym momencie wszedł nasz nadzorca. Wszyscy pochylili głowy nad dokumentami, ja jednak nawet nie drgnąłem i stałem spokojnie.

– Co pan robi, panie inżynierze? – zapytał ucieszony, że złapał mnie na nieróbstwie.

– Stoję – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

– Ale jak to, to pan nic nie robi?

– Jak to nic? Właśnie skończyłem pisanie. O widzi pan, jeszcze tusz nie zasechł.

To mówiąc, pociągnąłem palcem po napisanym świeżo tekście, robiąc przy tym czarny ślad rozmazanego tuszu. W faceta jakby piorun

strzelił. Zamrugał oczyma, zamachał rękami i wypadł jak niepyszny za drzwi. Od tej pory miałem święty spokój z jego głupimi uwagami.

Dyskryminacja absolwentów uczelni trwała. Jak wspomniałem, przy uruchamianiu taśmy pojawiały się ciągle problemy. Technicy z płockiej obsady organizowali narady, ale bez naszego udziału. Według mnie to był sabotaż i takie praktyki powinny być naganne. Jak można rezygnować z naszej wiedzy i inteligencji? Raz jednak zrobiło się śmiesznie. Wprowadzono w kombajnie nową przekładnię bezstopniową, z którą były ciągle kłopoty, zbyt szybko się grzała i wysiadały łożyska. Płocczanie co i rusz zbierali się na gorączkowe konsultacje i byli coraz bardziej wściekli, bo nic nie mogli poradzić. W końcu jeden z naszych starszych kolegów, Janek Misiak, zaproponował, że może my coś pomożemy. Wściekli tuziemcy rzucili w nas dokumentację techniczną.

– To spróbujcie, jak jesteście tacy mądrzy.

Pochylił się nad rysunkiem tej nieszczęsnej przekładni. Po chwili studiowania tenże Misiak zauważył:

– Popatrzcie, oni chyba źle montują pierścienie uszczelniające. Powinny być wkładane odwrotnie, tak jak nas uczono na projektowaniu.

I to była prawda. Rzeczywiście, po poprawnym założeniu pierścieni problemy ustały. Projektowanie na uczelni prowadzili praktycy z biur projektowych i z przemysłu, fachowcy pierwsza klasa.

Stanowiska wiązały się z zarobkami i walka o nie, była też walką o pobory i premie. Premie dostawało się za terminowe wypełnienie planu. Prowadziło to do niesamowitych dewiacji pod koniec każdego kwartału (premia kwartalna), a zwłaszcza pod koniec roku (premia roczna). Ponieważ liczba wyprodukowanych kombajnów nie mogła być niższa niż zaplanowano, a raczej powinna być wyższa (wysoko punktowane było przekroczenie planu), to pod koniec okresu sprawozdawczego często liczone jako wykonane kombajny te, które miały usterki, albo te, które jeszcze nie zeszły z taśmy. Było to powszechne zjawisko w PRL-u. Liczne zakłady kooperowały ze sobą i dostawy nie były regularne, często z różnych względów się opóźniały.

Wzmożenie aktywności produkcyjnej następowało pod koniec okresu sprawozdawczego i najbardziej na tym cierpiał zakład, który montował produkt finalny.

Plan, to była rzecz święta. Często załogi przedsiębiorstw z okazji np. rocznicy rewolucji październikowej czy innego święta, np. 1 Maja, podejmowały zobowiązania o zwiększeniu planu ponad ustalone limity. Taki idiotyzm świadczył po prostu o złej organizacji pracy, bo jeżeli można za pomocą jakiejś uchwały podnieść produkcję, oznacza to, że codzienne normy, zasoby materiałowe i ludzkie są nieprawidłowo określone. Kiedyś widziałem taki rysunek – na ścianie wisi duży plakat przedstawiający wykres wydajności pracy. Jest ona przedstawiona jako ukośna podnosząca się do góry w miarę upływu miesięcy sprawozdawczych. Przy plakacie stoi ktoś ważny, przystany z centrali, a obok szefostwo przedsiębiorstwa.

– No, jak towarzysze? – pyta ten z centrali.

– Krzywa rośnie, towarzyszu sekretarzu – odpowiadają pytani, wskazując na wykres.

– To zuchy z was!

I tak było w całej Polsce, ba zapewne w całym demoludzie. Krzywa zawsze musiała rosnąć. Ta stachanowska maniera przywędrowała do nas z Sojuza. Dla nas jednak przodownikiem pracy – „bohaterem” był górnik, Wincenty Pstrowski. Stale przekraczał normy fedrowania, o czym informowały wszystkie media. W końcu jego organizm nie wytrzymał pracy ponad siły. Zachorował na gruźlicę i umarł, o czym już nie poinformowano. Po Polsce krążyło na ten temat następujące epitafium:

*Tu leży Wincenty ubogi
Wykonał normę, wyciągnął nogi.*

Po przepracowaniu sześciu miesięcy w tempie przodownika pracy postanowiłem wystąpić o podwyżkę. Oficjalnie byłem na tzw. stażu, który miał trwać dwanaście miesięcy. Przystudiowałem odpowiednie

przepisy, w których stało jak byk, że stażysta powinien regularnie zmieniać miejsce pracy, ponieważ musi poznać struktury organizacyjne w całej fabryce. Napisałem więc pismo do naczelnego, w którym poprosiłem o przeniesienie mnie na normalny etat inżynierski. Oznaczało to znaczną podwyżkę pensji. Natomiast w razie odmowy rezerwowałem sobie odbycie stażu zgodnie z przepisami. Kopię pisma wysłałem do Zjednoczenia. No i co? – błyskawicznie dostałem normalny angaż i podwyżkę. W moje ślady poszli wkrótce inni gapiowaci koledzy pracujący bez podwyżki dłużej niż ja. Przyklepiono mi po tym zdarzeniu etykietę „rozrabiacza i wichrzyciela”, co mi wcale nie przeszkadzało, a raczej wprowadzało mnie w zadowolenie. Wkrótce znalazłem też nowe pole do swojej wywrotowej działalności. Odkryłem, że w fabryce istnieje współzawodnictwo pracy między brygadami młodzieżowymi. Trzeba tylko utworzyć kiluosobowy zespół działający pod patronatem ZMS (Związek Młodzieży Socjalistycznej), zgłosić to do specjalnej komisji i podjąć jakieś zobowiązania związane z jakością i wydajnością pracy. Na zakończenie okresu sprawozdawczego zwycięskie ekipy dostawały wysokie nagrody pieniężne. Przystudiowałem pilnie regulamin tych brygad ZMS i odkryłem, że najwyżej punktuje się wykształcenie. Przykładowo, za dyplom technika dostaje się jeden punkt, za inżyniera trzy punkty, a za tytuł magistra aż sześć punktów. Szybko doszedłem do wniosku, że jeżeli utworzę brygadę składającą się z magistrów inżynierów, to bez problemu zdobędziemy pierwsze miejsce we współzawodnictwie. Teraz tylko trzeba zapisać się do ZMS-u i zgłosić utworzenie zespołu. Przypomniałem sobie, że już raz jako student zapisałem się do tej organizacji w celu wybrania naszego człowieka do władz wydziału. Tylko później nie płaciłem składek ani nie uczestniczyłem w żadnym zebraniu.

Na naszym wydziale przewodniczącą ZMS była Halinka, miła i ładna dziewczyna. Bez problemu nawiązałem z nią kontakt i zaprosiłem ją na spotkanie z kolegami. Niektórzy mieli opory. Najwięcej Jurek P. pochodzący ze starej podlaskiej szlachty. Zorganizowałem zebranie

zapoznawcze z Halinką w hotelu, gdzie mieszkaliśmy. Przy paru butelkach wina i gitarze ten największy reakcjonista tak się zapatrzył w oczy Halinki, że wszelkie lody stopniały. Dziewczyna wytłumaczyła nam, o co chodzi we współzawodnictwie i kto do tej pory wygrywał. Był nim inż. Zapała z sąsiedniego wydziału. Ponieważ Zapała nie cieszył się zbyt dużą sympatią naszej miłej przewodniczącej, perspektywa utarcia mu nosa bardzo ją ucieszyła. I tak utworzyliśmy brygadę pracy socjalistycznej, a ja zostałem jej szefem. Żeby nieco uwiarygodnić ekipę, do zespołu przyjęliśmy kilku młodych i sympatycznych techników z naszego biura i oczywiście Halinkę. Pod koniec okresu sprawozdawczego wypełniłem stosowne druki i przesałem Zapale, który był szefem komisji oceniającej. Trochę mnie to dziwiło, jak można bezstronnie oceniać, gdy się jest osobiście zaangażowanym. Jeszcze raz podliczyłem punkty, zwycięstwo mieliśmy w kieszeni. Nagle zostałem powiadomiony, że nasz zespół został zdyskwalifikowany. Przyczyną było samowolne opuszczenie pracy przez jednego z członków ekipy, właśnie przez Jurka P. Poszedłem do Zapały z reklamacją, przecież Jurek został powołany na obowiązkowe ćwiczenia wojskowe, a więc jego nieobecność jest usprawiedliwiona. Przyznał mi rację, powiedział, że reklamację uwzględni i polecił stawić się na jakieś finalne zebranie w tej sprawie mające odbyć się nie na terenie fabryki, ale na najwyższym szczeblu, czyli w płockim zarządzie ZMS-u. Trochę mnie to zdziwiło, ale poszedłem tam o ustalonej porze. Wchodzę na dużą salę wypełnioną facetami w białych koszulach i pod czerwonymi krawatami, jakaś trybuna, czerwone sukna na stołach, portrety wodzów narodu na ścianach. Zapała mnie zobaczył i wybiegł naprzeciw.

– A pan w jakiej sprawie? – zapytał sztywno.

– No, ja w sprawie reklamacji – bąknąłem zaskoczony.

– Proszę stąd wyjść, tu jest ogłoszenie wyników współzawodnictwa.

Po czym bezceremonialnie wypchnął mnie z sali. Dałem się manipulować jak szczeniak. Napisałem później odpowiednie pisma protestacyjne, które oczywiście przeszły bez echa. Na znak protestu

wystąpiliśmy więc z ZMS-u. O dziwo, to też nie zrobiło na nikim wrażenia. Nie potrzebowali rozrabiaczy w organizacji politycznej, potulnymi lepiej się rządziło.

Ale zanim wystąpiłem z młodzieżowej przybudówki partii, urządzono w Płocku bal, właśnie pod egidą ZMS-u. Nie miałem ochoty tam iść, ale namówili mnie młodzi technicy z biura oraz Halinka. Jeden z techników, Felek, ciągle się przechwalał, jakim był rozrabiaką na wiejskich zabawach. Wiarygodności przydawała mu spora szrama na policzku. Podobno od noża. Gdy wyraziłem swoje obawy co do ewentualnej rozróby na tej właśnie zabawie, powiedział:

– Panie Jurku, niech się pan nie obawia, impreza jest pod kontrolą organizacji. No i pod moją opieką. Będzie pan na pewno bezpieczny.

Bal był wystawny, w kilku salach bawiło się kilkudziesięciu młodych ludzi. Wpuszczano wszystkich tylko za okazaniem biletów, a stoliki były numerowane. Nasza grupa siedziała razem, niektórzy z techników przyszli nawet z żonami. Piliśmy ostro, bo młodzi chcieli koniecznie się ze mną zaprzyjaźnić.

– Panie Jurku, pana zdrowie!

Nie mam zwyczaju odmawiać i nie wylewam wódki za kołnier, czułem się więc coraz lepiej. Część kobiet unikała wódki i piła wino. Gdy po jakiejś serii tańców wracałem do naszego stolika, zauważyłem, że został zajęty przez czwórkę nieznanym mi facetów. Rej wodził potężny facet w skórzanej kurtce. Kto ich tu wpuścił? Moi koledzy gdzieś nagle zniknęli, zauważyłem tylko słynnego nożownika Felka umykającego z sali chyłkiem pod ścianą. Wiedziałem już, że na moich nie mogę liczyć. W pierwszym odruchu cofnąłem się od stolika, lecz gdy zauważyłem, że intruzi rozlewają i piją naszą wódkę, wstąpił we mnie duch bojowy. Podszedłem do stolika. Obcy zupełnie mnie zignorowali. Zachowywali się tak, jakby ten stolik był ich od początku i dalej rozlewali sobie nasz alkohol.

– A ja? – zapytałem bezczelnie i też podstawiłem kieliszek.

Rozlewający znieruchomiał z butelką w ręku. Spojrzał pytająco na typa w skórzanej kurtce. Ten po krótkiej chwili skinął przyzwalająco głową.

– No to zdrowie! – rzekłem i wypiwszy jednym haustem kieliszek, postawiłem go błyskawicznie na butelce.

Nie mam pojęcia, dlaczego tak zrobiłem, to był odruch. Zapadła cisza, ja ustawiłem się tak, by pod prawą ręką mieć butelkę z winem. Zacząłem przyglądać się bacznie intruzom, spojrzałem w oczy herszta bandy.

– Pierwszego, który mnie zaatakuje, walnę butlą w głowę, a potem tygrysim przez stół i w nogi. Podczas pogoni rozproszą się, będzie łatwiej. No, a poza tym przecież jakaś ochrona musi tu być – myślałem naiwnie.

Jeden z intruzów wykonał ruch w moim kierunku, ale szef osadził go ruchem ręki.

– Pogadajmy – rzekł po chwili namysłu i usiadł.

Za nim usiedli pozostali, więc usiadłem czujnie i ja.

– Skąd jesteś? – zapytał po chwili.

– Z Augustowa, a ty skąd?

– Ja z Płocka – odparł dumnie. – Dlaczego postawiłeś kieliszek na butelce? – pytał dalej.

– Bo mam taki zwyczaj, jak piję z nieznanymi – odpowiedziałem.

– A dlaczego pijecie nie swoją wódkę. Nie macie pieniędzy?

Powodowany odruchem sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem jakiś banknot.

– Proszę, kupcie sobie coś – rzekłem, wyciągając w ich kierunku rękę.

Facetów zamurowało, ale gdy jeden z jego kumpli wyciągnął rękę po forszę, ten gwałtownie go odrzucił.

– Spieprzajcie stąd, chcę pogadać z nim sam na sam – powiedział.

– Zbyszek jestem – rzekł wyciągając dłoń. – Podobasz mi się – dodał.

No i zaczęło się. Od słowa do słowa rozgadaliśmy się. Szczególnie mu zaimponowało, jak ze mnie wyciągnął, że jestem po Politechnice. Facet zaczął mi się spowiadać. Okazało się, że jest to znany w mieście

gangster, właśnie niedawno wyszedł z więzienia. Mówił coś o ciężkim dzieciństwie, ojcu pijaku, szkole, wagarach, dwójkach, złych nauczycielach. Chcąc nie chcąc, zamieniłem się w psychoanalityka, zacząłem mu doradzać i pocieszać. Rozmowa trwała długo. W końcu facet zamienił się w jagnię i nawet chciał zwrócić pieniądze za wypity alkohol! Ale się nie zgodziłem. Zbyszek, żegnając się, powiedział:

– Jak będziesz miał jakieś kłopoty na ulicy, albo z wpuszczeniem do jakiegokolwiek knajpy w Płocku, to powołaj się na mnie.

Nigdy więcej go nie widziałem, ale rzeczywiście w nocnych lokalach miałem fory. Płock w tym czasie przeżywał okres prosperity, restauracje, kino i inne lokale były przepiękne. Właśnie kończono budowę słynnej Petrochemii, której komin z wiecznie płonącym ogniem służył mi czasami w nocy jako drogowy znak, a był też symbolem rozwijającego się kraju, chociaż tyle zbędnej energii szło w powietrze.

W Płocku działał słynny Stanisław Staszewski. Początkowo bardzo wierzył w socjalizm, należał do partii i już w wieku trzydziestu trzech lat został naczelnym architektem Płocka. Kiedy obserwował, jak system socjalistyczny wprowadza się w życie, zaczął tracić wiarę w świetlaną przyszłość kraju. Swoje frustracje wyrażał w piosenkach, które śpiewał w płockim klubie „Marabut”. Jedną z nich była „Inżynierowie z Petrobudowy”. Im dalej brnął w odkrywanie prawdy, tym bardziej się frustrował. Napisał w końcu piosenkę „Kołysanka stalinowska”, za którą z hukiem wyleciał z partii, i oczywiście stracił pracę. Wyemigrował do Francji i nigdy już nie powrócił do Polski. Zmarł bardzo młodo, bo w wieku czterdziestu ośmiu lat. Jego piosenki nagrywane na kasetach trafiły do Jacka Karczmarskiego, który wiele z nich włączył do swego repertuaru. W ten sposób piosenki te poznał Kazik, syn Staszewskiego i nagrał je z zespołem „Kult”, odnosząc przy tym sukces.

Z powodu najazdu pracowników Petrochemii porządku w przepięknym mieście pilnowała milicja, słynna z brutalności. I tak jak u kowbojów na Dzikim Zachodzie – rewolwery błyskawicznie

wyciągane były do akcji, tak samo pałki. Doświadczył tego na własnych plecach nasz kolega Misiak, który pewnego razu zapragnął pójść do kina. Przed kinem był ogromny tłok. Nagle wpadł patrol milicyjny i krzyknął:

– Rozejść się!

Tłum był już chyba wytresowany i błyskawicznie się rozproszył. Ale Jasio, który był akurat sam, zaczął filozofować.

– Jak to rozejść się, mam może się rozdziwić?

Szybko jednak poszedł po rozum do głowy, gdy został potraktowany pałką. Śmieliśmy się do rozpuku, gdy o tym przypadku opowiadał w pracy. Śmiałem się i ja, nie wiedząc, że niedługo będę potraktowany jeszcze gorzej.

W czerwcu zrobiło się gorączkowo, bo większość inżynierów znających języki wyjechało na targi do Poznania, na których mieliśmy własne stoisko. Nasze kombajny były bowiem eksportowane do wielu krajów świata, m.in. do Indii i Brazylii. Któregoś ranka zadzwonił do mnie telefon:

– Naczelnny do pana – usłyszałem w słuchawce głos sekretarki.

– Panie inżynierze, proszę natychmiast do mnie!

Okazało się, że do fabryki przyjechało trzech Niemców z NRD i mam ich pilotować na nasze stoisko w Poznaniu. Zamurowało mnie:

– Panie dyrektorze, ja właściwie nie znam niemieckiego.

– Jak to pan nie zna, w ankiecie podał pan, że zna.

– Ale znam słabo i raczej teksty techniczne, znacznie lepiej znam rosyjski i francuski.

– To pański problem. Ja nie mam innego wyjścia, inni koledzy są na targach.

Przejąłem się tym. Niemcy nie znali rosyjskiego ani francuskiego. Miałem wprowadzić na studiach niemiecki, sam go sobie wybrałem, chcąc poszerzyć horyzonty, ale nauka polegała przeważnie na czytaniu tekstów specjalistycznych, a nie na prowadzeniu konwersacji. Wsiedliśmy do Moskwicza przybyszy i ruszyliśmy do Poznania. Drogę znałem,

wiedziałem także, gdzie jest nasze stoisko, bo byłem tam zaledwie tydzień wcześniej, więc jako pilot wywiązałem się z zadania. Gorzej było z rozmową. Goście najczęściej pytali o ceny różnych produktów, musiałem więc sobie, przy ich pomocy, przypomnieć przede wszystkim liczby. Szybko zrobiłem odręczny zestaw liczebników, ale to było za mało. Niemcy byli niezadowoleni ze współpracy, co rozumiałem z ich intonacji. Przybysze załatwili swoje sprawy w Poznaniu i szybko ruszyliśmy w drogę powrotną. Przestali już pytać o ceny, mogłem więc narzeczcie odpocząć. Tak się złożyło, że poprzedniej nocy mieliśmy jakąś imprezę i nie narzekałem na nadmiar snu. Lekkiego kaca wyleczyłem skutecznie kilkoma piwami na targach, a podczas drogi szybko zapadłem w zdrowy sen. Nie mogłem jednak spokojnie odespać nocy, ponieważ samochód wciąż stawał. Kilkakrotnie się budziłem, ale po chwili na nowo zapadałem w sen. Podróż niemiłosiernie się przedłużała. Wysiadłem z samochodu. Maską była uniesiona, z chłodnicy buchały kłęby pary, a kierowca niósł w wiadrze wodę z pobliskiej chałupy. Pochyliłem się nad silnikiem. Co to może być?

– Pewnie pasek napędzający wentylator chłodnicy jest za luźno napięty – pomyślałem.

Sprawdziłem ten pasek, rzeczywiście był za luźny.

– *Das ist schlecht* („to jest źle”) – rzekłem niedbale, wskazując na pasek. Po czym ziewnąłem i wsiałem z powrotem do wozu.

Kierowca szybko usunął usterkę i dalej pojechaliśmy bez przeszkód. Ale tak szybkie znalezienie przyczyny niesprawności uratowało mi skórę. Już do końca podróży słuchałem pełnych zachwyty głośców, jaki to jestem wspaniały *fachman*. Oczywiście powiedzieli o tym naczelnemu. Ten był tak zadowolony, że przydzielił mi premię specjalną, za którą natychmiast kupiłem adapter i płyty do nauki niemieckiego. Wprowadziłem sobie żelazny reżym i codziennie poświęcałem na naukę sporo czasu. Przydało mi się to już po miesiącu nauki. Ale nie uprzedzajmy wypadków. W lipcu zjawiono się kilku praktykantów z Politechniki, a mnie mianowano ich opiekunem. Naturalnie

zrobiłem spotkanie integracyjne u mnie w hotelu, a później zarządziłem zwiedzanie miasta nocą. Byli zachwyceni. Szybko znalazłem wspólny język ze studentami, ale z jednym z nich, Januszem, nawiązałem kontakt wprost telepatyczny. Rozumieliśmy się w pół słowa. Później – już po ich wyjeździe – dostałem kartkę od niego z podziękowaniami za wspaniałe wakacje. Pełna kultura! Jakież było moje miłe zdziwienie, kiedy po kilku latach zacząłem pracę na Politechnice. Okazało się, że Janusz także tu pracuje i w dodatku w tym samym zespole. Wkrótce zaczęliśmy pracować w jednym pokoju. Najcenniejszą rzeczą w naszej znajomości, a później przyjaźni, było to, że obaj mieliśmy jednakowe poglądy polityczne. Tak trwa po dziś dzień. To niesłychany luksus psychiczny – mieć identyczne zdanie na sytuację polityczną i jednakowo interpretować ciąg wydarzeń, zwłaszcza po tzw. transformacji, łagodnej zmianie systemu w 1989 roku, kiedy nagle nasi koledzy zmienili swoje polityczne nastawienie. A my obaj byliśmy i jesteśmy nadal w mniejszości.

Wtedy, w Płocku, to był lipiec, okazji do integracji było sporo. Gdzieś w połowie miesiąca odbyła się w klubie ZMS-u jakieś większa impreza młodzieżowa. Na spotkaniu panowała bardzo luźna atmosfera spowodowana dużą ilością napoi chłodząco-rozgrzewających. Moją uwagę zwróciła nieznajoma blondynka, która w przeciwieństwie do pozostałych siedziała milcząca i jakby wyobcowana.

- Kto to? – zapytałem jednego z organizatorów.
- To jakaś Finka, przyjechała na praktykę do Petrochemii.
- A dlaczego siedzi samotnie?
- Bo nikt nie zna niemieckiego ani angielskiego.

Poczułem się w obowiązku. Wypiłem kielicha na odwagę i przysiadłem się do dziewczyny. Przy okazji sprawdziłem swój niemiecki, ale sporo musiałem gestykulować. Dziewczyna, mająca na imię Eva-Liza, była kompletnie pozbawiona towarzystwa także i po pracy. Powodowany patriotycznym obowiązkiem i ogarnięty nagłą miłością bliźniego zaopiekowałem się samotną dziewczyną, spędzając z nią każdy

wieczór po pracy. Trwało tak aż do końca jej praktyki. W ten sposób nie musiałem uczyć się niemieckiego z płyty. Dziewczyna, fantastycznie zbudowana, była równa ze mną wzrostem. Świetnie pływała, co sprawdziłem podczas wyjazdu w okolice Płocka nad jezioro, gdzie pokazała, co potrafi, byłem od niej lepszy tylko w delfinie. Zaprzyjaźniiliśmy się, po wyjeździe wysłała mi kartkę ze Sztokholmu: „Moje serce jest jeszcze w Płocku”. Przyznam się, że i mnie zrobiło się ciepło, gdy przeczytałem te słowa. Nasze kontakty trwały jeszcze parę lat, pisaliśmy do siebie listy, dziewczyna stale zapraszała mnie do Finlandii. Chyba wiązała z moim wyjazdem jakieś nadzieje, ja natomiast po powrocie do Warszawy zapisałem się na roczny kurs fińskiego. Jednak aby wyjechać do kraju kapitalistycznego, jakim była Finlandia, trzeba było mieć trochę waluty wymiennej na opłacenie podróży. To nie było takie proste, bo w przeliczeniu na dolary przeciętna pensja w Polsce odpowiadała 20-30 dolarom USA. Tyle na Zachodzie płacono za parę godzin pracy. Żyliśmy w Polsce jak niewolnicy. Otwierały się nam oczy dopiero, gdy wyjeżdżaliśmy do pracy poza kraje demoludów.

Pod koniec lata wykwaterowano kilku z nas z hotelu miejskiego (za który płaciła fabryka) do mieszkań zakładowych. Zamieszkałem wraz z Józkiem S. i Stefanem M. w trzypokojowym mieszkaniu w bloku na poboczu miasta. Umowa stypendialna przewidywała zakwaterowanie każdego z nas oddzielnie z naszymi żonami i dziećmi w takich właśnie mieszkaniach. Jednak mieszkań było za mało, co stanowiło znakomitą okazję do wypowiedzenia umowy o pracę. W moim przypadku nastąpiło to parę miesięcy później, gdy do Józka zawitała żona w ciąży. Postanowił osiedlić się w Płocku na stałe, został kierownikiem trudnego działu obróbki cieplnej, a później chyba nawet naczelnym fabryki.

Gdzieś na początku jesieni do Płocka zawitał Irek. Ku mojej uciesze został zatrudniony jako stypendysta. Z okazji jego przyjazdu zorganizowaliśmy sobie radosne pijaństwo i opróżniliśmy sporo butelek wina. Goście hotelu, w którym zamieszkał, musieli, chcąc nie chcąc, wysłuchać naszego koncertu gitarowego i śpiewu na parę fajerek.

Musieliśmy się rozstać w nocy, żeby wstać o piątej do roboty. Irek podjął decyzję, że mnie odprowadzi. Ulice poza centrum były puste, a poza tym źle oświetlone. Przyplątało się do nas dwóch facetów. Szli w pewnej odległości i wyraźnie nas obserwowali. W tej sytuacji to ja postanowiłem odprowadzić kolegę. Wciąż nam towarzyszyli. Wyrażnie polowali na pojedynczą ofiarę. Perspektywa odprowadzania się bez końca aż do rana nie nastrojała nas zbyt optymistycznie i należało sprawę wziąć w swoje ręce.

– Irek, musimy ich pogonić – rzekłem zdecydowanie.

– Coś ty, nie wypada.

– Jak my ich nie pogonimy, to oni we dwóch pogonią któregoś z nas, gdy się rozdzielimy.

To go przekonało, schowaliśmy się więc za jakimś drzewem, a gdy nas mijali rzuciliśmy się do boju. Poskutkowało, bo nawet nie podjęli walki i rozbiegli się z krzykiem w przeciwne strony. Teraz mogliśmy się spokojnie rozstać, by znów się spotkać się po paru zaledwie godzinach w pracy.

Barczo się ucieszyłem, że razem pracujemy, bo Irek był jeszcze bardziej luzacki niż ja. Stanowiliśmy duet nie do pobicia, zwłaszcza że i po pracy szliśmy razem na obiad w fabrycznej stołówce, a potem gdzieś do kawiarni. Nareszcie zyskałem kumpla do towarzystwa i do piwa, bo moi dotychczasowi koledzy woleli po pracy spędzać czas w domu.

Płock był zapchany młodzieżą. Znajdowały się tam liczne szkoły, a oprócz nich ludzie z Petrobudowy. Kawiarnie zapełniała młodzież, w tym fajne dziewczyny z pomaturalnego studium nauczycielskiego. Nieznajome poznawało się na tzw. „carską metodę”. Polegała ona na tym, że na codziennej marszrucie, zawsze o tej samej porze, spotykało się zazwyczaj znajome twarze. Jeżeli mijano się jakąś interesującą dziewczynę kolejny raz, należało się jej ukłonić. Po pierwszych ukłonach, przyjmowanych ze zdziwieniem, za którymś już kolejnym „dzień dobry” upatrzona ofiara odkłaniała się. To była okazja do zatrzymania się, wzajemnej prezentacji i zaproszenia do kawiarni. Proste, prawda?

W Irku zyskałem też towarzysza do sobotnich wyjazdów do Warszawy. W sobotę po pracy wsiadaliśmy w autobus PKS i po dwóch godzinach byliśmy już w stolicy. Zazwyczaj wracaliśmy też razem w niedzielę o dwudziestej drugiej z dworca autobusowego na Żytniej. Podróż przebiegała błyskawicznie. Nauczyliśmy się zasypiać szybko i w ten sposób odrabialiśmy zaległości, bo zarówno w Płocku, jak i w Warszawie nie było za dużo czasu na sen.

W październiku dostałem niespodziewane powołanie na przeszkolenie wojskowe do Oficerskiej Szkoły Wojsk Pancernych w Poznaniu. Dla mnie oznaczało to zmianę specjalizacji wojskowej z samochodowej na czołgową. Szkolenie trwało dwa miesiące. Cztery lata później, gdy już pracowałem w Ursusie, znów wezwano mnie na identyczne szkolenie.

Zdziwiła mnie ta zmiana specjalizacji na przeszkoleniu i przeczuwałem, że nasz – pokój miłujący – obóz socjalistyczny szykuje się do wojny.

Ponieważ oba te pobyty w Poznaniu zlały mi się w jeden ciąg wojskowych wspomnień, opiszę je w oddzielnym rozdziale. Teraz zajmę się pożegnaniem, jakie urządziłem przed pójściem do woja. Zaprosiłem bowiem kilku kolegów na pożegnalną lampkę (czytaj butelkę) wina, która zakończyła się w restauracji „Kameralnej”. Pożegnanie zaczęło się nieco przeciągać i w pewnym momencie zostałem tylko ja z Irkiem, który wpadł w trans. Nie czułem się za dobrze, mało piłem, miałem jakieś kłopoty żołądkowe i chciałem już iść do domu, ale nie wypadało zostawiać kolegi. Wdał się właśnie w jakąś idiotyczną rozmowę z dwoma facetami, z których jeden pochodził, podobnie jak Irek, ze Śląska. Z tamtymi często są kłopoty, których praprzyczyna sięga rozbiorów. Jak wiadomo, jedna część Śląska była kiedyś pod zaborem austriackim, a druga pod rosyjskim. I mimo że zabory dawno się skończyły, kłopoty trwają do dziś. Wielokrotnie mi tłumaczono, na czym one polegają, ale jestem za tępy, by to zrozumieć. Dyskusja obu Ślązaków zaczęła przyjmować niepokojący obrót, po paru próbach

podjęcia rozejmu, musiałem się nią zainteresować. Zyskałem tylko tyle, że adwersarze wstali wreszcie od stolika w restauracji i przeszli do sąsiedniej sali, gdzie przy barze serwowano piwo i wódkę.

– Wypijmy piwo na pożegnanie – zaproponował oponent Irka.

Irek ustawił się w kolejce, podczas gdy ci dwaj podeszli do patrolu milicyjnego, który akurat zjawił się w zatłoczonym barze. Coś tam szeptali, wskazując na Irka, wtedy do nich podeszedłem.

– Panowie, o jakie piwo wam chodzi? – spytałem grzecznie.

– Wyjdź stąd – syknął do mnie jeden z milicjantów. – Do ciebie nic nie mamy – dodał.

Milicjanci podeszli do Irka.

– Dokumenty!

Trzeba trafiać, że tego dnia obaj oddaliśmy dowody osobiste do zameldowania. Na szczęście mieliśmy stosowne pokwitowania. Irek je wyjął, zresztą razem z przepustką do pracy. Na przepustce było zdjęcie, dane osobowe i pieczętki, a więc to również były nasze dowody tożsamości.

– Co mi tu dajesz, jakiś bilet do kina?! – krzyknął jeden z przedstawicieli władzy.

Postanowiłem pomóc koledze.

– Panowie, ale do obywatela nie mówi się przez „ty”.

– Wyjdź stąd! – ryknął jeden z nich, wyciągając pałkę.

– Wyjdę, ale razem z kolegą – odpowiedziałem stanowczo.

W barze zrobiło się cicho. Jeden z milicjantów popchnął mnie w kierunku wyjścia i nagle poczułem uderzenie pałką w plecy, za chwile następne i następne. Za progiem czekało dwóch następnych mundurowych, którzy solidarnie i ochoczo przyłączyli się do pałowania. Byłem ubrany w cieką, skórzaną kurtkę, uderzenia bolały więc bardzo. Szedłem jednak spokojnie, z godnością przyjmując ciosy.

– Patrzcie, jaki chojrak – krzyknął jeden z nich, wzmagając uderzenia.

Za chwilę wyskoczył za drzwi Irek, na którego plecach też siedziało dwóch pałkarzy. Ci, co bili dotychczas mnie, natychmiast wspomogli

kolegów. Po paru metrach zasapali się i dali spokój, chociaż Irek wykrzykiwał coś tam o bandytach.

– Irek, uspokój się, idziemy na komisariat na skargę.

– Na jaką skargę? – zdziwił się rozżalony kolega.

– No, że nas niewinnie pobili – odpowiedziałem naiwnie.

Po drodze spotkaliśmy dwóch cywili. Skrzywdzony kolega pożałował się i powiadomił, że idziemy się skarżyć.

– Bardzo dobrze robicie, nareszcie tych łobuzów ktoś nauczy rozumu – powiedział jeden z nich, gdy dowiedział się, kim jesteśmy.

Drugi mu przytaknął i przyznał się, że też jest... milicjantem.

– Byliśmy w barze i wszystko widzieliśmy. Nie mieli prawa was tak katować – dodał.

Natychmiast wyciągnąłem z kieszeni kartkę papieru i poprosiłem milicjanta o podanie numeru służbowego i podpisu pod nim. Ten, o dziwo, spełnił moją prośbę. Nazwiska nie chciał jednak podać, podobnie jak jego kolega.

– To powinno wystarczyć – dodał milicjant.

W dalszej drodze spotkaliśmy następnych przechodni, Irek znów się pożałował i powiadomił, gdzie się udajemy. Ci również okazali nam sympatię.

– Dobrze robicie, niech tych bandytów ktoś wreszcie poskromi – dodał jeden z nich, podobno jakiś znany ważniak i działacz partyjny (a może to był Staszewski?).

Gdy znaleźliśmy się tuż przed komisariatem podjechała milicyjna Warszawa, z której wypadli znajomi pałkarze.

– Co, skurwysyny, chcieliście się skarżyć na milicję? My wam teraz pokażemy!

Było ich czterech i dziarsko rzucili się do bicia, ale o dziwo nie pałkami, a pięściami i kopniakami. Takie formy agresji raczej mnie rozbawiły, z łatwością unikałem ciosów, podobnie kolega. Byli to starsi grubawi i niscy faceci, i mimo że było ich po dwóch na jednego nie zrobili nam żadnej krzywdy. Gdyby to nie byli milicjanci w mundurach, dostaliby od nas duży wycisk. A może chcieli nas w ten sposób sprowokować?

– Irek, nie daj się sprowokować i nie atakuj! – krzychałem raz po raz do kolegi, odbijając ciosy.

Na szczęście posłuchał. Faceci szybko się zasapali i krzyknęli:

– Do samochodu. Jedziemy na komisariat!

– Przecież się nie pomieścimy w szóstkę, a komisariat jest pięć metrów stąd – zaśmiałem się.

Tłumiąc przekleństwa, otworzyli drzwi od komisariatu. Za kontuarem siedział jakiś glina w mundurze starszego sierżanta. Milicjanci zaczęli gorączkowo nawijać jakieś bzdury. Próbowałem im przerwać.

– Dokumenty – huknął ten zza lady.

– Chciałem zobaczyć się z oficerem dyżurnym – powiedziałem, wręczając sierżantowi przepustkę.

– Ja tu pełnię obowiązki oficera dyżurnego – odpowiedział.

– Zostałem pobity przez milicję, czuję się słabo, proszę o lekarza – usiłowałem przejąć inicjatywę.

– Ja ci zaraz, cwaniaku, dam lekarza. Do celi z nimi! – krzyknął.

Tego się najbardziej obawiałem. Słyszałem już, że milicja w Płocku jest bardzo brutalna, co już odczułem. Podobno kiedyś w celi skatowali niewinnego chłopaka na śmierć. Myślałem, że podobnie postąpią z nami. Natomiast kolega był w świetnym humorze, zupełnie nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji. Na dole przejął nas następny sierżant, kazał oddać paski, krawaty i sznurowadła. Nie zapomniał, niestety, o papierosach i zapałkach, chociaż dwie fajki udało mi się ukryć w mankiecie spodni. Ubawiłem się trochę, oddając pieniądze i obrączkę. Klawisz miał kłopoty z zapisaniem słownie kwoty pieniędzy, a jeszcze więcej trudności sprawił mu opis złotej obrączki.

– Obrączka żółta – napisał w protokole.

– Pisz się „żółta” przez „ó” – poprawiłem. I nie żółta, a złota – dodałem.

– Nie jestem jubilerem – warknął.

– To ja podyktuję próbę – powiedziałem, odczytując cyfry na spodzie obrączki.

Podczas tych moich sporów Irek tak się zarykiwał, że klawisz wyrzucił go w końcu za drzwi. Byłem zły na kolegę, bo obawiałem się, że milicjant wkurzy się i wezwie na pomoc pałkarzy. Ale nic takiego nie nastąpiło i zostaliśmy odprowadzeni do celi. Na szczęście nie do ogólnej, gdzie słychać było pijackie ryki i odgłosy rzygania, ale do oddzielnej. W celi nie było raczej komfortu; prycza z desek miała służyć nam za łóżko. W takim hotelu jeszcze nie spałem. Położyliśmy się na tych dechach, ale na plecach leżeć nie mogłem, były zbyt obite. Ponieważ póki co nikt nas nie zamierzał bić, humor mi się poprawił. Przypomniał mi się adekwatny do sytuacji wiersz rewolucyjnego poety, bodajże Broniewskiego i zacząłem deklamować.

Siedzimy z Janem w celi trzynastej...

Ano różnie się w życiu zdarzy

Ktoś napisał węglem na ścianie

Niech żyje walka piekarzy.

– Hej „Janie”, nie masz może ognia? – zwróciłem się do kolegi, wyciągając fajki.

Ta radosna nowina pobudziła kolegę do działania.

– Sierżanciku! – krzyknął, zrywając się z pryczy.

Nie pomogło, zaczął więc walić w drzwi. Zjawił się klawisz.

– Czego?

– Siusiu.

Naburmuszony sierżant wyprowadził nas do zarzyganego kibla. Gdy wracaliśmy, Irek wsadził papierosa do ust i zapytał konfidencjonalnie:

– Nie ma pan ognia?

W odpowiedzi papieros został bez słowa zabrany. A szczęście było tak blisko.

Noc była chłodna, była połowa października, ale jakoś dotrwaliśmy do świtu. Rano, kilka minut po piątej, drzwi się otworzyły,

wręczono nam przepustki i wypuszczono. Poszliśmy prosto do pracy, po raz pierwszy zdążyliśmy i byliśmy nawet parę minut przed szóstą. Dobrze, że już oswoiliśmy współpracowników, że dzień zaczyna się od mocnej herbaty. Tego dnia, jak nigdy, jeden z młodych techników klepnął mnie przyjacielsko w plecy.

– O rany! – skrzywiłem się z bólu.

– Co, boli? – zapytał ze współczującym uśmiechem.

Później się dowiedziałem, że jego ojciec jest milicjantem i prawdopodobnie to on tłukł mnie wczoraj pałką. To uderzenie przypomniało mi, że powinienem zgłosić się do lekarza po obdukcję. Zamierzałem bowiem wytoczyć płockiej milicji sprawę sądową o pobicie. Jednak niespodziewanie napotkałem na stanowczy opór Irka.

– Proszę cię, nie idź do lekarza – błagał ze strachem w oczach.

– Ale dlaczego? – zdziwiłem się.

Kolega milczał w odpowiedzi. Dałem więc spokój, co później okazało się poważnym błędem. Za parę dni pojechałem do Poznania „w kamasze”. Myślałem, że incydent z milicją przejdzie bez konsekwencji, ale pod koniec pobytu w woju dostałem list od kolegi, że został wezwany na Kolegium i ukarany „za niewinność” mandatem 500 zł. Najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że przewodniczącym Kolegium był jego znajomy z Jelonek. Podobno był to najniższy z możliwych mandatów, bo fama głosiła, że z milicją w Płocku nie można wygrać. Wkrótce i ja, po powrocie z wojska, dostałem wezwanie. Zarzut brzmiał: „w stanie nietrzeźwym zakłócał spokój publiczny”. Postanowiłem walczyć. Na szczęście zachowałem tę kartkę papieru, na której spotkany milicjant w cywilu zapisał swój numer służbowy i się pod nim podpisał. Zrobiłem ksero i udałem się na posterunek z prośbą o podanie mi nazwiska i adresu tego milicjanta. Jednak odprawiono mnie z kwitkiem. Nic to, pojechałem w najbliższą sobotę do Warszawy w nadziei, że skontaktuję się z Piotrem, znajomym oficerem milicji z komendy wojewódzkiej. Niestety, Piotr wyjechał do sanatorium po przebytym zawale serca. Mimo to nie zrezygnowałem...

Na Kolegium przyprowadziłem sześciu kolegów, z którymi się żegnałem pamiętnego wieczoru. Wszyscy mieli tytuły: mgr inż. – co musiało zrobić wrażenie. Potwierdzili, że tego wieczorem nie piłem alkoholu, ponieważ bolał mnie żołądek. W ten sposób łatwo obaliłem pierwszą część zarzutu. Z drugą częścią było trudniej. W Kolegium, składającym się z paru nieznanymi mi osobami, ale zachowujących się raczej przyjaźnie, rej wodził milicjant z dystynkcjami starszego sierżanta. Był niezwykle agresywny, zadawał jakieś podchwytliwe pytania. Ich cel jednak bez trudu odgadywałem, jeszcze zanim kończył je zadawać. Odpierałem więc jego zarzuty z łatwością. Facet robił się coraz bardziej wściekły, a ja coraz bardziej się uspokajałem i coraz częściej przechodziłem do ataku. Duże wrażenie zrobiło moje zeznanie o odmowie wezwania lekarza, bo wyjaśniłem, że chciałem oddać krew na pomiar zawartości alkoholu. Zdecydowany przełom nastąpił, gdy opowiadałem, że uniemożliwiono mi powołanie świadków w osobach milicjanta w cywilu i jego szwagra. Wcześniej napisałem i złożyłem w tej sprawie pismo wyjaśniające, co było znakomitym posunięciem. Gdy podałem numer służbowy tego milicjanta, sierżant zarzucił mi, że kłamie. Zwróciłem się więc do protokolanta:

– Proszę zapisać, że sierżant, który jest członkiem Kolegium, zarzuca mi kłamstwo i twierdzi, że milicjant o podanym przeze mnie numerze nie pracuje w płockiej milicji.

– A po co to panu? – spytał lekko zaniepokojony przewodniczący.

– Bo chcę wystąpić do sądu o odszkodowanie za bezprawne pobicie mnie przez milicję.

Zapadła cisza. Milicjant zrobił się purpurowy na twarzy, a potem zbladł i zamilkł. Ostatni akord nastąpił, gdy wezwany na świadka milicjant, Józef Zalewski (pamiętam do dziś), ten, który mnie najmocniej tłukł pałą, stwierdził nieoczekiwanie, że mnie nie rozpoznaje. Był wyraźnie poddenerwowany i unikał przy tym mojego wzroku.

– Boi się bydlak – pomyślałem z satysfakcją.

Gdy milicjant, koronny świadek oskarżenia, wyszedł, nastąpił finał.

– O co pan prosi Kolegium? – spytał przewodniczący.

– Jak to, o co? O niewinnienie! – powiedziałem zdecydowanie.
– Proszę podpisać protokół – poprosił szef.
– Nie podpiszę tego protokołu! – powiedziałem po uprzednim przeczytaniu.

– Dlaczego?

– Dlatego, że jest nieścisły.

– Bo pan zbyt szybko mówi – zdenerwował się protokolant.

– Wobec tego proszę pisać od nowa. Będę dyktować.

Po czym usiadłszy bezczelnie na rogu stołu, tuż przy piszącym, dyktowałem mu starannie to, co zeznawałem przedtem. Po przeczytaniu i poprawianiu paru literówek złożyłem wreszcie podpis. Kazano mi opuścić pomieszczenie i po paru minutach wezwano powtórnie, by odczytać werdykt. Byłem niewinny! Tak oto pierwszy raz w historii Płocka ktoś wygrał z milicją. Teraz należało wystąpić do sądu o odszkodowanie za pobicie. Niestety, główny dowód, jakim powinna być obdukcja lekarska nie istniał. Dałem więc sobie spokój i zająłem się sprawą istotną, jaką była walka o zwolnienie się z Płocka i przeniesienie do Ursusa. Miałem już dość tego miasta, jego atmosfery, układów w pracy i poza nią. Wprawdzie do fabryki przybył nowy główny technolog, bodajże z Łabęd i powiało zmianami, bo facet był normalny i kontaktowy. Nowy szef słusznie postawił na absolwentów naszej uczelni, ale jedna jaskółka nie czyni wiosny. Rychło dostałem od niego propozycję pracy na stanowisku kierownika sekcji obróbki kół zębatych.

Na kołach zębatych niejedyn już zęby sobie połamał. Wymaga ją bowiem bardzo dużej liczby obliczeń. Ponadto jest wiele metod obróbki skrawaniem tych kół, a każda metoda wymaga nieco innego algorytmu obliczeń. W epoce, kiedy nie było jeszcze komputerów i gotowych programów obliczeniowych, była to mordercza i odpowiedzialna praca. Każda metoda wymagała zakupu specjalnych, przeważnie zachodnich, bardzo drogich obrabiarek do obróbki skrawaniem. W celu ustawiania parametrów przyjeżdżały ekipy zagraniczne, ustawiały parawany wokół obrabiarek i dokonywały niezbędnych

czynności ustawczych. Największy problem stanowiła obróbka cieplna. Koła były bowiem zazwyczaj bardzo silnie obciążone podczas pracy, wymagały więc po obróbce mechanicznej wzmocnienia wytrzymałości zębów, a hartowanie czy nawęglanie powodowało zmianę wymiarów. Można było wszystkie obliczenia wykonać prawidłowo, a koła po obróbce cieplnej nie pasowały do siebie. Przyczyną była niejednorodna struktura materiału, z którego były wykonywane. Za jakość wytopu odpowiadały huty, a huty – zarówno polskie jak i z krajów demoludów – były znane ze słabej jakości wyrobów. Najważniejszym tego powodem był właśnie plan produkcji, który należało zawsze przekraczać w celu otrzymania premii. Rozpisałem się obszernie o tych trudnościach, bo były one powszechne i gdybym został w Płocku, miałbym niezły pasztet z tymi kołami. Ale już nie chciałem tu pracować, o czym lojalnie powiadomiłem nowego szefa, który podziękował mi za szczerłość, żałując jednocześnie, że chcę odjechać.

Zdobyłem w spółdzielni mieszkaniowej w Płocku pismo, że nie przewidują w najbliższych latach udostępnienia nowych lokali spółdzielczych fabryce. To był koronny dowód, że mój zakład pracy nie wywiązuje się z umowy stypendialnej. Złożyłem więc wypowiedzenie z pracy, naturalnie z kopią do Zjednoczenia. W podaniu powołałem się między innymi na konieczność zachowania rodziny, tej podstawowej komórki społecznej. Z tego sformułowania o „podstawowej komórce społecznej” śmieli się moi koledzy, czytając podanie, ale był to ważki argument.

Dzięki podaniu o wypowiedzenie zyskałem dodatkowe dni na szukanie pracy, którą załatwiał się poprzez Zjednoczenie. W najbliższy poniedziałek zawitałem na Kruczą do samego naczelnika działu kadr, pana Sikorki. Był to starszy, jowialny pan o dobrodusznym wyglądzie, myślałem więc, że załatwię sprawę bez trudu. Jakże się myliłem. Naczelnik powiedział, że nie ma mowy o pracy w Ursusie, bo nie mam zameldowania w Warszawie i zaproponował mi pracę w innych fabrykach maszyn rolniczych w Polsce, a więc w Kunowie, Dobrym Mieście,

Słupsku... Ponieważ upierałem się przy Ursusie, wizyty u Sikorki trwały wiele razy. Ja miałem swoje argumenty, a on swoje. W miarę upływu czasu nasze spotkania zaczęły przybierać coraz gwałtowniejsze formy. Doszło do tego, że zaczął mnie unikać i któregoś dnia dorwałem go tuż przed końcem godzin urzędowania. Byłem już niezłe wkurzony i gdy zaproponował mi po raz kolejny pracę w jakiejś miejscowości, gdzie można po robocie pójść na grzybki, ewentualnie hodować kury, prze-rwałem mu te opowieści i zaproponowałem, żeby to on zmienił pracę i poszedł na wieś hodować kurki, zwłaszcza że jest w odpowiednim do tego wieku. Sikorka nie wytrzymał i trzasnął pięścią w stół.

– Pojdzie pan tam, gdzie ja panu wskażę! – wrzasnął.

Byłem już wkurzony do tego stopnia, że też trzasnąłem pięścią w stół.

– A właśnie, że nie. Mam w Warszawie żonę i dziecko i nie zamierzam się przeprowadzać. Ja żądam pracy w Ursusie!

– A ma pan zameldowanie w Warszawie? – wyciągnął koronny powód oporu.

– Nie, ale jestem zameldowany w Milanówku. Wystarczy? – zapytałem jadowicie.

Strzał był celny, facet nie wytrzymał, złapał się za serce i wyszedł z pokoju, trzaskając drzwiami.

Jego sekretarka była oburzona.

– Jak pan śmie tak rozmawiać ze starszym człowiekiem.

– Ma pani pracę? Mieszka pani z rodziną? – zaatakowałem.

– Tak – odpowiedziała zaskoczona.

– No to niech pani siedzi cicho. Ten starszy człowiek przeszkadza mi w połączeniu się z rodziną. Moja żona ma tu dobrą pracę i nie chce wyjeżdżać z Warszawy.

Czułem, że sprawa zaczyna się prostować. Pomogło mi zwłaszcza załatwienie stałego zameldowania w Milanówku u Marka. By mieć więcej argumentów, pojechałem do Ursusa zorientować się, czy tam znajdzie się praca. Okazało się, że bardzo potrzebują absolwentów

naszego wydziału. Zaopatrzyłem się w odpowiednie pismo i tak uzbrojony wparowałem do Sikorki jeszcze raz. Ten przyjął mnie zrezygnowany i podpisał bez słowa zgody! Kurcze, nie można było tak od razu?

Do Płocka pojechałem jak na skrzydłach. Gdy zreferowałam wszystko Irkowi, ten natychmiast rozpoczął starania o zwolnienie, podobnie zrobiło paru innych kolegów.

Tuż przed zakończeniem pracy w Płocku, gdzieś w końcu czerwca, wyrwaliśmy się z Irkiem w góry. Nie miałem już urlopu, załatwiłem więc sobie zwolnienie lekarskie. Miałem zszargane nerwy, o czym powiedziałem otwarcie lekarzowi. Przewędrowaliśmy kawałek Gorców i Pienin z plecakiem i namiotem na plecach. Nie zapomnę widoku z Sokolicy na wijącą się kilkaset metrów w dole wstęgę Dunajca. Z wędrowki pamiętam zwłaszcza moment, gdy zeszliśmy z gór do Piwnicznej. Jest tam nad Popradem „małpi gaj”, jak Irek nazwał ten teren zabawowy dla dzieci – zjeżdżalnie, karuzele, drabinki itp. Tam po wypiciu odpowiedniej dawki wina zajęliśmy się czynnie rekreacją na dziecięcym poziomie. Nie przypuszczaliśmy wtedy, że za parę lat będziemy Dunajcem, Popradem i innymi górskimi rzekami spływać na kajakach.

Ten odpoczynek pomógł mi bardzo w ostatnich trudach pracy. Wspomnę sam jej ostatek. Miałem już podpisane wszystkie wymagane papiery, w tym tzw. kartę obiegową, a dyrektor naczelny podpisał opinię i zwolnienie z pracy. Brakowało tylko podpisu kierownika działu kadr. Ten urzędował na pierwszym piętrze. Szczęśliwy jak skowronek na wiosnę wbiegam do niego i kładę papierek na biurko. Stary ubek, bo tylko tacy bywali kadrowymi, spojrzał na mnie z nienawiścią oczach i... odmówił podpisania. Była to jawna niesubordynacja wobec naczelnego. Zbiegłem więc na dół i zameldowałem o tym fakcie szefowi. Ten złapał za telefon i byłem świadkiem nieparlamentarnej rozmowy. Pobiegłem znów na górę i znów bez skutku. Zbiegłem więc na dół i zaproponowałem naczelnemu, by wezwał kadrowego

do siebie. We dwóch jakoś go zmusimy. Tak się stało, ale jeszcze nigdy nie widziałem tak nienawidzących się ludzi. Za chwilę byłem wolny!

Parę dni później Irkowi też udało zwolnić się z Płocka. Chyba na początku sierpnia razem zaczęliśmy pracę w Ursusie. A parę miesięcy później pojawił się tutaj naczelny dyrektor Fabryki Maszyn Żniwnych w Płocku.

14. MY CZTEREJ PANCERNI

DO WOJSKA DOSTAŁEM WEZWANIE W BREW PRZEPISOM, BO JESZCZE BYŁEM NA STAŻU, CZYLI POD OCHRONĄ. W dodatku zmieniono mi specjalność z samochodowej na pancerną. Ale czasy były nerwowe, bo miłujący pokój Związek Radziecki gwałtownie szykował się do wojny, do czego i Polskę oraz inne kraje obozu pokoju usilnie przynaglał. I to nie do wojny obronnej, a do ataku przy użyciu czołgów. Czuję, że szykują nas na mięso armatnie.

W książce Wiktora Suworowa *Tatiana – tajna broń*, wydanej w 2013 roku przez wydawnictwo „Rebis” w Poznaniu, Suworow, były czołgista, a później – dzięki wykazanej samodzielności działania podczas alarmu – zwerbowany do GRU, obecnie jest znanym rosyjskim pisarzem i historykiem. Za swoje „przebojowe” książki został skazany zaocznie na karę śmierci za zdradę. Ten przenikliwy analityk, gdy pisał o historii ZSRR, podważył wiele z obowiązujących w ZSRR dogmatów. W *Lodołamaczu* udowodnił, że Hitler ubiegł uderzenie Stalina na Europę o kilka tygodni. W *Tatianie* (nazwa bomby atomowej użytej w 1954 roku na poligonie w Tocku) przekonywująco stwierdził, że po śmierci Stalina Chruszczow postanowił zawojować Europę Zachodnią przy pomocy ataku atomowego i użyciu wojsk pancernych. Naturalnie, wszystkie siły miłujące pokój usiłowały i usiłują tym tezom zaprzeczyć. Nawet po tym, jak z Polski uciekł pułkownik Kukliński razem z setkami odpowiednich dokumentów, ba, nawet z mapami

planu ofensywy Paktu Warszawskiego. Według tego planu nasze siły pancerne miały uderzać na Danię.

Ze skierowaniem w rękę zgłosiłem się więc do Oficerskiej Szkoły Wojsk Pancernych w Poznaniu. Z pewną ciekawością przekroczyłem bramę koszar i dotarłem do właściwego budynku, w którym powitał mnie major Brodzik, który był dowódcą kursu oficerskiego dla podchorążych po studiach politechnicznych. Takich szczęściarzy jak ja było więcej, wkrótce zostaliśmy umundurowani i skoszarowani. Ponieważ tego dnia nie było jeszcze żadnych zajęć, skompletowałem więc paru ochotników i wyskoczyliśmy za bramę koszar do pobliskiej restauracji na „małe co nie co”, jak mówił bodajże Miś Puchatek. Wracając, podpadłem Brodzikowi, który niebacznie szedł za nami, bo czapkę żołnierską trzymałem pod pachą, a ręce w kieszeniach. Na drugi dzień rano również mu podpadłem. Siedzieliśmy akurat w sali wykładowej, było nas kilkadziesiąt.

– Chciałem zwrócić podchorążemu uwagę, że włosy muszą być krótko ostrzyżone.

Mówiąc to, wskazał palcem w moim kierunku. Siedziałem na końcu sali i na przedłużeniu linii pokazanej przez majora znajdowało się kilkunastu ludzi. Wszyscy kolejno wstawali, pytając się, czy to o nich chodzi, ale ręka majora nie opadała i palec majora ciągle był w górze. Gdy doszło do mnie, nie wstałem, obejrzałem się (świadomie) do tyłu. Za mną była tylko ściana.

– Podchorąży, to o was chodzi – powiedział cierpko major. – Wasze nazwisko?

Przedstawiłem się. Major nie zamierzał na tym poprzestać.

– Zwracam podchorążemu uwagę, że mundur zobowiązuje i należy go godnie nosić.

Tak więc pierwsze lody zostały przełamane.

Zajęcia odbywały się według systemu znanego jeszcze z obozów wojskowych. A więc pobudka, gimnastyka poranna, polegająca na biegu w szyku wokół koszar, śniadanie i zajęcia teoretyczne do obiadu.

Po obiedzie był czas wolny, który wykorzystywaliśmy na gry i zajęcia sportowe. Graliśmy przeważnie w siatkówkę, potem mokrzy od potu szliśmy pod prysznic, a spod niego na basen. Przy basenie był również zbiornik specjalny, w którym był zatopiony kadłub czołgu T-55. Tam ćwiczyliśmy ewakuację załogi z zatopionego pojazdu. Zadanie to było dla mnie zabawą, ale większość kolegów miała poważne trudności. Gdybyśmy zostali zatopieni w czołgach na jakiejś łabie, podczas ataku na zachodnich kapitalistów, niewielu by ocalało.

Po kolacji czas przeznaczony na ewentualną naukę własną najchętniej spędzałem w kasynie, uzupełniając płyny, które straciłem na treningu. Przyznam się, że podobało mi się takie życie, a zwłaszcza pobyt w kasynie i wkrótce znalazłem grono podobnych do mnie entuzjastów.

Na kursie były prowadzone dwa różne typy szkoleń. Jedno dla dowódców taktycznych, a drugie dla obsługi techniczno-remontowej czołgów. Czyli jednych szkolono do walki, a drugich do ściągania rozbitych pojazdów z pola walki i ich naprawy gdzieś na tyłach. Te dwie grupy różniły się między sobą. Ci przeznaczeni do walki byli bardziej nerwowi, energiczni i z inicjatywą, czyli najkrócej mówiąc – zawadziacy. Inny typ osobowości przedstawiali koledzy od obsługi technicznej, bo byli na ogół spokojni, raczej flegmatyczni i solidni. Ten podział nie był chyba przypadkowy, przeprowadzono go zapewne jeszcze przed przyjazdem na szkolenie, czyli ktoś musiał prześledzić nasze charakterystyki osobowe. Takie przypuszczenie ma sens, gdyż np. Marka, mojego kolegę z Milanówka, chłopaka spokojnego, przydzielono do remontów, a mnie do walki. Zastanawiające, że do kasyna też chodzili częściej ci bardziej waleczni.

Ciekawiły mnie zajęcia związane z budową i obsługą czołgu, który w porównaniu z samochodem był o niebo trudniejszą konstrukcją. Posiadał takie interesujące urządzenia jak napęd gąsiennicowy, mechanizm kierowniczy, sterowany za pomocą dwóch drążków, mechanizm rozruchowy i inne urządzenia wspomagające, nieznanne w samochodzie, oraz radiostację. No i przede wszystkim – w czołgu

znajdowało się działa – umieszczone w obrotowej wieży, wyposażone w elektroniczny stabilizator dla utrzymania kierunku namierzonego wcześniej celu.

Niedługo po zajęciach teoretycznych zaczęły się praktyczne, z których najwięcej emocji wywołała jazda czołgiem, zwłaszcza po terenie zwanym czołgowiskiem. Na czołgowisku były specjalne „góry i doliny”, a w tych dolinach znajdowała się woda. Jazdę trzeba było opanować do perfekcji, co sprowadzało się głównie do umiejętnego operowania pedałem gazu. Gdy dawało za dużo się gazu, do luku kierowcy wlewała się woda, gdy gazu było za mało – silnik gasł i później ciężko było wydostać się z dołka między kolejnymi stromymi wzniesieniami. Major opowiedział nam o podchorążym, który był artystą w prowadzeniu czołgu. Kiedyś po listopadowych przymrozkach facet jechał po czołgowisku z dużą prędkością, miał otwarty luk kierowcy, tafla lodu z kałuży trafiła go w czoło i zadziałała jak gilotyna...

Pakowano nas po czterech do T-34, znanego z filmu „Czterej pancerni”, i trzeba było obsługiwać po kolei wszystkie urządzenia i stanowiska pracy podczas jazdy. Najgorzej było siedzieć na samej górze w wieży, na stanowisku dowódcy, bo tam najwięcej kołysało. Im człowiek bardziej się usztywniał, tym mocniej uderzał o ciasne wnętrze. Przed uderzeniami w głowę chroniły hełmofony mające specjalne wkładki i pełniące role zderzaków.

Po przejściu teoretycznego przeszkolenia artyleryjskiego zaczęły się strzelania. Trzeba było pobrać pociski z podziemnych magazynów i szukano ochotników. Zgłosiłem się z prostej ciekawości. Pierwsze skrzynie z pociskami ładowaliśmy bardzo ostrożnie, ale już ostatnie z minami starych wiarusów.

Strzelanie z działa było przeżyciem znacznie mocniejszym. Wnętrze przedziału bojowego wypełniały po wystrzale ogromne ilości gazów prochowych. Gdyby nie sprawnie działające, silne wentylatory, pobyt w środku kończyłby się błyskawicznym uduszeniem i to mimo otwartych wszystkich włazów.

Czas biegł szybko. Pod koniec drugiego miesiąca pobytu, już w grudniu, kiedy spadł śnieg, oficer z terenoznawstwa wpadł na szatański pomysł, by wywieźć nas w teren – w lasy, pod Poznań, na zajęcia praktyczne. Każdy dostał mapę „setkę” w rękę, ustalono miejsce i czas zbiórki i co kilka minut jeden z nas wysiadał, by samodzielnie kontynuować dojscie do celu. Należało pilnie śledzić trasę, co nie było łatwe, bo jechaliśmy załadowani wewnątrz pokrytej plandeką skrzyni samochodu ciężarowego. W końcu przyszła kolej na mnie. Wsiadłem w lesie, śnieg powyżej kostek. Pustka. Mimo że z mapami miałem do czynienia od dziecka, z trudnością ustaliłem, gdzie jestem. Coś mi ten las nie pasował do miejsca, gdzie stałem. Na mapie podano bowiem przeciętną wysokość drzew i ich „pierśnicę”, czyli średnicę na wysokości piersi, a las był wyraźnie starszy. Po uważnym przestudiowaniu mapy odkryłem, że dane są sprzed dwudziestu bodajże lat. To mi pomogło zorientować się, gdzie jestem i znaleźć drogę powrotną. Na punkcie kontaktowym znalazło się może z połowę żołnierzy. Oficer nie czekał ani minuty na pozostałych, lecz załadował nas na skrzynię samochodu i odwiózł do koszar. Twarda szkoła, bo ci, co nie dotarli na czas, musieli dotrzeć do koszar na własną rękę. Zauważyłem, że najstabiliej orientują się w terenie poznaniacy. Niektórzy z nich zjawili się w koszarach dopiero po kilku dniach.

Dwa miesiące minęły jak z bicza strzelił. Jeszcze parę razy podpadłem Brodzikowi za niesumienne pełnienie funkcji oficera dyżurnego na terenie kompanii. Przeważnie za czytanie książek lub grę w szachy. Obie te rozprasające uwagę i czujność czynności były bowiem zakazane. Raz na grze nakrył mnie dowódca kursu, pułkownik S. Obsztorcował mnie, kazał znaleźć natychmiast zastępstwo i rozkazał udać się do jego gabinetu. Wkrótce zameldowałem się nieśmiało w pokoju surowego zwierzchnika. Ten przywitał mnie uśmiechnięty i... zaprosił do szachownicy. Naturalnie musiałem grać tak, by przełożony był zadowolony.

W szachy nauczyłem się grać dosyć późno, bo gdzieś w dziewiątej klasie. Mój młodszy brat, Witia, grał w szachy z ojcem długi czas.

Namawiali mnie na naukę, tej podobno niezwykle mądrej gry, ale denerwowało mnie to, że trzeba godzinami siedzieć przy szachownicy. W końcu jakoś się przemogłem, bo obaj domownicy zaczęli się ze mnie podśmiewać, że jestem widocznie zbyt głupi do tej królewskiej przecież gry. Brat wytłumaczył mi zasady i zaskoczyłem. Kupiłem podręcznik do nauki z fajnymi, dowcipnymi rysunkami, tłumaczącymi ważniejsze zasady i po jego przestudiowaniu zacząłem wkrótce ogrywać i brata, i ojca. Ponieważ nabrałem wielkiej ochoty na granie, a obaj ją stracili, wstąpiłem do kółka szachowego w szkole, gdzie organizowano turnieje. Tam mistrzem był kolega ze starszej klasy. Nazywał się Grzyb. Grę w szachy opanował już w wieku pięciu lat.

W turnieju zająłem miejsce w czołówce. Zwyciężył oczywiście młodociany geniusz, ale moim największym sukcesem było to, że z nim zremisowałem.

W następnym roku mistrz szachowy uzyskał maturę i już nie było komu organizować turniejów. Potem grałem w szachy sporadycznie, było wiele innych bardziej atrakcyjnych rozrywek. Kiedyś niebacznie wdałem się w pojedynek w Domu Kultury, gdzie akurat trenowali miejscowi szachiści. Byłem na dopingu; przedtem wypłem jakieś wino, ale bez trudu dałem mata przeciwnikowi. Ten spojrzał na mnie uważnie i poprosił o rewanż. Zgodziłem się. Po chwili nasz stolik otoczyli inni szachiści, którzy głośno komentowali pojedynek odzywkami w stylu:

– O, popatrzcie – obrona sycylijska (czy jakoś inaczej).

Byli pełni podziwu dla mojego ofensywnego i nietypowego stylu gry, zwłaszcza że znów wygrałem. Okazało się, że pokonałem tutejszego mistrza. Gdybym to wiedział, to nigdy bym nie podjął wyzwania. Na studiach grywałem sporadycznie, często wygrywałem z kolegami, ale raz zmłócił mnie jakiś facet grający w lidze szachowej i wtedy zrozumiałem, że ten sport, jak każdy inny, wymaga treningu. Z pułkownikiem grywałem już do końca mego pobytu na przeszkoleniu, jak już wspomniałem, zachowywałem należyty umiar i poskramięłem naturalną chęć dołożenia przeciwnikowi. Moje frustracje odbijałem sobie

na strzelnicy u Brodzika. W strzelaniu z pistoletu byłem celujący. Na początku, pamiętam, major spojrzął z niedowierzaniem w tarczę:

– Udało się wam?

– Panie majorze, zakład o pół litra, że powtórzę wynik.

Ten podał mi nabity pistolet i po chwili... stracił humor.

Strzelania nauczył mnie ojciec, pasjonat, który kupił kiedyś wiatrówkę i ćwiczył mnie i brata, ciągle podwyższając wymagania.

– Pamiętajcie chłopcy, każdy strzał powinien być celny, polskim żołnierzom zawsze brakowało amunicji.

Na zakończenie pobytu odbyły się egzaminy i... do cywila. Po roku dostaliśmy powiadomienia, że zostaliśmy podporucznikami Ludowego Wojska Polskiego. I na tym powinno się zakończyć karierę wojskową. Jednak wymóg chwili, czyli planowane zajęcie całej Europy, spowodowało, że po czterech latach zawitałem ponownie do Poznania. Ten sam major Brodzik przywitał mnie z krzywym uśmiechem, zwłaszcza że przyjechałem z gitarą. Nie przepadaliliśmy za sobą, bo był kompletnie pozbawiony poczucia humoru, o czym może świadczyć jedno wydarzenie. Staszek K., szef „kuźni” w Płocku, który odbywał szkolenie razem ze mną, kupił dziecku zabawkę. Tą zabawką, zapewne nie przez przypadek, był czołg napędzany bateriami i sterowany za pomocą kabla z przyciskami. W dużej sypialni, gdzie stały w dwóch rzędach nasze łóżka, otoczony kolegami Staszek przeprowadzał próbę, czy zabawka działa poprawnie. A ponieważ odbył już przeszkolenie artyleryjskie, podawał więc stosowne komendy:

– Celownik 00-10, odległość 2.000, czołg przeciwnika, przeciwpancernym ładuj! Po chwili padało – Ognia!

Wielu chciało sprawdzić, jak działa zabawka. To zajęcie tak nas wciągnęło, że zapomnieliśmy o Bożym świecie, zwłaszcza że cele ogniowe coraz bardziej odbiegały od tych, jakie mogły się pojawić na polu walki, a komendy stawały się coraz bardziej kabaretowe. Przy bardziej dowcipnych odzywkach towarzyszył tej zabawie chóralny wybuch śmiechu. W pewnej chwili w drzwiach stanął major Brodzik.

Zauważyłem go, powinienem więc przerwać zabawę okrzykiem:

– Towarzysze oficerowie!

Ta komenda zastępowała komendę „bacność”, stosowaną normalnie w wojsku i była używana tylko w odniesieniu w stosunku do oficerów, jakimi już byliśmy. Jednak świadomie tego nie zrobiłem, bo byłem ciekaw reakcji majora. Ten stał dłuższą chwilę i zauważyłem ze zdziwieniem, że zamiast bawić się jak my, stawał się coraz bardziej zdumiony. W końcu ktoś krzyknął stosowną komendę i zaczął meldować przełożonemu, skręcając się przy tym ze śmiechu. Ten przerwał meldunek machnięciem ręki.

– Bawicie się panowie jak dzieci – powiedział z niesmakiem i wyszedł.

Nazywałem go kapralem w mundurze majora. Był to przyzwoity człowiek, tylko ogromny służbista. Biedaka omijał awans na stopień podpułkownika, bo do tego było wymagane ukończenie studiów, bodajże prawniczych. Wprawdzie już na poprzednim szkoleniu był na drugim roku, ale jakoś nie mógł, i to po czterech latach, zdać wszystkich egzaminów. Trochę mnie to dziwiło, bo nam wykładał regulaminy wojskowe, i znał je wszystkie na pamięć. A przecież przepisy regulaminowe są podobne do prawnych.

Reprezentowaliśmy bardzo luzacką postawę wobec naszej służby wojskowej i stopni oficerskich. Kiedyś w bibliotece natrafiłem na wspomniałą zdobycz, *Przygody kanoniera Dolasa*, na podstawie tej książki zrobiono znany film zatytułowany *Jak wywołałem drugą wojnę światową*. Książkę czytali po kolei wszyscy, a co zabawniejsze fragmenty odczytywaliśmy przed snem na głos. Podobnie było ze znanym dziełem Haszka o dobrym wojaku Szwejku. Utkwił mi w głowie zabawny incydent związany z wizytą generała. Wracaliśmy ze śniadania luźną grupką, a generał stał akurat przy budynku, obok którego musieliśmy przejść. Natychmiast sformowaliśmy kolumnę dwójkową, bo w takim szyku honory oddaje tylko pierwsza dwójka maszerujących. Ale co to? Pierwsza dwójka, zamiast zachować się, jak przystało na oficerów,

zatrzymała się i puściła przed siebie drugą. Ta zachowała się podobnie, i później następne. Doszło do tego, że nikt nie oddał honoru panu generałowi, stojącemu w wianuszku starszych oficerów sztabowych, w tym majora Brodzika.

Oficerowie, którzy nam wykładali poważne przedmioty, jak np. taktykę, też byli na luzie i chętnie z nami rozmawiali podczas przerw. Kiedyś jednemu z nich, gdy wsuwał rękę w bluzę munduru, nieoczekiwanie odpadł guzik. Podniósł, a ja wyjąłem zapałkę i bez słowa mu podałem. Guzik bez zbytnich ceremonii został umocowany na miejscu starym wojskowym zwyczajem – na zapałkę.

Wspomniałem o taktyce, bo dotyczyła ona także taktyki walki czołgów. Byliśmy już dowódcami plutonów. Pluton składał się z czterech pancernych kolosów plus czołg dowódcy. Docelowo szkolono nas do dowodzenia kompanią, w skład której wchodziło aż szesnaście czołgów. Szesnaście armat kalibru 100 mm to była już poważna siła ogniowa. Nie miałem złudzeń, do jakich zadań nas przeznaczano, i nie miałem zbytniej ochoty stać się mięsem armatnim. Według obłąkańczych planów sowieckich generałów mieliśmy być pierwszym ciosem pancernej pięści użytej do przełamania obrony państw zachodnich. Ta pierwsza fala atakujących była przecież skazana na zagładę, bo miała iść w niecałą godzinę po uderzeniu atomowym planowanym na terenie Niemiec Zachodnich. Zostało to przeciwiczone na poligonie w Tocku, niedaleko Kujbyszewa, przez gen. Żukowa w 1954 roku. Bohater Wojny Ojczyźnianej przepuścił po wybuchu *Tatiany* dziesiątki tysięcy żołnierzy przez radioaktywną pustynię i udowodnił, że żołnierze są jeszcze zdolni do dalszego boju. Wszelkie raporty dotyczące dalszych losów tych napromieniowanych biedaków siedzących w czołgach są do tej pory ścisłą tajemnicą wojskową. A więc musiało być ciekawie po powrocie do cywila. Ale obronę (a nie atak!) domniemanych przeciwników przełamali! Ta niesamowita próba na żywych ludziach przekonała kierownictwo partii, że możliwy jest atak atomowy na Europę Zachodnią. Doktryna została zatwierdzona przez Chruszczowa,

a potem przez Breżniewa. Zaplecze atakujących sił – jakim była Polska – również było przeznaczone do zniszczenia, za pomocą kontrataku atomowego NATO. Mało kto w Polsce zdaje sobie sprawę z tego, że to dzięki pułkownikowi Kuklińskiemu uniknęliśmy zagłady.

Bardzo przeżywałem ćwiczenia dowodzenia plutonem i kompanią, w czasie których symulowano sytuacje bojowe. Prowadził je tysy ponury pułkownik ze śladami oparzeń, były oficer frontowy. Występował w charakterze wyższego dowódcy, a łączność utrzymywał tylko za pomocą radiostacji. Żeby bardziej przybliżyć sytuację: w słuchawkach było słychać szum pracujących silników, odgłosy wybuchów i inne stresujące dźwięki z pola walki. Szybkie, nerwowe komunikaty:

– Przed wami z lewej, w odległości jednego kilometra, grupa czołgów *enpla* (nieprzyjaciela), w sile kompanii, z prawej, pod lasem, bateria artylerii przeciwpancernej. Zadanie: zniszczyć baterie i odeprzeć atak czołgów.

Trzeba było podać odpowiednie komendy plutonom czołgów, podać cele bliższe i dalsze, rozdzielając umiejętnie swoje siły. W tym czasie dostawało się np. taki meldunek:

– Trzy wasze czołgi z lewej zniszczone, z lasu po prawej kontratak czołgów przeciwnika. Przechodzimy na łączność awaryjną.

Trzeba jeszcze było wydać stosowne komendy, np. czy i jak atakować, a może przejść częścią sił do obrony, a resztę kompanii odpowiednio przegrupować do ataku. A co najważniejsze, należało szybko zmienić częstotliwość nadawania na awaryjną. W przeciwnym wypadku traciło się kontakt z dowództwem i z dowodzonymi i... oblewało się sprawdzian.

Stary pancerniak ćwiczył nas bezlitośnie. Musieliśmy ćwiczyć tak długo, aż opanowaliśmy stres spowodowany bogatą sekwencją zmieniających się dynamicznie warunków na tym symulowanym polu walki.

A wszystko to w celu zaspokojenia mocarstwowych zapędów Rosjan. Gdyby nie postawa pułkownika Kuklińskiego, który ujawnił Amerykanom cały ten diabelski plan podboju Europy i świata, już by nas nie było.

Zaczęły się egzaminy i zbliżał się koniec naszego szkolenia. Na parę dni przed zwolnieniem do cywila przypadł 12 października, rocznica bitwy pod Lenino, a zarazem święto Ludowego Wojska Polskiego. Nie wiem, dlaczego tę rocznicę wybrano na święto, przecież pod Lenino nasza 1. Dywizja im. Tadeusza Kościuszki została kompletnie rozbita i wycofana z frontu. Ta bitwa powinna być powodem do obchodzenia zupełnie innej uroczystości, rocznicy klęski pod Lenino.

Święto, o ile pamiętam, przypadło na sobotę bądź niedzielę. Dano nam wolne i dobraną czwórką ruszyliśmy w miasto. Zaczęliśmy od piwa w najbliższej restauracji, gdzie stawałem jako pierwszy i wydałem wszystkie pieniądze. Po wyjściu z lokalu odmeldowałem się:

- Panowie, jestem już spłukany, wracam do koszar.
- Mowy nie ma, idziesz z nami.

To był wariacki dzień. Często zmienialiśmy lokale, bawiąc się przy tym na zupełnym luzie. W pewnym momencie trafiliśmy do jakiejś kawiarni pełnej młodych ludzi. Muszę zaznaczyć, że pancerniaczy nie cieszyli się sympatią poznaniaków. Spowodowane to było echem wydarzeń z czerwca 1956 roku, kiedy to czołgi ze Szkoły zostały skierowane do tłumienia buntu w mieście. W lokalu mieliśmy problem ze znalezieniem wolnego stolika, lecz pełni inicjatywy daliśmy sobie z tym radę. Niestety, wywołało to niechętnie spojrzenia młodych, a jeden z nich, siedzący przy sąsiednim stoliku, powiedział nawet głośno jakąś prowokacyjną uwagę. Nasz kolega Heniek, absolwent Politechniki Poznańskiej, spytał młodego:

- Ty może jesteś z Politechniki?
- Tak, a bo co? – odburknął niegrzecznie student.
- Bo ja też jestem po tej uczelni.
- Tak, a po jakim wydziale?
- Po budowie maszyn.
- O, to mój wydział – wykszusił zdumiony student.

– Tak? – słodkim głosem spytał Heniek. – A waszym dziekanem jest jeszcze prof. K.?

– Taaak – odparł student.

– To chciałbym, żebyś wiedział, że to mój serdeczny kolega, mieszkaliśmy przez pięć lat w jednym pokoju.

Studentowi odjęło mowę, jego towarzystwu również.

– Widzisz przyjacielu, powinieneś wyciągnąć naukę, że należy być bardziej uprzejmym wobec nieznanomych – dokończył spokojnie Heniek, w cywilu dyrektor techniczny fabryki w Nysie.

Rozmowa rozładowała sytuację i mogliśmy się poczuć w miarę komfortowo, mimo że byliśmy w mundurach.

To zjście uprzytomniło mi, jak przykra jest sytuacja żołnierza, który musi wykonywać rozkazy, niekoniecznie zgodne z jego przekonaniami. Przecież ci młodzi ludzie jadący w pancernych pojazdach do tłumienia rozruchów w Poznaniu musieli występować przeciwko rodakom, czasami własnym braciom i ojcom. Dokąd nas zaprowadził system komunistyczny, że trzeba było strzelać do swoich?

Wieczorem los rzucił nas pod restaurację z danciem i zapragnęliśmy nagle potańczyć. Niestety, w lokalu był już komplet, toteż zamknięto nam niegrzecznie drzwi przed nosem. Chętnych do wejścia było sporo, w tym wielu umundurowanych. Opanował mnie bojowy nastrój:

– Jak to, w dniu naszego święta, nie wolno nam potańczyć? Pano wie, do boju!

Sformowałem grupę szturmową i zaczęliśmy forsować drzwi, które stopniowo zaczęły ustępować pod naporem. Nagle dostaliśmy komunikat, że zostały wezwane patrole WSW (Wojskowej Służby Wewnętrznej). Rozbiegliśmy się w różne strony, co spowodowało, że straciłem kontakt z kolegami. Było już późno, dobiegała północ, postanowiłem wracać do koszar, a ponieważ nie miałem na taksówkę, zadekowałem się na przystanku tramwajowych i... usnąłem. Na szczęście, zostałem zbudzony przez kolegów, którzy jadąc taksówką do koszar, wypatrywali mnie po drodze. Byłem już bardzo zmęczony i marzyło mi się łóżko, ale diabli tam. Przedsiębiorczy koledzy przywieźli ze sobą

alkohol i musiałem dotrzymywać im towarzystwa. Były to nasze ostatnie dni w wojsku, oblewaliśmy więc rozstanie. Naturalnie, musiałem jeszcze wyciągnąć gitarę. Fakt, że odbywało się to na ogólnej sali nie miało znaczenia, bo kto był zmęczony, to spał, a kto nie, to bawił się razem z nami. W sumie nie żałowałem, że zdobyłem nową, tak modną, specjalność wojskową. Mogłem teraz, oglądając przygody Janka, Marusi i psa Szarika, śpiewać z pełnym przekonaniem: „My czterej pancerni”. Całe szczęście jednak, że nie musiałem tego czynić, nacierając na sympatycznych Duńczyków, ramię w ramię z plutonem radzieckich fizylierów pod dowództwem starszyny Czernousowa.



15. Ursus

W URSUSIE TRAFIŁEM DO DZIAŁU GŁÓWNEGO TECHNOLOGA I ZA-
TRUDNIŁEM SIĘ W PRACOWNI KONSTRUKCJI UCHWYTÓW DO
OBRÓBK SKRAWANIEM. Olbrzymia sala, wypełniona trzema
rzędami desek kreślarskich, pełna była sympatycznych i wyluzowa-
nych ludzi. W porównaniu z atmosferą w Płocku był to przeskok z pie-
kła do raju. Trafiłem do tej pracowni za poradą Irka, który również
tu się zahaczył i pracował naprzeciwko mnie w sąsiednim rzędzie de-
sek. Dział ten wymagał odpowiednich predyspozycji twórczych, pra-
ca była bowiem bardzo restrykcyjnie oceniana. Należało wypracować
w miesiącu określoną liczbę godzin przeliczaną na formatki kalki kre-
ślarskiej. Podam te przeliczenia, chociaż dzisiejszemu inżynierowi nie-
wiele one powiedzą. I tak – za jeden arkusz papieru formatu A4 tzw.
rysunku złożeniowego, czyli rysunku kompletnego urządzenia wyko-
nanego w ołówku i tuszu, liczyło się cztery godziny, a za jeden arkusz
A4 rysunku wykonawczego półtorej godziny. Liczba wykonanych for-
matek musiała być równa w przeliczeniu liczbie godzin pracy w da-
nym miesiącu. Praca zaczynała się o siódmej, a kończyła o piętnastej.
Koledzy mający trudniejsze tematy do zaprojektowania albo wolniej
myślący, musieli zostawać po fajrancie.

W Ursusie można było przejść prawdziwą praktykę inżynierską.
Wszystkie zaprojektowane urządzenia były błyskawicznie wykonywane

w metalu i sprawdzane komisyjnie w produkcji, dlatego nieudane konstrukcje stanowiły dotkliwą porażkę dla projektanta. Za to inżynierowie po praktyce w tym dziale byli cenieni w całej Polsce, a na pewno w Warszawie, bo odchodzili z naszej pracowni na kierownicze stanowiska. Jakoś nie miałem poważniejszych wpadek, zawdzięczam to w dużym stopniu panu, którego nazywaliśmy Skrzypkiem. Był to bardzo wysoki małowówny facet w okularach pełniący funkcję tzw. sprawdzającego. Jego zadanie polegało na starannym sprawdzaniu projektów wykonanych w naszej sekcji, którą kierował początkowo sympatyczny inż. Rudas, a później Andrzej Sekuła, absolwent Wydziału Mechaniczno-Technologicznego Politechniki. Sekcja zawdzięczała panu Skrzypkowi zero porażek, ponieważ wykrywał w stu procentach wszystkie poczynione przez nas błędy. Naturalnie, konstrukcja uchwytu musiała być wykonana poprawnie, błędy powstawały najczęściej przy wykonywaniu rysunków wykonawczych. Tę skrupulatność w wykrywaniu błędów nasz sprawdzający zawdzięczał zapewne swojej poprzedniej profesji. Podobno był kiedyś skrzypkciem w Filharmonii, ale stracił słuch i musiał się przekwalifikować. A ponieważ nauka muzyki z nut wymaga niesamowitej cierpliwości i dokładności, stąd te cenne nawyki przydały mu się w zupełnie innym zawodzie. Irek żartował, że Skrzyпка musieli wyrzucić z poprzedniej pracy z powodu zbyt długiego smyczka, który pewnie był proporcjonalny do wzrostu. Kiedy orkiestra kończyła już granie, to nasz Skrzypek jeszcze grał do końca długości swego smyczka. Były muzyk był znany z dokładności i u każdego wyłapywał jakieś błędy. Panowała wręcz opinia, że niemożliwe jest bezbłędne wykonanie projektu. Nawet, gdy komuś wydawało się, że wszystko jest dobrze, to na rysunku brakowało np. daty lub podpisu. Gdy kończyłem pracę w Ursusie, po prawie czterech latach, założyłem się, że ostatni projekt wykonam bez żadnych usterek. I tak się stało. Skrzypek po mozolnym sprawdzaniu mego projektu wyszedł wreszcie zza swej deski. Zapanowała cisza, bo zakład był o dużą stawkę. Wysoki starszy pan patrzył na mnie dłuższą chwilę, po czym zdjąwszy okulary, krzyknął:

– Malina!

A po chwili znów:

– Malina! – co oznaczało najwyższą pochwałę.

Ale to się wydarzyło już na koniec mojej pracy. Początki miałem niełatwe. Już na wstępie dostałem projekt wykonania uchwytu do bardzo nietypowej części, którą był nieforemny odlew korpusu obudowy drążka kierowniczego. Uchwyt miał służyć do wytoczenia rowka, który znajdował się w górnej części obudowy. Problem polegał na tym, że na skutek nieuniknionych odchyłek (błędów) wykonania odlewu geometryczna oś podstawy korpusu nie zgadzała się z osią otworu, w której miał być wykonany rowek. Ponieważ położenie ostrze noża wykonującego ten rowek było – zgodnie z zasadami projektowania – ustawiane względem osi podstawy, głębokość rowka u góry odlewu nie była jednakowa, co powodowało częste odrzucenie obudowy przy kontroli technicznej. Co gorsze, niejednokowy naddatek na obróbkę rowka powodował duże siły boczne od skrawającego noża i korpus obudowy często pękał podczas obróbki. Ponieważ to wszystko działo się przy dużych obrotach (wirowania korpusu wokół osi), ta obróbka była niebezpieczna także dla tokarza. Długo myślałem nad koncepcją uchwytu, wykonałem parę wariantów, ale żaden mi się nie spodobał. Kierownik sekcji z uśmiechem powątpiewania przychodził do mnie co jakiś czas, sprawdzając postępy. Stary fachowiec nie wierzył w powodzenie projektu, ale sam też nie miał pomysłu na jego wykonanie. Gdy po zmarnowanym na chybione pomysły dniu wracaliśmy z Irkiem pociągami do Warszawy, wpadłem na pomysł, by urządzić burzę mózgów przy piwku. Koledze nie trzeba było dwa razy powtarzać i wkrótce znaleźliśmy się w restauracji. Piwo smakowało jak zawsze, ale pomysł nie przychodził. W pewnym momencie przyjaciel rzekł:

– Tego korpusu nigdy się nie da tak ustawić, by naddatek na obróbkę był rozłożony równomiernie, bo każdy odlew jest trochę inaczej wykonany.

I wtedy przyszło olśnienie. Błąd polegał na tym, że ustawiało się i mocowało korpus na tarczy tokarki, bazując na zewnętrznym zarysie podstawy. Należało zmienić kompletnie sposób myślenia i ustawiać każdy korpus indywidualnie względem górnego otworu, zapewniając symetryczną odległość od narzędzia w celu wykonania rowka o stałej głębokości. Jediną funkcją tego rowka było przecież zamocowanie na nim, za pomocą zatrzasku sprężystego, mieszka chroniącego dźwignię manewrową. Zamocowanie dolnej części korpusu do tarczy obrabiarki było czynnością dalszą. Powiedziałem o tym koledze.

– Niby masz rację, ale jak ustawisz tę górę? Trzeba by mieć jakieś urządzenie mierzące położenie.

– O właśnie! W miejsce narzędzia wstawiam urządzenie pomiarowe, które pozwoli na dokładne ustawienie.

– No, ale tracisz czas!

– Ale mam gwarancję, że wykonam zadanie, a obrabiany korpus nie pęknie.

I tak to zaproponowałem. W ten sposób została wykorzystana synergia, czyli wspólne tworzenie, nazywane „burzą mózgów”. Często się mówi, że co dwie głowy to nie jedna. Zasadę synergii można zapisać matematycznie następująco: $1 + 1 > 2$. Przykładem wykorzystania synergii są np. piosenki śpiewane w zgranym duecie. Gdyby każdy z „dueciarzy” śpiewał solo, mogliby zostać nie zauważeni przez słuchaczy. Zasadę synergii wykorzystują zgrane zespoły, czego przykładem może być choćby Chór Aleksandrowa. Armii Czerwonej już nie ma, a zespół pozostał. Chociaż z tą armią, to raczej żart, bo jednak istnieje. Zainstalowała ostatnio (2013 rok) rakiety „Iskander” o obwodzie królewieckim. Wystarczy naciśnięcie guzika w wyrzutni.

Wkrótce wykonano w metalu uchwyt, a mnie zaproszono na pierwszą próbę. Wszystko grało! Pomyślałem wtedy, że konstruktorzy powinni dostawać dodatkowe premie, by mieć na piwo lub inne napoje zwiększające sprawność myślenia. Ale inwersja połączona z piciem alkoholu jest chyba rzadko stosowana w praktyce konstrukcyjnej. Tę

metodę zastosowałem intuicyjnie (czyli bez piwa) pierwszy raz w Płocku przy projektowaniu urządzenia do czyszczenia części ze smaru.

Konstruktorzy byli potrzebni nie tylko do projektowania. Któregoś lata podczas żniw zabrakło robotników na montażu głównym traktorów. Robotników najczęściej brakowało na nocnej zmianie, szukano więc chętnych. W zamian proponowano zwolnienie z normalnej pracy w ciągu dnia. Pomysł mi się spodobał, bo to było nowe doświadczenie zawodowe. Zgłosiłem się, rozumując, że przy okazji będę mógł pójść na basen, a nawet złapać trochę słońca. Mój początkowy entuzjazm zaczął topnieć już pierwszego dnia, gdy uprzytomniłem sobie, że wieczorem zamiast iść do łóżka i spać jak normalny człowiek, muszę jechać na dworzec kolejowy, a następnie do Ursusa. Gdy wreszcie stanąłem przy taśmie, zły nastrój minął i rażno zabrałem się do wykonywania zawodu montera. Lubiłem zawsze wysiłek fizyczny, dlatego chętnie zgłosiłem się do pracy na stanowisku montażu tylnych kół traktora, co robotnicy przyjęli ze zdziwieniem. Ich zdziwienie wzrosło, gdy zrezygnowałem z pomocy montażowej, jaką były stożkowe tuleje, które zakładane na tylną piastę znacznie redukowały wysiłek fizyczny. Ponieważ wtedy dużo pływałem kajakami, traktowałem tę pracę jako trening przed czekającym mnie spływem. Koło od traktora ma jednak swoją wagę i po paru godzinach i podniesieniu chyba już łącznie z paru ton zacząłem odczuwać zmęczenie. W konsekwencji machnąłem ręką na trening i zastosowałem jednak te tuleje. W ten sposób dotrwałem do końca zmiany. Rano zmordowany dojechałem do domu i mimo ładnej pogody poszedłem spać. I tak pracowałem cały miesiąc. Wprawdzie zdobyłem nowe doświadczenie, ale ten eksperyment wspominam dziś bez zbytniego entuzjazmu.

Miło natomiast zapadł mi w pamięci wyjazd do NRD na Targi Lipskie. Razem ze mną zgłosiło się jeszcze trzech młodych techników, którymi miałem się opiekować. Wyjazd do zachodnich sąsiadów traktowano jako atrakcję turystyczno-handlową. Złotówka w stosunku do marki stała wysoko, opłacało się więc wywozić nasze pieniądze i w Niemczech

korzystnie je wymieniać w celu zakupu atrakcyjnych towarów typu aparaty dla niesłyszących, koronki itp. Aby przeciwdziałać zbyt ożywionej wymianie handlowej, ograniczono wywóz polskich pieniędzy, co mnie zaniepokoiło z uwagi na znaną jakość niemieckiego piwa. W pracy powiedziałem głośno, że zamierzam wywieźć nieco więcej naszych banknotów i ukryję je w gitarze. Gitara przydała się w pociągu, bo znacznie uatrakcyjniła podróż. Jednak na granicy sprawa się nieco skomplikowała. Celnicy przeszli obojętnie przez cały wagon i zatrzymali się nagle na widok gitary. Jeden z celników zaczął bardzo gruntownie ją oglądać, powiedziałem więc, że gitara nie jest na sprzedaż, co wzbudziło w nim irytację. Współpasażerom nakazano wyjść z przedziału, po czym przystąpiono do rewizji osobistej. Nic nie znaleźli, ale tylko dlatego, że wcześniej wspomniałem o swoim pomysle jednej koleżance z bursy.

– Powiedziałeś o tym komuś? – spytała wyraźnie zaniepokojona.

– Tak, pochwaliłem się w pracy.

– To uważaj, będziesz miał szczegółową rewizję.

Ta uwaga skłoniła mnie do zmiany metody przemytu. Pieniądze ukryłem w kajzerce. Wybrałem jedną, po przekrojeniu miękką zawartość bułki wyjąłem i w to miejsce włożyłem parę stówek zawiniętych w cienką folię. Między dwoma połówkami bułki był włożony – tak jak w innych bułkach – plasterek szynki. Kanapki leżały w torebce foliowej na stoliczku przy oknie. Sam miałem trudności w rozpoznaniu, która kanapka jest trefna.

W Lipsku zakwaterowano nas gdzieś na peryferiach miasta u państwa Weberów. Zapamiętałem to nazwisko, bo w saksońskim dialekcie wymawia się je gardłowo, co stanowi dużą trudność.

Kilka dni pobytu zagranicą poświęciliśmy na zwiedzanie targów, które były dla nas fascynujące, poza tym był to pierwszy nasz wyjazd poza Polskę. Nie mieliśmy trudności z dogadaniem się, ponieważ opowiadałem już niemiecki w wystarczającym stopniu. Brakowało nam jednak odwagi, by jechać wieczorem do centrum. Już pierwszego dnia, wracając z targów, mieliśmy kłopoty, bo tablice z nazwami ulic wisały

bardzo wysoko i odczytanie nazw pisanych gotykiem, w dodatku przy słabym świetle ulicznych latarni, sprawiało spore trudności. Z konieczności więc wieczory spędzaliśmy w pobliskiej, niezbyt reprezentacyjnej restauracji. Miejscowi bardzo dbali o to, byśmy się nie nudzili, a my też nie próżnowaliśmy. Niemałą sensację sprawiło nasze zamówienie: do kolacji zażyczyliśmy sobie cztery półlitrowe butelki wódki i cztery duże piwa. Sympatyczna kelnerka odpowiedziała, że tutaj wódkę zamawia się nie na butelki tylko na pięćdziesięciogramowe kieliszki.

– Dobrze, to poproszę cztery schabowe i – zaważałem się chwilę – czterdzieści kieliszków wódki. I oczywiście cztery duże piwa – dorzuciłem.

Wkrótce na stół wjechała olbrzymia taca z odpowiednią zawartością, co zwróciło uwagę innych gości. Wódkę wypiliśmy w dobrym tempie, bo odpadał zbędny czas na rozlewanie z butelek. Wkrótce do tańca zagrała orkiestra i zapragnęliśmy zatańczyć. Dziewczyn nie było zbyt dużo w tym wytwornym lokalu, ale nam to nie przeszkadzało w zdobyciu partnerek. Nie wywołało to, o dziwo, protestów wśród miejscowych. Wszyscy natomiast przerywali rozmowy, obserwując w jakiej formie wstajemy od stolika po wypiciu wódki. Niestety, byli rozczarowani, zadowolona była natomiast orkiestra i nasze niemieckie partnerki. Koledzy po tańcach wyraźnie się rozochocili i chcieli zamawiać następne flaszki, ale zabroniłem i poprzestaliśmy tylko na zamówieniu kolejnych piw. Chyba postąpiliśmy przezornie, ponieważ tuż przed północą w lokalu zaczęły fruwać krzesła, kufle i inne przedmioty, i należało mieć oczy dookoła głowy. Ale, o dziwo, te pociski nie leciały w naszą stronę. Wyraźnie wzbudziliśmy szacunek. Ktoś nam później powiedział, że wzięto nas za... Rosjan, których się podobno panicznie bano. Mówiono, że kiedyś odbyła się tu bójka z ich udziałem. Wkrótce do restauracji zawitał pluton alarmowy rosyjskiego wojska i zrobił okrutną „rzeź niewiniątek”.

Atrakcyjna knajpa tak się nam podobała, że gościliśmy w niej do końca naszego pobytu. Nie zawiedliśmy się, bo zawsze przed północą

odbywała się bijatyka, tylko że my przezornie siadaliśmy już przy stole ustawionym w specjalnej wnęcie obok orkiestry. Marki uzyskane z dodatkowej zamiany złotych bardzo nam pomogły w podtrzymaniu dobrych tradycji słowiańskiego picia wódki.

Pracę w Ursusie wspominam bardzo miło, nie tylko z powodu wspaniałej atmosfery w pracy, lecz także z racji różnych imprez po fajrancie. Najwspanialsze przygody przeżyłem, uczestnicząc w spływach kajakowych, na które namówił mnie Irek. Przygody te opisałem w mojej książce *Kajak i przygoda*.

Mój dobry duch, czyli ma się rozumieć Irek, namówił mnie do wyjazdu na dwutygodniowy kurs narciarski w schronisku na Stożku. Dobrze zrobił, bo kochałem przecież narty od dzieciństwa, jednak jeździć na nich nie umiałem. Co się rychło okazało podczas kursu. Jako dziecko uczyłem się poruszać na nartach sam, bez żadnych wskazówek. W jakimś kolorowym piśmie, bodajże „Radarze” zostało wyjaśnione, na czym polega skręt z pługa i tylko tyle. Moja znajomość sztuki jazdy na nartach wystarczała, by poruszać się sprawnie po lasach augustowskich, a nawet odważyłem się zjechać ze stromej góry – z Białej Góry, na której leży schronisko PTTK nad jeziorem Necko. Jeździłem „na krechę”, bo na pług było za stromo. Ostry pęd zdarł mi rękawicę, gdy zjeżdżałem z Białej, i skórę z kciuka, dałem więc sobie spokój z dalszymi narciarskimi próbami.

Kiedyś byłem z Irkiem na Klimczoku. To było podczas studiów, ale tam jeździliśmy bez instruktora i też raczej na krechę lub pługiem.

Na Stożku kolega radził sobie znacznie lepiej niż ja i trafił do grupy zaawansowanej. Ja ćwiczyłem w grupie początkujących, ale miałem kłopoty z powodu moich nawyków. Zamiast uginać nogi w kolana, zginałem się w pasie. W rezultacie jechałem na wyprostowanych nogach, co uniemożliwiało balansowanie ciałem i wykonywanie manewrów. To było we mnie tak zakorzenione, że początkowo instruktor machnął na mnie ręką. Zawzięłem się jednak i po tygodniu zacząłem łapać trochę drygu, a po dwóch jeździłem już dość poprawnie nawet

na stromym stoku. Czułem się na tyle dobrze, że po zakończeniu kursu na Stożku powędrowaliśmy z Irkiem górami do Wisły, gdzie właśnie przyjechali autokarem nasi ludzie z Ursusa. Podczas tej wyprawy lekko nie było, bo na plecach miałem plecak, a w ręku gitarę. Podczas nagłych hamowań – nieprzywiązany dodatkowym rzemieniem – plecak zarzucało mi na głowę i bywało zabawnie. Jednak dwa tygodnie treningu to było dużo, gitarę jednak dowiozłem w całości. Tak dotarliśmy na Czantorię. Ponieważ trasa zjazdowa pokryta była gdzieniegdzie kamieniami, a latarek nie mieliśmy, zdecydowaliśmy się zejść pod wyciągiem. Był to jeden z moich trudniejszych spacerów w życiu. Buty narciarskie były bowiem bardzo śliskie i każdy krok nieprzetartym szlakiem groził niekontrolowanym upadkiem. Zamieniłem się niebawem w wańkę-wstańkę. Ręce miałem zajęte, co utrudniało wszelkie manewry. Koledze szło się znacznie lepiej i gdzieś w połowie zejścia zniknął, a było już ciemno. Byłem na niego później zły. Trudne zejście umilił widok roześmianych gęb kolegów na dole. W końcu wszystko zakończyło się wielką balangą.

Nieraz uczestniczyłem jeszcze w wyjazdach i kursach narciarskich, aż w końcu udało mi się zwalczyć moje złe nawyki i szusuję do dzisiaj nawet po trudnych stokach w Alpach. Ciężiej jest jeździć na Kasprowym czy Skrzyczanym niż we Włoszech bądź w Austrii – u nas ratarka używano tylko od święta i raczej tylko w charakterze rekwizytu.

By połączyć przyjemne z pożytecznym, zorganizowaliśmy kiedyś wycieczkę „simpowską” (SIMP – Stowarzyszenie Inżynierów i Techników Polskich) do Nowej Huty i Zakopanego. Prowadziłem nabór, a pomysł został rozpowszechniony przez miejscowy radiowęzeł. Oprócz stałej kajakowo-narciarskiej ekipy zgłosiło się kilku innych chętnych. Jednym z nich był jakiś majster z odlewni, który zgłosił swoją kandydaturę i zapytał, czy może zabrać córkę. Coś mnie podkuśliło:

– A czy dziewczyna jest do rzeczy?

– Jak najbardziej, panie inżynierze, jak najbardziej – odpowiedział uradowany.

Po czym dorzucił – ma już skończone osiemnaście lat.

Rzeczywiście, Halina, sympatyczna, uśmiechnięta czarnula, była do rzeczy, umieściłem ją więc w autokarze „na osi”. Doświadczenia te opisałem w swoim reportażu *Czukcza w cieniu oliwki*. Oto fragment opisu:

W Jelczach, którymi się wówczas podróżowało, nad tylną osią znajdują się dwa rzędy miejsc, na których siedzi ośmiu ludzi, jak w przedziale kolejowym – zwrócenie do siebie twarzami. Taki „miniklub” dla ludzi towarzyskich. Powszechnie uważa się, że siedzenia na osi są narażone na największe drgania, a najmniej trzęsie w środku i na samym przedzie autokaru. Tak jest, gdy w autokarze siedzą tylko ludzie. Jednak podczas wypraw turystycznych jest inaczej. Tylnie siedzenia autokaru są zazwyczaj silnie obciążone przez namioty, niekiedy kajaki składane i inny ciężki sprzęt. Ten znaczny ciężar działa, jak siła skupiona na końcu belki, powodując drgania o największej amplitudzie właśnie w środku autokaru, między podporami. Na osi natomiast, traktowanej jako punkt podparcia, drgania te są wielokrotnie mniejsze i o innej częstotliwości, wymuszanej przez nierówności jezdni i amortyzowanej bezpośrednio przez koła pojazdu. Tę hipotezę potwierdziłem kiedyś doświadczalnie, przechodząc z naczyniem napełnionym płynem na osi ku środkowi pojazdu. Na osi płyn w naczyniu łagodnie falował, w miarę poruszania się ku środkowym siedzeniom zachowywał się natomiast coraz burzliwiej, by w pewnym miejscu dosłownie wylewać się z naczynia, podobnie jak gotująca się woda.

Wkrótce Halinką zajął się troskliwie mój kolega „Baca”, rodem z Zakopanego. Jak na wszystkich wycieczkach zakładowych bywa, podczas długiej jazdy autokarem, ludzie umilają sobie czas w wiadomy sposób. Wkrótce w ruch poszła gitara i zaczęły się śpiewy. Tata Halinki usiłował zacieśnić znajomość ze mną i po paru głębszych koniecznie chciał się napić z zięciem, jak mnie zaczął w końcu nazywać. Cóż było robić w takiej sytuacji?

Po zwiedzeniu walcowni i wielkiego pieca w Nowej Hucie dojechaliśmy do Zakopanego na nocleg. Rano nasza grupa wyruszyła na pobliskie stoki na narty, a trzech majstrów, panów po pięćdziesiątce

wybrało się na Giewont. Zrobili to wbrew kategoriycznym zakazom, był bowiem marzec i góry były niebezpieczne. No i stało się, jeden z trzech niedzielnych turystów poślizgnął się w pobliżu szczytu i spadł w Dolinę Strążyską. Ten, który zginął, cały czas odgrażał się, że musi zaliczyć Giewont, bo ma już pięćdziesiąt lat i jest to ostatnia okazja. Rzeczywiście, ta okazja była dla niego ostatnią. Grupa ratowników poszukiwała ciała. Wśród niektórych uczestników wycieczki zaczęły kursować pogłoski o większej liczbie ofiar. Wieczorem ojciec Halinki wpadł w histerię, twarz mu zsiniała, był chyba bliski zawału.

– Panie inżynierze, moja córka zginęła – krzyczał, łapiąc się za serce.

Próbowałem go uspokajać, tłumacząc, że Halinka udała się z „Bacą” na tańce. Ale nie mogłem jakoś dotrzeć do zrozpaczonego ojca i w końcu zastosowałem jedyną metodę, jaka przyszła mi do głowy. Po prostu walnąłem go w twarz. Pomogło. Uspokoił się i poszedł spać.

Powrót z Zakopanego odbywał się bez specjalnych atrakcji, byliśmy wszyscy pod wrażeniem śmierci jednego z uczestników wyprawy. W Ursusie autokar, którym jechaliśmy z dość sporą prędkością, wjechał na jakąś przeszkodę na drodze. To był próg z desek zabezpieczający wykop. Próg zadziałał jak trampolina: przód autokaru wyskoczył w górę, za chwilę to samo stało się z tyłem, gdzie tkwiłem w pozycji półleżącej. Tyłne rzędy pasażerów oraz kierowcę wyrzuciło pod sufit, wyrznięliśmy głowami o dach. Środek autokaru był razem osią obrotu i siedzący tam prawie nie odczuli wstrząsu, toteż byli bardzo zdziwieni, że autokar nagle stanął. Jednak gdy wątpiący obejrzeli fotel kierowcy, który po prostu zarwał się od uderzenia, a potem głowy poszkodowanych to zrozumieli, że byliśmy o włos od następnej tragedii. Mnie uratowała pozycja półleżąca, bo uderzyłem się w czoło, niezbyt mocno, instynktownie bowiem zaparłem się rękoma o sufit. Kark bolał mnie jednak parę miesięcy. Niektórzy pasażerowie ucierpieli mocno. Na przykład mój kolega o pseudonimie „Kamyk”, z którym rozmawiałem podczas chwilowego postoju. Na moich oczach skóra na jego czole pękła i po chwili twarz zalała mu krew. Po

kilkudniowych obserwacjach w szpitalu wszystkim udało się powrócić do codzienności.

W firmie, w naszej pracowni byli sami faceci, ale któregoś pięknego dnia pojawiła się Hanka, piękna młoda dziewczyna o dużych niebieskich, śmiejących się oczach. Pojawiła się i ku naszej radości nie zniknęła, bo została kreślarką. Jej deskę ustawiono tuż obok Irka, przy telefonie, mogłem więc nawiązać z nią kontakt wzrokowy. Wkrótce się zaprzyjaźniliśmy, połączyła nas mocna herbata, którą parzyłem rano. Herbata, robiona w szklance, była tak czarna, że wszyscy brali ją za kawę. Hanka, miłośniczka kawy, kiedyś wypita łyk tej „smoły” i od tej pory piła mocną herbatę zamiast kawy. Dziewczyna mieszkała w Warszawie, dlatego często wracaliśmy razem do domu, co wkrótce miał mi za złe młody kreślarz Wiesiek, mieszkaniec Brwinowa. Chłopak nie oparł się urokowi młodej piękności, zakochał się i nabrał nagle tupetu wobec kolegów. Zaproponowałem mu, że umówię go z Hanką. Spotkali się u mnie w domu. Ich chłodna znajomość zaczęła się ocieplać. I to tak dalece, że w Brwinowie po paru miesiącach odbyło się przyjęcie zaręczynowe, na które zostałem zaproszony razem z żoną i dziećmi. Miałem już bowiem następne dziecko, był to syn Wojtek. Chłopak urodził się w Boże Narodzenie 1966 roku. Napadało wtedy bardzo dużo śniegu i wiozłem żonę do szpitala na Wołoskiej sankami.

Kiedy odbywały się zaręczyny, mój synek Wojtek liczył już parę miesięcy. Pokoje zwiedzał na czworakach. Tak raczkując, na progu sąsiedniego pokoju spotkał się oko w oko z drugim czworonogiem, którym był kot. Oba stworzenia Boskie narobiły straszego wrzasku i tylko tyle pamiętam z uroczystości zaręczyn. Wkrótce odbył się ślub, po czym pan młody pożegnał się z pracą w Ursusie, gdyż wstąpił do... milicji. Zamieszkał z żoną w Warszawie, na Pradze. Pracę zawdzięczał ojcu Hanki, który był oficerem milicji. Z ojcem rozmawiałem na przyjęciu weselnym, kiedy solidarnie wznosiliśmy toasty za młodą parę. Po którymś toaście chyba straciłem samokontrolę, bo powiedziałem do sympatycznego ojca:

– Hanka pasuje do Wieśka i jego rodziny jak kwiatek do kozucha.

Zyskałem tą krótką charakterystyką mezaliansu ogromną sympatię zarówno taty, jak i córki. Hanka wkrótce zaszła w ciążę, a ja dla draki obliczyłem termin jej porodu, podając to do publicznej wiadomości. W przeddzień terminu zjawili się oboje u mnie, chyba na imieninach.

– Hanka, co tu robisz? Przecież jutro masz rodzić – wykrzyknąłem zdumiony.

– Pewnie pomyliłeś się w obliczeniach – zaśmiała się.

Nie pomyliłem się. Przed północą wrócili do siebie, a parę godzin później dziewczyna była już matką. Piszę o niej tak dużo, bo jeszcze długo utrzymywaliśmy kontakt, nawet po śmierci Wieśka, który jako kierowca w milicji zginął tragicznie. Wracał nad ranem do domu samochodem i rozbił się na jednym z filarów mostu Śląsko-Dąbrowskiego. Ale wcześniej zdążył mi opowiedzieć o tłumieniu zająć marcowych, w których uczestniczył.

W marcu 1968 roku zaczęły się słynne rozruchy studenckie, zapoczątkowane wystawieniem przez Kazimierza Dejmka *Dziadów* Mickiewicza. W Ursusie, podobnie zapewne jak w innych zakładach pracy w całym kraju, odbyły się tzw. wiece poparcia dla towarzysza Wiesława (Gomułki). Według zapewnień prasy i telewizji te wiece były organizowane spontanicznie. U nas, w Ursusie, wyglądało to dosyć zabawnie. Głównym technologiem był inż. Tyszkiewicz, świetny fachowiec, ale bezpartyjny. Bezpartyjnymi byli właściwie wszyscy pracownicy działu. Gdy przyszedłem do pracy w dziale konstrukcji oprzyrządowania pracowało około pięćdziesięciu ludzi, wśród których znalazło się trzech partyjnych. Jeden z nich, starszy człowiek, jeszcze przedwojenny komunista, wkrótce umarł śmiercią naturalną. Dwaj pozostali też długo nie zabawili w miejscu, gdzie trzeba było ciężko i wydajnie pracować, i przeszli na bardziej „odpowiedzialne” stanowiska. Jeden zaczął pracę w atrakcyjnym – z uwagi na liczne wyjazdy zagraniczne – dziale eksportu, drugi został oddelegowany do działu kadr, naturalnie, z odpowiednio wyższym niż u nas wynagrodzeniem. Dobrze funkcjonujący

„organizm”, jakim był nasz dział, samorzutnie oczyścił się z pasożytów. W takiej sytuacji nazywano nas „czarną reakcją”.

Na wydarzenia marcowe reagowaliśmy spontanicznie. Szef naszej pracowni, inż. Pasterczyk, wezwał wszystkich kierowników sekcji na odprawę, z której wrócili bardzo poruszeni.

– Panowie – zwrócili się do pracowników – o czternastej musimy iść na wiec.

– O co chodzi? Jaki wiec? Dlaczego musimy? – zaczęły padać pytania.

Wyjaśniono nam, że musimy pójść, aby poprzeć Gomułkę.

– To ja zostaję pilnować pracowni – krzyknął stary cwaniak Irek.

– A ja razem z nim – zawołałem.

– Niestety, może zostać tylko jeden – powiedział szef.

– Szefie, ale ja nie chcę iść na ten wiec – odpowiedziałem.

Ten się zasępił.

– Panie Jurku, lubi mnie pan?

– Lubię – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

– Jak pan nie pójdzie, to ja będę mieć przykrości.

Tak więc „spontanicznie” zabrałem się wraz z kolegami na wiec. Ale nie żałuję tego, bo obejrzałem na własne oczy cały ten cyrk. Przed halą nowo budowanej odlewni stał już tłum ludzi, ale nikt jakoś nie miał zbytniej ochoty wejść do środka. Natomiast uliczką dojazdową do hali podążały nieliczne poczty sztandarowe z jakimiś idiotycznymi hasłami na temat syjonizmu, Gomułki, wrogów ludu i inne takie ble-ble. Robotników niosących z nieszczęśliwymi minami te transparenty witały szydercze okrzyki kolegów:

– Franek, wstydziłbyś się, rzuc to gówno.

– On jest partyjny, nie rzuci.

– Ale za to dostanie premię od szefa.

Szkoda, że telewizja, która też „spontanicznie” przyjechała do Ursusa, nie filmowała tych scen, bo było śmiesznie. W każdym razie aktywistom z czerwonymi opaskami udało się zapędzić tłum do

środku olbrzymiej hali. Pracujący przy montażu urządzeń odlewni robotnicy w niebieskich kombinezonach nie zwracali pozornie uwagi na gromadzący się tłum. Chodzili po obudowach potężnych wentylatorów i pokrytych blachą przewodów wentylacyjnych, i niby to przypadkowo gubiąc narzędzia, czynili potworny hałas. Powodowało to dodatkowe rozbawienie tłumu, który odczuwał zapewne duchową więź z hałasującymi. Ale wkrótce nad tym harmiderem zapanowały potężne megafony. Jakiś sztywniak w garniturku, przystrojony oczywiście spontanicznie w czerwony krawat (co zobaczyłem później w TV – na sali zaślaniały go transparenty), otworzył wiec, potem udzielał głosu dziwnym facetom, oczekującym w kolejce do mikrofonu. Mówcy dukali wyuczone naprędce frazesy o syjonizmie, o popieraniu linii partii, konieczności poparcia dla towarzysza Wiesława i inne podobne brednie. Tu i ówdzie rozlegały się śmiechy i drwiące okrzyki i – o zgrozo – nawet gwizdy. Prowadzący szybko się zorientował, że atmosfera raczej nie sprzyja przedłużaniu tego cyrku i zaproponował głosowanie.

– Kto jest za poparciem towarzysza Gomułki, proszę podnieść rękę do góry.

Wsadziłem obie ręce w kieszenie kurtki, bo myślałem że będzie liczenie głosów i moje widoczne kończyny też policzą i rozejrzałem się po hali. Jakoś nie widziałem lasu uniesionych rąk, tylko pojedyncze gałązki. Wyglądało na to, że ludzie byli przeciw. Ale prowadzący był innego zdania, bo rzekł pospiesznie:

– Dziękuję towarzysze, dziękuję że nie zawiedliście zaufania partii.

A ja dziękowałem Bogu, że pozwolił mi na uczestniczenie w tej szopce, tej parodii poparcia dla partii i Gomułki. Wyglądało na to, że klasa robotnicza Ursusa posiadała już świadomość rewolucyjną, co udowodniła osiem lat później. Oglądając natomiast wieczorem telewizję, zobaczyłem coś zupełnie innego niż parę godzin wcześniej na własne oczy. W TV pokazano młodych ludzi, stojących w rządzie, mieli białe koszule i czerwone krawaty. Za nimi był las transparentów,

zasłaniających widok na halę. Pokazano krótką migawkę – tłum ludzi za transparentami, ale przed lub po akcie głosowania. Natomiast podczas głosowania widać było zaledwie garstkę, tych, którzy byli, oczywiście, „za”.

Był to klasyczny zabieg manipulacyjny. Od tej pory już nie wierzyłem polskiej telewizji. Niestety, nie wierzę jej aż po dziś dzień (a piszę te słowa w 2013 roku).

Wtedy, w Ursusie, wyrobiłem sobie zdanie na temat celowości zapisywania się do partii, do czego mnie wielokrotnie namawiano. Przecież inteligentny człowiek, obserwujący rzeczywistość, a zwłaszcza wydarzenia marcowe, musiał dojść do wniosku, że przynależenie do partii nie ma sensu. Kilka lat później znany dysydent, Czesław Bielecki, rozpowszechnił rozumowanie o paradoksie polegającym na tym, że nie można być jednocześnie partyjnym, uczciwym i mądrym.

– Jeżeli ktoś jest partyjny i mądry, to nie może być uczciwy. Więc jeśli ktoś jest mądry i uczciwy, to nie może być partyjny.

Wydarzenia z uniwersytetu przeniosły się na ulice Warszawy i na inne stołeczne uczelnie, a później na całą Polskę. Był to po prostu protest przeciwko sowietyzacji kraju.

Po pracy udałem się pod Politechnikę. Moje serce napełniło się dumą, gdy oglądałem potężnej wielkości napis na frontonie gmachu głównego: STRAJK OKUPACYJNY POLITECHNIKI WARSZAWSKIEJ. Litera były tak duże, że były na pewno widoczne nawet z samolotu. Wokół parkanu oddzielającego teren uczelni od ulicy Noakowskiego kłębił się tłum ludzi, w którym dużo było starszych kobiet. Jak się zorientowałem z rozmów tych pań, były to uczestniczki Powstania Warszawskiego, były sanitariuszki i łączniczki. Dostrzegłem też panów w charakterystycznych kombatanckich beretach, było ich jednak znacznie mniej, ich koledzy polegli na barykadach lub zostali zamordowani w ubeckich więzieniach. Przecież po wojnie wykonano ponad pięć tysięcy wyroków śmierci na najbardziej zasłużonych polskich patriotach, bohaterach walk z okupantami. Wymienię dla przykładu gen.

Fieldorfa oraz rotmistrza Pileckiego. Sądzi ich przeważnie sędziowie i prokuratorzy narodowości żydowskiej.

Zgromadzeni ludzie rozmawiali z młodzieżą za parkanem, dodając im otuchy. Pytano, czego im brakuje do przetrwania, wręczano paczki żywnościowe, napoje i papierosy. Był to wzruszający widok solidarności wśród społeczeństwa. Symboliczna sztafeta pokoleń w walce o wolną Polskę biegła właśnie teraz. Takie akcje powinny pokazywać kamery TV. Skupiono jednak swoją uwagę na rejestrowaniu gonitw ulicznych młodych ludzi bawiących się w kotka i myszkę z milicją. Raz pokazano, chyba przez nieuwagę, jak na Nowym Świecie ciężarowy samochód milicyjny taranuje tłum i ktoś wpada pod koła. Zapamiętałem ten widok i potem przy okazji imienin Wieśka, który już w tym czasie służył jako kierowca w milicji, spytałem go o ten incydent. Chłopak poczerwieniał, spuścił głowę i bąknął coś o konieczności wykonywania rozkazów. Wkrótce, jak już wspomniałem, zginął w wypadku. Ciekawe, że ten epizod z zajść marcowych pokazuje teraz stale z okazji rocznic marcowych '68.

W wyniku strajków spacyfikowano uczelnie; wielu młodych ludzi wcielono przymusowo do wojska lub aresztowano.

Dziś media wspominają jedynie o paru aresztowaniach tych, których nazwano komandosami. Była to grupka młodych ludzi narodowości żydowskiej, wywodząca się z warstwy partyjnych prominentów. Jako głównego męczennika zajść marcowych wymienia się ciągle Adama Michnika. Ten ma się obecnie znakomicie, robi za głównego bohatera oporu przeciwko władzy ludowej, podczas gdy w rzeczywistości złamano życie tysiącom młodych ludzi protestujących przeciwko sowietyzacji kraju, którzy nigdy już nie wrócili na studia; wcielono ich przymusowo do wojska i mieli później ciągłe problemy z podjęciem pracy.

Zajścia marcowe posłużyły jako pretekst do wyjazdu z Polski sporej grupy Żydów (około piętnastu tysięcy) ze średniego i niższego szczebla aparatu bezpieczeństwa i sądownictwa wojskowego oraz pracowników propagandy. Byli to w znacznej mierze komuniści

z przedwojennej KPP (Komunistycznej Partii Polski), którzy bali się odpowiedzialności za zbyt gorliwe wprowadzanie stalinizmu w kraju i woleli spędzić resztę życia poza granicami systemu komunistycznego, przy tym pobierali w Polsce niebotyczne emerytury. Przykładem może być Salamon Morel, kat Śląska, który uciekł do Izraela – aż do śmierci pobierał polską emeryturę w wysokości pięciu tysięcy złotych (średnia wysokość pensji w kraju wynosiła około trzy i pół tysiąca złotych). Nikt tych ludzi nie wyrzucał z Polski, bo większość Żydów wciąż zajmuje kierownicze stanowiska. Nie wyjechał też żaden członek władz najwyższych, zwłaszcza Komitetu Centralnego.

To, co teraz napisałem, nie jest przejawem mojego antysemityzmu, lecz głosem Polaka w obronie czci i pamięci najbardziej oddanych patriotów, obrońców naszego kraju przed komunizmem. Do dzisiejszego dnia najwybitniejsi przedstawiciele ruchu oporu przeciwko wprowadzaniu tego zbrodniczego systemu leżą pogrzebani gdzieś na śmietnikach, bo mordowano ich i chowano w tajemnicy przed ich najbliższymi. Co by się działo, gdyby podobnie postąpiono z Żydami? Byłby krzyk na cały świat. Po dziś dzień w dniu 8 marca telewizja pokazuje ludzi składających wieńce na Dworcu Gdańskim w hołdzie „wyrzuconym” z Polski. Tę „martyrologię marcowej emigracji” podtrzymują kolejni prezydenci RP, poczynając od Aleksandra Kwaśniewskiego, który w 30. rocznicę Marca '68 powiedział: „Pamiętamy i wstydzimy się. To nie oni opuścili Polskę. To Polska ich opuściła. To trzeba naprawić”. Naprawianie polega na zwracaniu obywatelstwa emigrantom. Niech przyjeżdżają, to może wskażą miejsca, gdzie leżą zamordowani przez nich polscy patrioci.

Więc Ci „wypędzeni” Żydzi mogą wracać do Polski, sprawa natomiast repatriacji potomków Polaków, wywiezionych za czasów Stalina na Wschód, a przebywających obecnie w Rosji, na Ukrainie, w Białorusi, Uzbekistanie czy Kazachstanie nie została załatwiona przez ponad dwadzieścia lat istnienia III RP.

Jednak nie wszyscy, którzy wyjechali, byli mordercami; część ludzi wyjechała, bo przecież zagranicą czekało ich życie o wiele łatwiejsze

niz w kraju komunistycznym. Jeżeli jednak ktoś naiwnie myśli, że wyjechali do Izraela, by tam budować komunizm, to się gruntownie myli. Większość urządziła sobie wygodne życie w bogatych krajach kapitalistycznych – np. w Szwecji, do której wyjechał „sędzia-morderca”, Stefan Michnik (a fe, brata zostawił w więzieniu). Część z „wypędzonych” znalazła się jednak w Izraelu. Z jednym z nich rozmawiał kiedyś ks. prof. Waldemar Chrostowski. Rozmówca księdza, prosty krawiec czy szewc, wrzucił się, gdy usłyszał polską mowę. Na uwagę, że przecież nikt go z Polski chyba nie wyrzucił, zaprzeczył:

– Dostałem takie polecenie z mojej gminy żydowskiej.

Jednym z „wypędzonych” był „profesor” mojego wydziału. Piszę te słowa w cudzysłowie, bo profesor okazał się hochsztaplerem. Podobno zdobył wykształcenie inżynierskie na Politechnice Lwowskiej (a to wystarczyło, by Żyd został w Polsce natychmiast profesorem), ale nigdy nie okazał stosownych papierów i to nawet stwierdzających posiadanie matury. Swoją drogą gość musiał mieć tupet, bo w naszym trudnym inżynierskim fachu łatwiej jest zweryfikować oszusta. Powstał pytanie – ilu takich „profesorów” musiało pracować na polskich uczelniach? Do takich można choćby zaliczyć prof. (?) Kazimierza Łaskiego, prorektora (a jakże) SGPiS, który rozpoczął „karierę naukową” jako funkcjonariusz UB.

Profesor z mojego wydziału wyjechał kontynuować karierę, najpierw w Szwecji, a później – jak wieść gminna niesie – znalazł się w Australii. Iluż to Polaków chciało wtedy wyjechać zagranicę!

Z Żydami wiąże się moja przygoda. Kiedyś los rzucił mnie na imieniny Joasi do Pyr pod Warszawą. Solenizantka była córką bogatego badylarza i śpiewała głosem Anny German. Na imieninach było spore grono tuziemców. Zwróciłem uwagę na śliczną brunetkę, Basię. Ponieważ moje występy gitarowe spodobały się towarzystwu pyrowskiemu, zadzierzgnęła się więc kulturalna i Basia zaproponowała mi prowadzenie klubu czy też kabaretu w Pyrach. Dotychczas taką działalność prowadził ktoś inny, ale wyjechał. Było pomieszczenie, byli

ludzie, brakowało kierownika i świeżej krwi. Wpadłem wtedy na pomysł, że tą świeżą dawką krwi mógł być nie kto inny jak Irek. By zaprezentować nowego kandydata, pojechaliśmy na imieniny Basi, ale już we czwórkę, bo uzupełnienie naszej dwójki stanowił kajakowy kolega – pseudo „Kola” – i Marek z Milanówka, noszący ksywkę „Nygus”. Marek grał dobrze na gitarze i mógł stanowić cenne wsparcie dla przyszłego zespołu. Nasza czwórka umówiła się na Mokotowie, na przystanku autobusowym w kierunku Pyr. Każdy był uzbrojony w wiadomy prezent imieninowy. Mieliśmy pecha, bo autobus przed chwilą odjechał, a najbliższy miał być dopiero za pół godziny. Muszę dodać, że pogoda była paskudna, panował akurat okrutny ziąb. Żeby nie zamarznąć „Kola”, który miał zawsze dobre pomysły (i dlatego jechał z nami), zaproponował, by dla ratowania zdrowia wypić pierwsze pół litra. Nikt nie wyraził sprzeciwu i wkrótce zamiar został spełniony. Krew zaczęła żywiej krążyć po organizmie i „oleum” – jak mawiał Zagłoba – łatwiej weszło do głowy. Wtedy znów odezwał się Kola:

– Słuchajcie, a czy musimy jechać aż do Pyr, żeby wypić pozostałą wódkę?

Niewątpliwie miał rację i musieliśmy wykazać wiele silnej woli, żeby jednak dojechać na imprezę.

Po imprezie w Pyrach udzielono nam poparcia, wódka pomogła. Ale jeszcze musiałem uzyskać pozwolenie z Dzielnicowej Rady Narodowej. Napisałem stosowne pismo, ale dostałem odpowiedź odmowną. Powód – brak stosownych kwalifikacji. Okazało się, że już mieli innego kandydata na stanowisko kierownicze, mimo że miejscowa ludność nie chciała go zaakceptować. I tak Pyry zostały w tamtym czasie bez kabaretu, a ja pracowałem nadal zgodnie z moim wykształceniem. Kto wie, jakie byłyby losy kabaretu w naszym wykonaniu? Jak świadczy przykład wrocławskiej „Elity” i innych podobnych zespołów, absolwenci studiów technicznych nieźle sobie radzą i na tym polu.

Co ta historia ma wspólnego z Żydami? Podobno Basia i jej towarzysztwo nie byli Polakami, a ponieważ rzecz się dzieła po marcu '68,

grupa ta podlegała szczególnej „opiece” moczarowców i dlatego zapewne na stanowisko kierownika kabaretu trzeba było mieć szczególne kwalifikacje. No cóż, mówić się trudno, a tak dobrze tym naszym syjonist(k)om patrzyło z oczu.

Nasza dobrana czwórka wstawiła się czymś innym. Przeprowadzką. Dostaliśmy bowiem z żoną mieszkanie M4 przy ulicy Gorlickiej. Był to akurat okres słynnego bumu mieszkaniowego za Gomułki. Najwyższy czas na zmianę lokalu, bo wszyscy moi koledzy pracujący w Ursusie byli już szczęśliwymi posiadaczami mieszkań spółdzielczych, znajome pielęgniarki również się przesiedlały, a my – małżeństwo z dwojgiem dzieci – nadal tłoczyliśmy się w jednym pokoju w bursie. Pamiętam dobrze datę przeprowadzki, był to sierpień 1970 roku, dzień przed imieninami Jacka. Panował tego dnia piekielny upał, dobrze się więc stało, że Krecia z dziećmi wyjechała do swojej mamy na wieś, w kieleckie, i nikt nam nie przeszkadzał w tak ważnym logistycznie przedsięwzięciu.

Pod bursę podjechał zamówiony wcześniej samochód ciężarowy, na który sprawnie zapakowaliśmy cały nasz dobytek. Pamiętałem tylko o jednym, by lodówkę wyłączyć i załadować jako ostatni przedmiot, co automatycznie narzucało kolejność wyładowywania, bo była pierwszym sprzętem wniesionym i podłączonym do prądu w nowym lokalu. Taka logistyka miała ważną przyczynę, bo w lodówce znajdowała się wódka i zakąska w postaci wędzonej, pokrojonej już w smakowite plastry szynki. Ponieważ upał był jak jasna cholera, to nie tylko te towary podlegały szczególnej ochronie. Nasze głowy również, byliśmy wszyscy służbowo, czyli podobnie jak na imprezach kajakowych w kapeluszach na głowach, no i bez koszul. Przeprowadzka odbyła się sprawnie, mieszkanie znajdowało się niezbyt wysoko, bo na pierwszym piętrze czteropiętrowego budynku bez windy. Pomijam już epizod, że kiedy Irek porwany entuzjazmem chciał wnieść lodówkę na własnych plecach, zakończyło się to zakleszczeniem, na szczęście krótkim, w drzwiach wejściowych. Skoro już lodówka została podłączona, a stół i cztery krzesła postawione na swoje miejsca, odbyła

się natychmiastowa parapetówka. Należało jakoś zwalczyć ten upał; schłodzona odpowiednio „Wyborowa” szła jak woda. Po ugaszeniu pierwszego pragnienia zaczęła się sielanka i w ruch poszła gitara. Sąsiedzi musieli mieć niezłego stracha po usłyszeniu naszych gromkich śpiewów. W tym czasie jedną z naszych ulubionych piosenek był kawałek z repertuaru Grześkowiaka: „Ustaliła gminna rada wodociągi pozakładać”. Specyfika tego utworu polegała na mocnym zaakcentowaniu pierwszej strofy każdej zwrotki, co w naszym wykonaniu polegało na waleniu pięścią w stół. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że niektóre przedmioty, jak np. sztuce czy metalowe kubki, po takim solidnym walnięciu spadały ze stołu. A skoro spadały, to nie były widocznie potrzebne, dlatego wyrzucaliśmy je przez otwarte okno balkonowe. Gdy pod koniec zabawy przyszło otrzeźwienie, zaczęliśmy te drobiazgi zbierać. Jednak kolegom, mimo że byli inżynierami, coś się pomyliło. Chodzili po stojących jeszcze rusztowaniach i pytali mieszkańców bloku, czy nie widzieli spadających z okna przedmiotów. Widok rozebranych do pasa facetów łązących po rusztowaniach z idiotycznymi pytaniami w stylu: „Czy nie widziała Pani spadającego kubka?”, wzbudził zrozumiałe przerażenie wśród mieszkańców.

Gdy już zamieszkaliśmy w nowym M-4, odbywały się u nas liczne spotkania towarzyskie, ale już z udziałem kobiet, zwłaszcza pani domu, dlatego siłą rzeczy były o niebo spokojniejsze. Mieszkańcy bloku odetchnęli z ulgą, a sąsiedzi z góry zaczęli nawet uczestniczyć w tych biesiadach.

Następnego dnia po przeprowadzce spotkaliśmy się na imieniach „Majstra”. „Majster” miał na imię Jacek i pełnił w Ursusie funkcję kierownika naszej grupy kajakowej. Gdy zaśpiewaliśmy „Ustaliła gminna rada wodociągi pozakładać”, i zgodnie walnęliśmy pięściami w stół, to nas dziwnie zabolalo. Była to pamiątka po wcześniejszych radośnych występach. Jeżeli jednak ktoś teraz pomyśli, że byliśmy wtedy zalani w pestkę, to się bardzo myli. Pamiętam bowiem dobrze, że wieczorem, już po skompletowaniu porozrzucanych na ziemi za oknem

domowych drobiazgów, odprowadziłem kolegów na przystanek autobusowy. Oni wracali o własnych siłach do Ursusa, a ja do domu. Idąc ścieżką, bo chodników jeszcze nie było, natknąłem się na jakieś ciało leżące w zielsku tuż przy szlaku. Zagrało we mnie serce samarytani-
na, więc pochyliłem się nad zwłokami. Jeszcze oddychały, a właściwie chrapały. Z trudem dobudziłem elegancko ubranego gościa w białej koszuli i pod krawatem, pytając się go, gdzie mieszka. Coś zabetko-
tał. Spytałem ponownie i też nie rozumiałem. Brzmiało to jak „Ble-
ja cztery” czy też „Woleja cztery”. Dopiero jak go podniosłem i zarzu-
ciwszy na plecy dotargałem do najbliższego budynku, zrozumiałem. Na tabliczce nad klatką schodową widniał napis: ul. Baley 4. Zapy-
tałem o numer mieszkania i okazało się, że facet mieszka na trzecim piętrze. A dom bez windy. Trudno, doniosłem zwłoki pod wskaza-
ny numer i zadzwoniłem. Otworzyła śliczna kobieta, która rozpozna-
ła swojego męża.

Nasz kolega kajakowy, „Jamnik”, miał nieco poważniejsze kłopoty z sąsiadami niż ja. Kiedyś, razem ze swoją zwiariowaną żoną – „Prosiaczką”, zaprosił nas na zjazd kajakarzy w Jamnicznej Budzie w Łodzi. Nasza czwórka (z przeprowadzki) stawiała się w komplecie, było jeszcze parę innych osób. Po odpowiedniej dawce wokalnej też zaczęły się śpiewy. Zaczęły, i nie chciały się skończyć. Gdzieś po północy zadzwonił dzwonek do drzwi. Pojawiła się Milicja. Wcale nas to nie zraziło i wkrótce dwaj sympatyczni faceci w mundurach dali się namówić na kielicha.

– Proszę państwa, wasz śpiew bardzo się nam podoba. Słuchaliśmy pod oknem od dłuższego czasu. Ale była skarga od sąsiadów – tu jeden z nich wymownie wskazał ręką na sufit – i mamy obowiązek interweniować.

Takie sytuacje pięknie opisuje anegdota opowiadana często przez Irka.

„Do drzwi puka facet i oznajmia, że w jego mieszkaniu będzie w sobotę nieco głośniejszy, ponieważ obchodzi urodziny. Gospodarze

grzecznie odpowiadają, że rozumieją sytuację, sami czasami podejmują gości i pytają, gdzie facet mieszka: na górze, na dole czy obok.

– Nie, nie – odpowiada facet. – proszę podejść do okna. O tam, w tamtym bloku”.

Takie są skutki budowania wielkich osiedli, blok przy bloku. Blokowiska samą swoją architekturą budzą zamiast sympatii sąsiedzkiej – agresję. Odwiedziłem kiedyś osiedle robotnicze zbudowane przed wojną dla pracowników Ursusa. Parterowe domki położone w ogródkach, dużo zieleni. Sielanka.

Przeprowadzka na Gorlicką spowodowała, że oddaliłem się od mojego ulubionego lokalu, jakim była „Patria” przy ulicy Dąbrowskiego na Mokotowie. Ponieważ byłem zwolennikiem higieny psychicznej, to przynajmniej raz na miesiąc chodziliśmy do restauracji na tańce. „Patria” była najbliżej, raptem kilkanaście minut spaceru, a bilet wstępu za sto złotych (jedna trzydziesta mojej pensji) obejmował ćwiartkę wódki i zakąskę w postaci jajka w majonezie. Ćwiartka wódki na dorosłego mężczyznę, to po prostu śmiech na sali, dla uzupełnienia brakujących płynów chodziło się więc do barku. Kiedyś trafiliśmy do „Patrii” z Irkiem w towarzystwie naszych kobiet i korzystając z okazji, że dziewczyny udały się do toalety, podskoczyliśmy do źródła, czyli do barku. Ja zamówiłem kieliszek śliwownicy, kolega – wiśnióweczkę. Ale między ustami i brzegiem pucharu wiele może się zdarzyć. Już mieliśmy to wypić, gdy ja będąc zwrócony twarzą do sali, zauważyłem Grażynę, partnerkę kolegi, żwawo zмирzającą w naszą stronę. Ponieważ normy alkoholowe kolegi były restrykcyjnie kontrolowane przez urodziwą partnerkę, syknąłem:

– Uważaj, Grażyna.

Ten błyskawicznie schował kieliszek z trunkiem do wewnętrznej kieszeni marynarki. Ja, niemający takich ograniczeń, spytałem dla przyzwoitości dziewczynę, czy nie ma ochoty na jakiś trunek i swobodnie pociągałem małymi łykami ulubioną śliwownicę. Wróciliśmy razem do stolika, akurat zagrała orkiestra i ruszyliśmy w tany. Kolega zapomniał

jednak, co ma w zanadrzu i wrócił do domu z wiśniówką w kieszeni. Epilog był nieoczekiwany. Garnitur, w którym był w restauracji, powiesił do szafy i włożył go ponownie za jakiś czas, chyba na imieniny. Wtedy poczuł, że coś go uwiera i wyciągnął kieliszek. Był pusty, a na garniturze miał czerwoną kleistą plamę, pozostałość po wiśniówce. Marynarkę trzeba było oddać do czyszczenia, co amator wiśniówki skwitował następująco:

– Na drugi raz będę zamawiał coś czystego. Jest tańsze w eksploatacji.

Ja miałem podobny wypadek. Byłem na imieninach u „Bacy” i podczas tańców zdjąłem marynarkę i powiesiłem na wieszaku w przedpokoju. W międzyczasie „Baca” odprowadzał jakąś kobietę. Po zabawie wróciłem do domu i włożyłem ponownie garnitur na jakąś uroczystość po paru tygodniach. Poczułem, że coś mnie uwiera i wyciągnąłem z kieszeni marynarki jakiś portfel. Sprawdziłem, był to portfel „Bacy”. Znajdowały się w nim wszelkie możliwe dokumenty, łącznie z prawem jazdy i dowodem osobistym. Zadzwońłem niezwłocznie do kolegi, ale już było za późno, bo zdążył już sobie wyrobić nowe dokumenty. Muszę tu dodać, że kolega korzystał codziennie z samochodu i jakiś czas musiał jeździć bez prawa jazdy. Ale pieniądze z radością przyjął.

Pracę w Ursusie zakończyłem 31 stycznia 1970 roku. Z żalem żegnałem się z kolegami, ale znalazłem nowe wyzwanie zawodowe z dużo wyższą pensją w Biurze Konstrucyjnym Przemysłu Spożywczego. Biuro mieściło się w al. Niepodległości naprzeciw Pól Mokotowskich. Miałem bliżej do domu i mogłem pospać dłużej aż o dwie godziny. Pracę zaczynaliśmy bowiem dopiero o ósmej, godzinę później niż w Ursusie. Jakby na potwierdzenie słuszności mojej decyzji, ostatni mój powrót z pracy w Ursusie pociąganiem trwał zamiast piętnastu minut aż dwie godziny.

Podczas mojej pracy w ZM Ursus, fabryka znajdowała się w szczytowej fazie rozwoju i produkowała kilkadziesiąt tysięcy traktorów

rocznie. Produkowała maszyny, które eksportowano do wielu krajów. Nie ma już polskiej fabryki traktorów. Czyżby taki sprzęt w Polsce nie był potrzebny? Może rolnicy orzą wołami?

Ależ skąd, do tej pory „Ursusy” są eksploatowane przez polskich rolników. Niektóre z nich mają po kilkadziesiąt lat i dzięki złotym rączkom rozsiadym po wsiach są remontowane i nadal pracują. A co z produkcją nowych maszyn? Bodajże w Lublinie istnieje wytwórnia wytwarzająca około tysiąca traktorów rocznie. Obecnie, prawie ćwierć wieku po przełomie, na miejscu fabryki powstały jakieś dziwne twory, które nie mają nic wspólnego z traktorami. Poniżej załączam zdjęcie hali fabrycznej zrobione przez mojego syna, Wojtka. Pozostaje pytanie – dlaczego fabryka zniknęła?

CIĄG DALSZY NASTĄPI



JERZY ZDZISŁAW SOBOLEWSKI (ur. 1940 w Augustowie). Ukończył studia na Politechnice Warszawskiej, pracował jako inżynier między innymi w Z.M. „Ursus”, w 1970 roku wrócił na macierzystą uczelnię, gdzie zakończył karierę naukową jako profesor nzw. Politechniki. W latach osiemdziesiątych uczył zawodu inżynierskiego studentów w Tunezji i w Algierii. Turysta, od wczesnej młodości pływa kajakami, co opisał w książce „Kajak i przygoda”, (wyd. Novae Res, Gdynia 2012). Pływał także kajakiem po Adriatyku wokół wyspy Thasos (reportaż „Czuczka w cieniu oliwki” dostępny w Internecie).

ŻYCIE I PRZYGODY W PRL

Samo życie w systemie komunistycznym – bogate w przeróżne zdarzenia – pisało scenariusz książki. Pomimo, że większość opisywanych historii toczy się w zamierzonych dla młodszego Czytelnika czasach, to jednak opis doświadczeń autora związanych mocno z polityką może pomóc zrozumieć mechanizmy które rządzą dziś Polską i światem. Obserwując z niepokojem to co się obecnie dzieje chciałoby się powiedzieć – Déjà vu! I taki powinien być podtytuł tej książki. Czyli, parafrazując francuskie „déjà vu”, można powiedzieć swojsko – historia kołem się toczy. O czym zapominają jednak nasi historycy będący u steru władzy.

